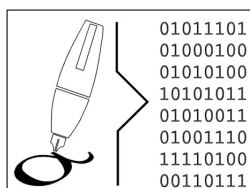


# Joanna Chmielewska

## Dwie głowy i jedna noga

1996



Jechałam na spotkanie z mężczyzną życia.

Istniał taki. Przez długi czas nie zdawałam sobie sprawy, ile dla mnie znaczył i czym był, wyszło to na jaw jakoś stopniowo. Może skokami. Ugruntowało się wreszcie i teraz jechałam na to spotkanie w pełni świadoma stanu własnych uczuć i kategorycznie zdecydowana ukryć z nich przed nim, ile tylko zdołam.

Nie widzieliśmy się dwadzieścia lat...

Rozdzieliła nas kiedyś siła wyższa, złożona z nieporozumień, komplikacji życiowych, gniotu ustrojowego, ludzkich kręctw i rozmaitych innych przymusów. Straciliśmy się z oczu. Nadzieja, że jeszcze kiedyś go zobaczę, trzymała się mnie wyłącznie siłą uporu. Wyobrażałam to sobie nawet, idę po paryskiej ulicy, niepojętym cudem wciąż młoda, jeszcze większym cudem piękna, słoneczko świeci, on idzie z przeciwnika...

Może iść za mną ostatecznie. Wpatrywać się w moje nogi i dostrzegać w nich coś znajomego. Nie będę się czepiać drobiazgów.

Odnalazł mnie znienacka po tych dwudziestu latach zupełnym przypadkiem a może nawet właśnie prawie cudem, i kiedy odezwał się nagle w telefonie, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że to on, chociaż własnym uszom było mi trudno uwierzyć. Minione dwadzieścia lat zniknęło od razu, przestało się liczyć, przestało istnieć, tak jakbyśmy ostatnio rozmawiali w zeszłym tygodniu albo nawet przedwczoraj. Wrócił mi niejako z czasu i przestrzeni.

A teraz jechałam na spotkanie z nim, konkretne i umówione, głęboko przejęta, szczęśliwa, odrobinę, niespokojna i niepewna, co też ujrzy we mnie po tych dwudziestu latach, odrobinę może także zbuntowana, bo wydawało mi się, że temu zerwaniu kontaktów on zawinił bardziej. Siła wyższa głównie, przeznaczenie, ale on też. Cholera. Wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć, rozumiałam go w gruncie rzeczy doskonale, udział w igraszkach przeznaczenia przebaczyłam mu już dawno, nie zdecydowałam się jeszcze tylko, co ujawnić, to przebaczenie czy bunt. O żadnym z moich doznań nie wiedział, mogłam przydeptać i jedno, i drugie...

Ogólnie nastawiona byłam na szerszy zakres turystyki, Paryż Paryżem, zawsze lubiłam Paryż, ale w planach miałam dalszą drogę. Więcej na zachód, więcej na południe, tydzień w Paryżu, a gdzieś tam dalej, nie daruję sobie, też pojedę. Jakoś mi te zamiary ratowały honor, chociaż w odniesieniu do niego takie głupstwa, jak honor i ambicja nigdy nie miały znaczenia. Poza wszystkim, istniała między nami chyba także przyjaźń.

Jakiś poziom jednakże należało zachować...

W gruncie rzeczy jechałam na to spotkanie dokładnie tak samo, jak kiedy biegłam tam, gdzie na mnie czekał...

\* \* \*

Co mi strzeliło do głowy, żeby wybrać drogę przez Łódź, Bóg jeden raczy wiedzieć. Był to pomysł idealnie kretyński, granicę bowiem zamierzałam przekroczyć w Zgorzelcu, wiadomo zaś, że do Wrocławia najlepiej jedzie się przez Rawę Mazowiecką i Piotrków Trybunalski, potem na Bełchatów i tak dalej. Łodzi nie lubiłam nigdy, wyjazd z Warszawy na Błonie zawsze był okropny, dalsza droga w ogóle, gdzie w tym sens, gdzie logika? Złe jakieś zaćmiło mi umysł.

Gdybym miała bodaj cień przeczucia...

Oczywiście na szosie panował dziki tłok, TIR-y jeden za drugim. Pamiętna licznych własnych błędów, bardzo pilnowałam w Łowiczu drogowskazów na Łódź, żadnych interesów nie mając w Poznaniu. Ani nawet w Koninie. A zdarzyło mi się już kiedyś przeoczyć skręt do Płocka i zawracać prawie spod Gdańska, zapomnieć o zjeździe na Roskilde i wręcać się niepotrzebnie w centrum Kopenhagi, z Lubeki wybrać kierunek na Hannover zamiast na Berlin, z Tomaszowa Mazowieckiego beztróska ruszyć do Łodzi, podczas gdy moim prawdziwym celem było Opoczno... Zarówno w obcych krajach, jak i we własnym robiłam dziwne sztuki, błędząc, gdzie tylko się dało. Śpieszyło mi się teraz, ponieważ wyjechałam dość późno, a przed zmrokiem chciałam zdążyć do Bolesławca.

Deszcz padał niekonsekwentnie. To lało, to mżyło, bryzg spod cudzych kół zamazywał mi szyby bez przerwy. Wyprzedzałam te wszystkie TIR-y po kolei wyłącznie dzięki temu, że mój samochód miał zryw. Zdążyłam już sobie uświadomić, co robię i jak głupio jadę, ale nie, zawracałam, trudno, przepadło, jakoś się chyba przekopię przez metropolię. Łódź do jazdy koszmarna, ale przez Zgierz i Konstantynów może być jeszcze gorzej.

No i oczywiście pod samą Łodzią był wypadek. Prawie widziałam go z daleka, dwa samochody osobowe i ciężarówka, jezdnią zatarasowana gruntownie. Zatrzymałam się, ludzie już się miotali dookoła, przede mną ugrzęzły trzy wozy, kierowcy wyskoczyli, ofiar było dużo. Na poboczu, blisko mnie, leżała kobieta w średnim wieku, jakby wyrzu-

cona siłą uderzenia. Nie leżała, pełzła. Usiłowała się czołgać, zapewne w szoku, wyskoczyłam również, dopadłam jej, chcąc to czołganie pohamować, wydawało mi się, że jej zaszkodzi. Ktoś tam wykrzykiwał coś o telefonie, pogotowiu i policji, ktoś niepotrzebnie oblewał kłębówisko pojazdów pianą z gaśnicy.

Razem z facetką znajdowałam się o ładne kilkanaście metrów od tej góry żelastwa. Nikt jakoś nie zwracał na nas uwagi, bo wszyscy gromadzili się przy głównej kupie złomu.

— Niech pani leży spokojnie — poprosiłam nerwowo i przytrzymałam ją za ramię. — Zaraz przyjedzie karetka, niech pani nie robi tych wysiłków, tam nic nie wybuchnie.

Szoku doznała z pewnością, bo spojrzenie, jakie na mnie zwróciła, było półprzytomne, ale znieruchomiła. Skoczyłam do samochodu po jakąś płachtę, żeby jej podłożyć. Żadnej płachty nie znalazłam, jedyne, co mogłam zużyć, to dmuchany materac, oczywiście bez powietrza, złożony w kostkę i tkwiący pod fotelem. Woziłam go tylko dlatego, że ciągle zapomniałam zabrać go do domu, pomyślałam, że teraz się przyda. Wróciłam do niej, spróbowałam jej podesłać, chociaż pod głowę i twarz. Poruszyła się, odwróciła, popatrzyła jakby nieco przytomniej.

— Uciekaj! — wychrypiła z jękiem. — Uciekaj! To ja jestem... Helena...

Umilkła, zamknęła oczy, opadła bezwładnie. Uznałam, że majaczy, i zdenerwowałam się własną bezradnością, nie potrafiłam jej pomóc. Nadbiegające z oddali wycie syreny przyniosło mi niewymowną ulgę.

Nie zamierzałam wplątywać się w ten cały interes, śpieszyło mi się. Jako świadek byłam do niczego, nie widziałam samego wypadku. Zostawiłam nieprzytomną kobietę, na materacu położyłam krzyżyk, nie utopię się przez jeden głupi materac, w dodatku niewygodny, bo dwuczęściowy, niech go diabli wezmą. Wróciłam do samochodu. Policja błyskawicznie zaczynała robić porządek, zatrzymali ruch w przeciwną stronę i niepotrzebne pojazdy przepuszczali bokiem, sprawnie im to szło, ruszyłam już po paru minutach. Deszcz właśnie przestał padać. Przepychając się powoli przez zwałowisko, odkreśliłam szybę, żeby słyszeć, co mówią, i zahaczyłam palcami o cały plik papierów w kieszeni na drzwiczkach. Mglisto mignęło mi pytanie, skąd mam tyle makulatury, przypomniałam sobie, prawda, w ostatniej chwili, wychodząc z domu, wyjęłam ze skrzynki zaległą korespondencję z dwóch dni i zabrałam ze sobą w celu przeczytania po drodze. Dotychczas nie było okazji.

Musiałam się tym wypadkiem przejąć bardziej, niż sądziłam, bo nie chciał mi wyjść z głowy. Przed oczami wciąż miałam czołgającą się babę, połamana chyba nie była, bo działały jej ręce i nogi, podrapana owszem, umazana błotem i krwią, na twarzy miała pręgę przez skroń i cały policzek, jedną brew rozbitą, ale robiło to wrażenie uszkodzeń powierzchownych. A że zemdłała...? Każdy by zemdłał. Chyba że jej coś pękło w środku, może śledziona albo wątroba, no nie, przy wątrobie nie próbowałyby się czołgać. I głos wyszedł z niej łatwo, tyle że zachrypnięty...

Teraz dopiero, dobre parę kilometrów za katastrofą, dotarła do mnie treść jej chrypienia. Kazała mi uciekać. Dlaczego, do licha, miałam uciekać? Dlatego, że jej na imię Helena? A, może miała jakiś uraz, skoro katastrofa, musi coś wybuchnąć, rąbnie benzyna i wszystko się spali, może dlatego się czołgała, odsunąć się jak najszybciej na bezpieczną odległość...

Zaraz, a dlaczego ona właściwie leżała w tym miejscu? W ciągu kilkunastu sekund zdążyła przepelznąć taki kawał? Tam gruchnęło potężnie, założmy, że szczęśliwie nie miała pasa, wyrzuciło ją w momencie uderzenia, bardzo pięknie, ale co potem? Poleciała wielkim łukiem, gdzie, do tyłu? Do przodu albo w bok, to owszem, samochody wykonały zderzenie czołowe, zastopowały się wzajemnie w sekundę, gdyby jechała w szoferce ciężarówki mogła tam polecieć, ale przecież nie na tę stronę! Na przeciwną! Nie ma tak, żeby cokolwiek, wyrzucone siłą uderzenia, leciało drogą okrężną, zataczając łuk odwrotny do kierunku impetu!

Skąd ta facetka wzięła się w tym miejscu...?

Postanowiłam natychmiast po powrocie specjalnie udać się do Łodzi i poprosić gliny o wyjaśnienie zagadki. Intrygowała mnie. Jakieś prawa fizyki w końcu istnieją, nie może ich nagle zmienić kraksa samochodowa!

Łódź, jako taka, wybiła mi wreszcie ten wypadek z głowy. Przedarłam się przez nią w pocie czoła. Udało mi się nie pojechać ani do Kalisza, ani do Katowic i wreszcie odechnęłam lżej na autostradzie za Wrocławiem. Zjazdu na Zgorzelec nie przeoczyłam i dotarłam do Bolesławca przed zachodem słońca.

Deszcz popadywał z przerwami, w Bolesławcu akurat zrobił antrakt, ale z uwagą sprawdziłam, czy pompy na stacji benzynowej znajdują się pod dachem. Rychło w czas. Tam, przy katastrofie, kotłując się z ofiarą i materacem, zapomniałam o deszczu, nie była to ulewa, raczej mżawka, która się właśnie kończyła, zmokłam zaledwie trochę, moje potrzeby jednakże szlag trafił i diabli wzięli. Zależało mi na uczesaniu, postarałam się o nie specjalnie tuż przed wyjazdem, parę dni powinno było wytrzymać, tyle że na sucho. Wszelka wilgoć niweczyła je radykalnie. A jechałam wszak, do licha, na spotkanie z mężczyzną życia...

W hotelu, głęboko zatroskana, obejrzałam się w lustrze i postanowiłam zakręcić włosy. Z postanowienia nic nie wyszło, bo kosmetyczkę z zakrętkami zapakowałam do dużej torby, która została w bagażniku. Ciężka była jak piorun, nie zamierzałam nosić jej na każdym postoju, wszystkie potrzebne rzeczy miałam w małej, lekkiej, podręcznej, wiedziałam, co mi będzie służyło w czasie podróży i nie obarczałam się zbędnym balastem. Zaliczały się do niego także i te cholerne zakrętki, nie przewidywałam w trakcie jazdy zabiegów fryzjerskich. Rozkopywać teraz ten toból...? Jeszcze czego. Zniecierpliwiłam się, a tam, kicham na siebie, załatwię sprawę po dotarciu do celu, w Stuttgarcie nie muszę być piękna.

Normalną książkę do czytania miałam przy sobie, w torebce. Pomyślałam, że właściwie powinnam przeczytać wyjęte ze skrzynki listy. Nie zabrałam ich, zostały w kieszeni na drzwiczkach w samochodzie. Nie chciało mi się po nie schodzić, zawahałam się, bo mogło tam być coś, na co należało odpowiedzieć natychmiast, a stąd, z Bolesławca, łatwo mogłam zadzwonić... W końcu machnęłam ręką, zadzwonić można zewsząd, nic im się nie stanie, jak poczekają na przykład do jutra...

\* \* \*

Jedyną satysfakcją na granicy sprawiła mi myśl o włosach. Co za szczęście, że się nie wygłupiałam z zakręcaniem!

Godzinę i kwadrans podjeżdżałam po parę metrów w ogonie przez pól Zgorzelca. Skąd taki tłok w początkach maja...? Czytałam książkę. Od służb granicznych dzieliło mnie ledwo parę samochodów, kiedy przypomniałam sobie o listach. Była okazja, żeby je przeczytać, zmarnowana, no, może jeszcze nie w pełni. Odłożyłam książkę, sięgnęłam po korespondencję.

Zawiadomienia bankowe załatwiłam szybko, zaproszenie do Australii na kongres IBC obejrzałam z niechęcią, nie pchało mnie tam, na Pacyfiku zdarzają się tajfuny, przyjemność bardzo średnia. Propozycja beznadziejnie złej umowy z jakiegoś nowego wydawnictwa, listy prywatne... Otworzyłam pierwszy z brzegu, nie sprawdzając nawet, czy ma nadawcę.

„Proszę pani — pisała jakaś osoba. — Ja uważam, że pani powinna to wiedzieć i ja to pani napiszę. Chociaż bardzo się boję. Ja się nazywam Wystrasza Helena”...

W tym momencie nadeszła moja kolej wepchnęłam napoczęty list byle gdzie, zdało mi się, że do kieszeni na drzwiczkach, i podałam paszport. Naszemu. Przywalił pieczętkę, pogonił mnie dalej, podszedł celnik niemiecki, nie wiedziałam, czego będzie chciał, więc wszystkie dokumenty trzymałam w rękach.

— Zielona karta — powiedział stanowczo.

Zielona karta, proszę bardzo, miałam zieloną kartę, o tej zielonej karcie było mnóstwo gadania, ubezpieczenie, przed granicą na każdym słupie wisiało przypomnienie, „Czy masz zieloną kartę?”, „Zieloną kartę wykupisz...” i tak dalej. Dałam mu. Obejrzał i pokręcił głową.

— Nedobre — powiadomił mnie. — *Nicht gut.*

Zdumiałam się i oburzyłam. A cóż to ma znaczyć, do tej pory była dobra, a teraz nagle nie? Niby dlaczego?

Celnik pukał palcem w którąś rubrykę.

— *Vier* — rzekł cierpliwie i pouczająco. — *Jahr. Tera fünf. Pęc.*

Pękania na myśli nie miał, tego byłam pewna. Przyjrzałam się rubryce. Istotnie, widniał na niej rok ubiegły. No dobrze, ale przecież płaciłam w sierpniu, a teraz zaczynał się dopiero maj, żywiłam święte przekonanie, że płacę za cały rok, a otóż nic podobne-

go, ubezpieczenie ważne było tylko do końca grudnia. W styczniu należało zapłacić na nowo. No dobrze, niech mu będzie, zapłacę, zaraz, Jezus Mario, ile to kosztuje?! Może mi nie starczy pieniędzy?!

Pokazał mi palcem, gdzie sobie mogę zaparkować już po niemieckiej stronie. Zostawiłam samochód i biegiem wróciłam na stronę polską. Plakaty na temat zielonej karty straszyły wszędzie, przeczytałam je wreszcie z uwagą, chciałam Wartę, obleciałam dookoła jakiś budynek, znalazłam najbliższą placówkę. Nic z tego, tutaj ubezpieczali wyłącznie ciężarówki. Gdzie osobowe...?! A trochę dalej, na lewo. Dalej na lewo działało tylko PZU. Zrezygnowałam z Warty, PZU też dobre, ubezpieczę się na miesiąc, suma ogromem nie przeraża. Panie za ladą zaczęły mnie opisywać, poprosiły o kartę rejestracyjną. Cholera. Kartę rejestracyjną zostawiłam w samochodzie razem z paszportem i resztą dokumentów. Poleciałam do Niemiec, wróciłam do Polski, pies z kulawą nogą nie zainteresował się moimi galopami tam i z powrotem, dostałam piekielną zieloną kartę, zaczęłam szukać tego celnika, który się przyczepił, żeby mu ją pokazać, nie było go nigdzie, nikogo w ogóle nie obchodziłam. Zastosowałam metodę wypróbowaną. Jeśli się robi coś zakazanego, natychmiast przyłeci jakiś stróż prawa, który człowieka złapie, w porządku, może być i tak. Wsiadłam i powoli ruszyłam.

Znów zaczęło padać i padało cały czas, taki średni deszczyk. Na głowie, zamiast uczesania, miałam już zmierzwioną i mokrą kupę siana. Zieloną kartę załatwiałam kretyńsko i niemrawo, bo cały czas gdzieś pod czaszką tkwiło mi ostre zainteresowanie zupełnie czym innym. Niby zajmowało mały kawałek miejsca, ale jakby kłuło. Razem z zainteresowaniem, sianem, zieloną kartą i wielkim zadowoleniem, że zrezygnowałam wczoraj z zabiegów fryzjerskich, odjechałam bez najmniejszych przeszkód, silnie zajęta kłuciem.

Co ta kobieta, na litość boską, do mnie napisała? Boi się i nazywa się Wystrasz. Nazywa się Wystrasz dlatego, że się boi, czy też odwrotnie, nazwisko powoduje uczucie? Może wygłupia się w ogóle...?

Boi się i Wystrasz... W dodatku Helena. Z czymś ta Helena próbowała mi się kojarzyć.

Wjechałam w roboty drogowe.

Była to duża rzecz i wypchnęła mi z głowy wszystko inne. Z lewej, o dwadzieścia centymetrów, pomarańczowy grzebień na asfalcie i barierka, z prawej o tyleż TIR-y, autobusy i ciężarówki. Slalom. Na szybach błoto bez przerwy, a szybkość różnie, od czterdziestu do stu dwudziestu, zależy jak leci ten z przodu. Grzebień wywija meandry, wszystko zwalnia, wlecze się na trójce, może i wypoczynkowo, ale czas płynie, a ja mam zdążyć przed wieczorem do Stuttgartu...

Głównym moim zajęciem było przypominanie sobie, gdzie, do wszystkich diabłów, przebiegała granica byłego NRD? Dokładnie w chwili ich zjednoczenia sama zgadłam i, jak idiotka, wymówiłam w złą godzinę, że będą mieli duży ubaw z przerabianiem dróg. Duży ubaw to miałam ja. Aby się przedrzeć do byłej RFN...

Razem nadeszły, koniec robót drogowych i koniec deszczu, pogoda zaczęła się wyraźnie poprawiać. Przez co najmniej pięć kilometrów obliczałam, że w celu przybycia do Stuttgartu przed dziewiątą muszę osiągnąć przeciętną sto sześćdziesiąt. Mój samochód lubił sto czterdzieści, no, może sto czterdzieści pięć. Lewym pasem lecieli ci szybsi, żeby ustąpić im miejsca bez straty szybkości przymuszałam go nieco i wtedy do tych stu sześćdziesięciu dochodził, ale nie wydawał się zadowolony. Zbuntowana i wściekła, zaczęłam rozmawiać ze sobą wierszami. Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz i spędzał nas z autostrady, orężny stanie hufiec nasz, damy se z nimi rady. No dobrze, na razie damy rady połowicznie.

Jakim sposobem o wpół do dziewiątej w promieniach zachodzącego słońca dojechałam do Stuttgartu, do końca życia nie zdołam zrozumieć, w końcu o wpół do drugiej latałam jeszcze za zieloną kartą. Może pomyliłam się w obliczeniach, a może nastąpił zwyczajny cud. Dojechałam jednakże i zaczęłam szukać znajomej dziewczyny, która zarezerwowała mi hotel.

Korntal miał to być, taki ichni Brwinów pod Stuttgartem. Zdaje się, że byłam głodna i spragniona, od granicy leciałam jednym ciągiem i nie w głowie mi było pożywienie. Owego Korntala nie znałam kompletnie, nie było go na żadnej mapie, zaczęłam pytać o drogę, znalazłam wreszcie drogowskaz. Trafivszy do miejscowości jako takiej, zaczęłam wymieniać nazwę ulicy, nikt takiej nie znał, co za ludzie, mieszkają w tym Brwinowie i pojęcia nie mają o nazwach ulic! Zaczęłam operować kościołem, bo to miało być obok, okazało się później, że kościoły stoją tam dwa, katolicki i ewangelicki, każdy gdzie indziej, Bóg raczy wiedzieć, o który pytałam. Właściwą trasę wskazał mi wreszcie jakiś młodzieniec, zdziwiłam się, że tak dobrze rozumiem niemiecki język, mówię w nim w dodatku, kolejny cud, po czym uświadomiłam sobie, że rozmawiamy po angielsku. Pojechałam wedle młodzieńca i wreszcie trafiłam. Co prawda od tyłu, ale to już była drobnostka.

Siedziałam u znajomej dziewczyny, jadłam kolację, gadałyśmy, mąż nie brał udziału, bo polski język znał podobnie jak ja niemiecki, a może nawet gorzej. Kiedy późnym wieczorem dobiłam do hotelu, nadawałam się wyłącznie do pójścia spać. Co do mierzwy na głowie, zgodziłam się, że szlag jasny może ją trafić.

Korespondencję od tej wystraszonej Wystrasza zostawiam rzecz oczywista w samochodzie...

\* \* \*

W pierwszym pejażu na francuskiej autostradzie przypomniałam sobie, że w charakterze pieniędzy posiadam tysiąc franków w jednym banknocie i marki niemieckie drobnymi. Usiłowałam rozmienić ten banknot, ale woleli wziąć marki przeliczone automatycznie na poczekaniu. Przed drugim pejażem wstąpiłam do stacji benzynowej i wreszcie zaczęłam dysponować właściwą walutą. Odetchnęłam z ulgą.



Na francuskich autostradach człowiek nie ma co robić. Bez względu na szybkość, można oglądać okolicę albo zgoła czytać książkę. Do książki nie doszłam, ale uwolniłam myśl i przypomniałam sobie, dokąd jadę i po co.

No właśnie, jechałam do Paryża na spotkanie z mężczyzną życia...

Zobaczyłam go po raz pierwszy, kiedy miałam osiemnaście lat, a już w chwili oglądania wiedziałam o nim mnóstwo. Znałam jego nazwisko, wiedziałam, kim jest, wszyscy plotkowali z szalonym zapałem, wiedziałam zatem, dlaczego w okropnej, obrzydliwej sprawie występuje jako oskarżony, nie znałam go tylko osobiście. Występ miał oblicze polityczne, a jego sensu nigdy nie zdołałam zrozumieć, co mi snu z oczu nie spędzało, bo nie interesowała mnie polityka.

Zainteresował mnie za to Grzegorz. Wyleciał ze studiów, zaprezentowawszy przedtem postawę, osobowość, charakter, jakim do pięt nie sięgało sądzące go tchórzliwe, zakłamanie grono. Chciałam podejść, pogratulować mu, ale zawahałam się. Moje osiemnaście lat, jego dwadzieścia, głupio mi się zrobiło, piękny chłopak, wszechstronnie atrakcyjny, jeszcze pomyśli, że go podrywam, zbyt młoda byłam, żeby się tym nie przejmować. Nie podeszłam.

Kołatała się jeszcze wtedy we mnie wrażliwość na ludzką opinię. Ktoś mnie posądzi o coś tam. W ludzkich oczach wyjdę na idiotkę albo i co gorszego. Facet będzie się ze mnie wyśmiewał. Zdawałam sobie sprawę, że nie są to przypadłości rzędu gromów ani też ciosy nieodwracalne, ale zawsze nieprzyjemność, a na co mi takie strucle.

Wpatrzona niewidzącym wzrokiem w prawie puste pasma autostrady, zastanawiałam się, co by było, gdybym jednak podeszła. Rozważałam to nie po raz pierwszy. A otóż nic by nie było. Od trzech miesięcy miałam własnego męża i żadne skoki w bok nie wchodziły w rachubę, nasza wzajemna wierność, tego męża i moja, przerastała świat. Chłopakowi chciałam wyrazić uznanie ze względów czysto moralnych, szlachetny rycerz, podstępnie zapędzony nie w żadne uczciwe szranki, tylko w krąg rozżartych, perfidnych wrogów, wyrwał się z kręgu mocą ducha. Lubiłam rozwiniętych umysłowo rycerzy, co wcale nie oznaczało, że miałabym zaraz takiemu rzucić się na szyję. Nic z tych rzeczy, żadnych szyj, ale kto mi uwierzy...?

Poza tym Grzegorz zajęty był właśnie własną ruiną życia, która w owym momencie wydawała się nieodwracalna, i nie dziewczyny były mu w głowie. Podziękowałby mi może z roztargnieniem albo zgoła poprosił, żebym poszła do diabła. I tyle: Nic by nie było.

Zetknęliśmy się ponownie, w sześć lat później. Uprawialiśmy podobne zawody, ujrzałam go nagle w moim miejscu pracy. Moja psychika i stosunek do świata uległy już dużej zmianie, ludzkie opinie zaczynały mnie obchodzić tyle, co psa piąta noga. Nie wytrzymałam, po kilku dniach znajomości powiedziałam mu o tamtej scenie.

— A to szkoda, że nie podeszłaś — odparł na to. — Cholernie by mi się wtedy przydało bodaj z jedno ludzkie słowo.

— A no widzisz, zawsze człowiek robi głupotę, jak się trzęsie o siebie. W ostateczności wysłałbym na głupią, no i co z tego, wielkie mecyje, końca świata od tego nie będzie.

Przez te sześć lat pozmieniało się więcej, nie tylko moja psychika. Grzegorz wybrnął z klęsk, skończył studia wcześniej niż ja, wybijał się w zawodzie. Miał żonę, zakochany był w stopniu, który napełniał mnie niesmakiem, i to pod każdym względem. Zewnętrznie dysponowała walorami, o których mogłam tylko marzyć beznadziejnie, jakie marzyć, w każdym marzeniu istnieje odrobina realnych możliwości, tu zaś nawet dziesięć operacji plastycznych nie dałoby sobie rady. Mogłam jej zazdrościć, o, to tak, nie było przeszkód. Prawdopodobnie zazdrościłam. Charakter przy tym miała twardy i, moim zdaniem, mało sympatyczny, na wielką miłość nie zasługiwała wcale, ale w poglądach na drugą babę mogłam być w końcu niezupełnie obiektywna. No nic, miał tę żonę i kochał ją uczuciem nadziemskim, tfu.

Moje własne małżeństwo zaczynało się właśnie rozpadać, z czego nie w pełni zdałam sobie sprawę. Czułam jednakże wyraźnie, że coś nie gra, jakaś podpora duchowa bardzo by mi się przydała, tyle że na razie nie za wszelką cenę. Mimo wieku, wciąż jeszcze młodego, głupia byłam tylko połowicznie i doskonale wiedziałam, że na grymasy męża, obojętność, irytację, różne kretyńskie wymagania, krytyki i fochy, nie ma lepszego sposobu, jak komplementy z byle której innej strony. Wystarczy, że zacznie mnie adorować obcy facet i już małżeńskie stresy złagodnieją, już będzie można pobłażliwie przyjmować wypowiedzi w rodzaju: „Jak ty wyglądasz z tymi włosami, czy ty byś nie mogła się czasem uczesać?!”

No tak, uczesać...

Moje myślenie zachybotało się nagle. Cholera. Nic z piekielnymi włosami w Stuttgarcie nie zrobiłam, teraz już przepadło, żadne kręcenie nie pomoże, muszę umyć głowę. Hotel w Paryżu mam zamówiony, nie wiadomo po co, wszędzie i w każdej chwili można tam znaleźć wolny pokój, Grzegorz zarezerwował mi na wszelki wypadek, ale nie wie, kiedy przyjeżdżam. Powinien myśleć, że jutro. Nie odezwę się dzisiaj wieczorem, nie przyznam się, że już jestem, wetknę ten upiorny łeb pod kran, odeśpię swoje na zakrętkach...

Straszliwe wspomnienia rzuciły się na mnie tak, że znów przestałam widzieć drogę przed sobą, co w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało jeździe. Te francuskie autostrady warte są swojej ceny...

\* \* \*

Dokąd myśmy wtedy poszli...?

Nie, zaraz, to było później...

Widywaliśmy się w pracy, zwyczajnie, jak ludzie, i nawet nie codziennie, bo nie był to urząd. Grzegorz w zasadzie odwalał robotę w domu, miał własną pracownię, do biura przynosił gotowe rysunki. Trwało to parę tygodni, aż przyszła wczesna jesień. Zostałam

wysłana na delegację do Poznania, remont obiektu, potrzebna była szczegółowa inwentaryzacja części reprezentacyjnej, Grzegorz miał robić wewnątrz, zdecydował, że też pojedzie.

Kiedy wychodziłam z domu, mój mąż był nadęty i okazywał mi zirytowaną niechęć. Poprzedniego wieczoru rozmawiał z kimś przez telefon, był ożywiony, radosny, omawiał sprawy służbowe, ale jakoś tak, jakby wprawiały go zgoła w euforię. Uświadomiłam sobie, że tym tonem nie rozmawiał ze mną już co najmniej przez rok. Dziabnęło mnie. Odjechałam do Poznania wściekła i nieszczęśliwa.

O decyzji Grzegorza nie wiedziałam, zobaczyłam go znienacka zaraz po przybyciu do hotelu i tajemniczy balsam spłynął mi na serce. Co do myślenia, starałam się nie myśleć nic, ale mąż jakby przybladł. Odwaliliśmy część roboty wspólnymi siłami, było jej na dwa dni przy ostrym tempie. Poszliśmy razem na kolację, w hotelu działał dancing, a melodie grali raczej staroświeckie, tanga i walce angielskie. Grzegorz umiał tańczyć równie dobrze, jak mój mąż, niemniej coś mi gdzieś zaświdrowało. Zależało mi jeszcze na tym cholernym mężu.

— Przestań o nim myśleć! — rozkazał Grzegorz. — Wyłącz się na jeden wieczór. Nie można wiecznie wpietrzać kapuśniaku!

— Nie truj. Nie znoszę kapuśniaku.

— Może być kawior. Raz się przerzucisz na pyzy.

Trzeba nieszczęścia, że zawsze lubiałam pyzy. Spodobało mi się jego polecenie. Tango nabrało ognia i duszy, a w dodatku było to akurat tango Noturno „...co noc sercem je słyszę, widzę białe klawisze, widzę bladą twą twarz. By cię ujrzeć choć raz, życie dałabym całe...”

No nie, jeszcze wtedy te słowa nie utkwily we mnie na zawsze. Grzegorz trzymał mnie w ramionach, banał okropny, aż dławi, ale jakże prawdziwy! A pewnie, wszystkie banały wzięły się z prawdy i autentyku, trzymanie w ramionach jest wieczne, biedna, nieszczęśliwa, zubożona, współczesna młodzież w ogóle nie rozumie, co to znaczy, jakich uczuć doznaje się, tańcząc we właściwych ramionach. Ramion niewłaściwych sprawa nie dotyczy, żadne banały nie przychodziły mi na myśl w odniesieniu, na przykład, do tłustego Amerykanina i nawet wściekle romantyczny entourage nie miał na to najmniejszego wpływu, nawet księżyc jak złota balia...

Czort bierz balię, młodzi byliśmy, jak się ma przeciętnie dwadzieścia pięć lat, po podróży i paru godzinach rzetelnej pracy, można tańczyć ile chcąc. Alkoholu do tej kolacji zamówiliśmy tyle co kot napłakał, dwie pięćdziesiątki przy śledziku i butelkę wina do całej reszty. Na koniaku do kawy już nam nie zależało, nie lubiałam koniaku, a Grzegorz wolałby dobrego szampana. Knajpa dysponowała radzieckim, nie, to nie było to.

— Będę z tobą spał — zawiadomił mnie przy tej kawie bez koniaku.

Oburzyłam się i zgorszyłam.

— Zwariowałeś?

— Powiedziałem, że będę, to będę i nie zawracaj głowy.

Wzruszyłam ramionami i nie próbowałam protestować. Chce, niech śpi, od ładnych paru lat sypiam z chłopem i jestem przyzwyczajona. Dużo mu przyjdzie z tego spania...

Nie mając pojęcia, jakie warunki napotkam w hotelu, na wszelki wypadek zabrałam ze sobą najwytworniejszą koszulę nocną, można powiedzieć wielofunkcyjną. Od góry miała koronki, a dołu wystarczyłoby na odzież dla słonia, bez trudu dałoby się z niego uszyć krynolinę. Nigdy nie sypiałam w piżamach. Omotana niezliczonymi metrami wytwornej tkaniny, wpuściłam go do łóżka, bo niby dlaczego nie, a należy zauważyć, że z racji dopasowania w talii zdjęć z siebie ten cały nabój to była duża sztuka, po czym błogo i beztrudnie zasnąłam na jego ramieniu. Skłonności do gwałtu Grzegorz nie miał, pogodził się z sytuacją i zasnął w końcu również, mniej błogo, a więcej filozoficznie. Spaliśmy sobie niewinnie, niczym dwa aniołki.

W wiele lat później wyznał mi, że ta noc upojna napełniła go głęboką tkliwością.

Ledwo zdążyłam wrócić do domu, wyszło na jaw, że telefoniczna euforia mojego męża miała swoje uzasadnienie. Rozmawiał służbowo, owszem, tyle że ze swoją przyszłą drugą żoną. Razem pracowali. Z całego serca pożałowałam własnej kretyńskiej wierności i prawie byłam gotowa przeproszać Grzegorza, ale nie było go, wyjechał na parę tygodni. Kiedy znów pojawił się w biurze, byłam chudsza o cztery kilo i podobno miałam interesujący wyraz twarzy, bo nie da się ukryć, że rozwód mnie nie zachwyił.

No właśnie, i dokąd myśmy wtedy poszli? Zima już nadeszła, więc plener odpadał, moja sprawa rozwodowa była w toku, gdzie nas diabli zanieśli? Za skarby świata nie mogłam sobie tego przypomnieć...

Wszystko jedno. Z owego miejsca wróciliśmy do mnie i Grzegorz dobitnie udowodnił mi, że jestem piękną i godną pożądaną kobietą, pomyśl, że nikt mnie nie chce i nigdy chciał nie będzie, bije wszechświatowe rekordy głupoty, a życie i cała jego męska półowa leży przede mną na półmisku. Rozpacz po mężu zaczęła dogorywać.

Spędziliśmy wtedy razem trzy dni, nie dni, powiedzmy, że trzy wieczory, bo praca wchodziła w paradę. Jego żony nie było, wyjechała na urlop. Po tych trzech dniach Grzegorz miał jechać do niej na tydzień. Świadoma tego faktu, jeszcze się jako tako trzymałam.

— Ciekawa jestem — rzekłam w zadumie przy pożegnaniu — czy, jak wrócisz, na twój widok piknie mi w sercu.

— Też jestem ciekaw — odparł żywo. — Uczciwie chcę ci powiedzieć, że gdybyś w czasie mojej nieobecności zdecydowała się na pociechę z innej ręki... No, ręki jak ręki... Nie będę miał żalu.

Z grzeczności ugryzłam się w język, żeby mu nie wytknąć tej parszywej żony. Ja męża z serca wydarłam, a on żony nie, wręcz przeciwnie. Niemniej byłam mu wdzięczna z całej siły za ustawienie do pionu. Fakt, życie i świat przede mną.

Ogólnie szampan się we mnie nie pienił, ale uparłam się wyjść z impasu. Zastosowałam jedyną naprawdę sensowną metodę, mianowicie rzuciłam się na robotę. Lubiłam swoją pracę. Mogłam się rzucić na rozrywki i gachów, ale jakoś mi to nie leżało, zdrowy instynkt podsuwał lepsze rozwiązanie. Wtedy właśnie uświadomiłam sobie dokładnie, jakim straszliwym nieszczęściem jest praca, której się nie znosi, zawód, do którego człowiek nie ma serca, dzień w dzień robić coś, do czego czuje się niechęć albo zgoła obrzydzenie, rany boskie! Tak się marnuje życie...

Nie groziło mi to. Już dziesięć lat wcześniej zdołałam zastanowić się nad ulubioną profesją i wdać się w zajęcia, które mi pasowały. Łaska boska, że moje upodobania prezentowały dość szeroki wachlarz...

Po tygodniu nawet apetyt odzyskałam i właśnie spożywałam drugie śniadanko, kiedy z biurowego korytarza usłyszałam głos Grzegorza. Świeży chlebek z kiełbasą szynkową ugrzązł mi w gardle.

Grzegorz wszedł, witał się ze wszystkimi, podszedł do mnie.

— I co? — spytał, pochylając się nad moją dłonią, elegancko wymazaną grafitem z miękkiego ołówka. — Piknęło ci?

— Tak — odparłam poprzez ten chlebek, spontanicznie, szczerze i bez namysłu.

— Mnie też — powiedział i poszedł witać się dalej.

Zdaje się, że była to chwila przełomowa. Podałam się. O jego żonie postanowiłam nie pamiętać.

No i wtedy się właśnie zaczęło. Te upiorne zakrętki do włosów...! Nie znałam dnia ani godziny, nie miałam pojęcia, kiedy on wyłapie chwilę czasu i swobody, spotykaliśmy się gęsto, ale przeważnie zniemacka. Dusza mówiła mi, że muszę zawsze być pod bronią i nie było siły, robiłam przeklęte uczesanie! Reszta nadawała się do użytku bez żadnych specjalnych zabiegów, niepotrzebne mi były kremy i maści, trochę pudru, coś tam na oczy, skórę miałam odporną, a zmarszczki się mnie nie imały. Tylko włosy zatruwały mi życie. Kręciłam ścierwa, spałam na blachach, odgniatając sobie ciemię, potylicę i uszy, rozgoryczona i wściekła, bo co to za niesprawiedliwość cholerna, inne baby mają uczesanie z natury, a tylko ja jedna nie!

Ulgi na tym tle doznałam w wiele lat później. Odwiedziłam przyjaciółkę, młodszą ode mnie o dychę, na wczasach pod namiotem. Piękna dziewczyna, zawsze z twarżową koafiurą, i cóż się okazało? Ona też kręciła, na tym biwaku poniechała upiększeń i włosy wisiały jej w prostych strąkach, prawie jak mnie, różnicę czyniąc ogromną. Lubiłam ją zawsze, ale od owej chwili poczułam do niej czułą tkliwość. I wdzięczność. Niekoniecznie racjonalną.

Sielanka z Grzegorzem trwała rok. Przez ten rok pamięć o głowie zakodowała się we mnie, a na czaszce zapewne miałam odciski. Elastyczne i miękkie zakrętka stały się nam dostępne dopiero później, a gdyby — nawet istniały już wtedy, też wątpię, czy bym ich używała. Moje kretyńskie włosy nabierały od nich fasonu z przerażającym zapałem, przygnieciona łbem zakrętka ugięła się i kłak na niej układał się w kant. W kant, jak Boga Kocham! Zdarzyło mi się kiedyś, że nad uszami miałam pukle pozaginane pod kątem prostym i wycyrklować się świńskie ryje w żaden sposób nie dały. No, Grzegorza już wtedy nie było...

Póki jednakże był, musiałam jakoś wyglądać, a co się przy tym umęczyłam, to moje. Lek na życie w postaci pracy stosowałam nadal, co miało ten skutek, że kładłam się spać śmiertelnie ochwacona i ręce mi prawie paraliżowało, kiedy sięgałam do głowy. Kusiło, żeby dać spokój, do diabła z włosami, jedną noc bodaj przespać wygodnie, a nie tą japońską metodą! Jednak nie, mobilizowałam się. Warto było...

Wyobrażałam sobie głupio, że jednak uda mi się w nim nie zakochać na śmierć i życie, bo sprawa wyglądała beznadziejnie. Szansę na rozwód z żoną nie istniały i nie dość na tym, planował wyjazd na zawsze, o czym wiedziałam od początku. Najpierw kontrakt na Bliskim Wschodzie, a potem Europa. Stracę go i znów będę nieszczęśliwa, a właśnie nie chcę, niech to przeżyję jakoś łagodnie i bezboleśnie. Marzenie ściętej głowy, zakochałam się oczywiście, stanowił balsam absolutny. Słowa krytyki od niego nie usłyszałam, omijaj moje wady i wyszukiwał we mnie same zalety. Twierdził, że ten balsam jest wzajemny, co miało swój sens, ponieważ dysponowałam dużą siłą ducha. Wbrew sobie, kryjąc uczucia zbliżone do rozpacz, pomagałam mu przy załatwianiu tego odrażającego kontraktu i kołłam obawy, zapewniając, że mu się uda. Co do powodzenia planów miałam pewność doskonałą, jego wyjazd to dla mnie klęska, jasną było rzeczą, że ta klęska musi nastąpić.

O tym, że przemyślałam nad zamordowaniem jego żony, oczywiście nie wiedział. Nie przyznałam się, udawałam, że ją toleruję. Znalazłam nawet sposób na popełnienie zbrodni doskonałej, istnieje taki. Jeśli ktoś zabije kompletnie obcego człowieka nagle, bez żadnych przygotowań, waląc kamieniem w globus na bezludnej ulicy, ten kamień zabierze ze sobą i wrzuci do Wisły, pozostanie bezkarny. Nie ma takiej siły, która by go znalazła, brak powiązań, brak śladów, brak motywu. Mogłam zacząć się w ciemnej ulicy, użyć młotka, bo kamień trochę nieporęczny, uciec od razu, młotek pirzgnąć przez barierkę na moście... albo lepiej z brzegu, na moście może mnie ktoś zobaczyć. Powiązań żadnych, nie spotykałyśmy się, dwa razy ją widziałam przypadkowo i skorzystałam z okazji, żeby się jej porządnie przyjrzeć. Łatwe to było, urodą rzucała się w oczy. Śladów też nie zostawię, tyle co zelówki na zdeptanym chodniku, a mogę włożyć stare buty po mężu i również utopić je w Wiśle, nie mówiąc już o tym, że na każdej ulicy śladów ludzkich zatrzesienie...

Szkopuł leżał w motywie, przy dużym wysiłku dałoby się do mnie dotrzeć. Kto miał ją zabić, jak nie rywalka? No i, poza wszystkim, wzdrygałam się zrobić to świństwo Grzegorzowi, kochał ją, byłby nieszczęśliwy. Zrezygnowałam z czynu, nawet o młotek się nie postarałam, pozostawiłam sobie tylko ponętą myśl.

Po tym roku rzeczywiście wyjechał. Do kretańskiego Damaszku...

Stałam za siatką na Okęciu w zimowy wieczór, a samolot już warczał. W milczeniu, bez słowa, patrzyłam, jak z ciemnego nieba malutkimi srebrnymi płatkami pada śnieg. Jak pada na ten wielki, oświetlony, warczący samolot, na czarną płytę lotniska i na moje złamane serce...

Nie zadzwoni mi więcej do drzwi, nie usiądzie w fotelu przy stoliku, nie naleję mu już nigdy herbaty...

\* \* \*

Oderwałam się od wspomnień na samym końcu tego odcinka autostrady, gdzie dla rozrywki kierowców powtykali w zbocza wykopu kolorowe figury geometryczne. Moim zdaniem za mało jaskrawe, powinni im dowalić więcej czerwonego. Nic się nie działo, samochód sam jechał. Deszcz już od rana nie padał, przyświecało słońce.

Zapaliłam papierosa, wymacałam w torbie portmonetkę i wyciągnęłam ją na wierzch, bo w perspektywie miałam któryś tam kolejny pejaż. Za te ich drogi gotowa byłam płacić ze śpiewem na ustach, mignęła mi nawet myśl, czyby nie wydawać okrzyków w rodzaju „vive la France!”, „mille remerciements!” i tym podobnych, ale pohamowałam się, bo i tak nikt by mnie nie usłyszał, szczególnie w pejażach automatycznych.

Zaraz za odcinkiem z figurami dogoniłam jakiś dziwny pojazd. Nie tyle może dziwny, ile jadący osobliwie, slalomem przez trzy pasma, jak Ives Montand w „Cenie strachu”. Kierowcy zapewne się nudziło, a może był to zwyczajny wariat, złe samopoczucie odpadało, slalom wykonywał bardzo sprawnie. Zwolniłam na wszelki wypadek. Postanowiłam wyprzedzić go bezpiecznie, ostrym zrywem, bo diabli wiedzą, co takiemu mogłoby wpaść do łba, wymyśli sobie, na przykład, zajeżdżanie jako świetny dowcip...

Wyczekałam momentu, kiedy zawinął w prawo, i dmuchnęłam trzecim pasem. To był peugeot. W lusterku ujrzałam, że wyraźnie się ucieszył, poniechał rozrywki i ruszył za mną. Dokitowałam. Miał większe możliwości niż moja mała toyota, ale zdążyłam odskoczyć i wydusiłam z niej te sto pięćdziesiąt pięć, niech sobie leci sto osiemdziesiąt, skoro mu to przyjemność sprawia, zawsze trochę potrwa, zanim mnie dojdzie. Z prawej pojawiła się informacja o pejażu za parę kilometrów, toyota doszła do stu sześćdziesięciu, trochę niechętnie pogodziła się z sytuacją, peugeot się zbliżał, przenieśliśmy się na środkowy pas, udając, że daję mu drogę, i poczułam się pewniej, bo przed nami już coś tam zwalniało. Peugeota postanowiłam się pozbyć, nie lubię znudzonych głupków, a prawdziwych wariatów boję się śmiertelnie. Walić takiego w łeb z zaskoczenia...? Niehumanitarnie. A łagodność może okazać się zgubna.

Peugeot mnie doszedł, ale przegroda finansowa już była przed nami. Wybrałam sobie miejsce za jakąś furgonetką, chociaż boksy obok były wolne. Zdecydowałam się zwłóczyć, podałam banknot, pięćdziesiąt franków, chociaż miałam drobne. Panienska wyrzuciła resztę zbyt sprawnie, jak na moje potrzeby.

Peugeot przejechał obok bez żadnych przeszkód, ruszył wolniutko i nagle nabrałam pewności, że czeka na mnie. Idiotyzm. Nigdy takich obsesji nie miałam, sensu w tym zapewne nie było za grosz, co mnie w ogóle obchodzą ci inni, a teraz ni z tego, ni z owego głupota się we mnie załęgła. Nie spodobało mi się jego towarzystwo na autostradzie. Czeka... A proszę bardzo, niech czeka do uśmiechniętej śmierci.

Zjechałam w prawo, na sam skraj poszerzenia, i zatrzymałam się. Miałam prawo trochę tu postać. Wsiadłam, zajrzałam do bagażnika, zajrzałam i pod maskę, gdyby nie to, że zapomniałam, jak się ją otwiera. Wsiadłam z powrotem i uparłam się symulować jakieś zajęcie. No, książki przecież czytać nie zacznę... A, prawda, listy...!

Spojrzałam za peugeotem, który powoli oddalał się prawym pasem, i zaczęłam szukać napoczętej Wystrasz Heleny. W kieszeni na drzwiczkach jej nie było, zaniepokoiłam się, zastanowiłam, znów wysiadłam i znalazłam ją pod fotelem, odrobinę przydeptaną, ze śladami błota. Jak ja to zrobiłam...? A, na granicy przecież, zapewne w pośpiechu nie trafiłam w kieszeń. Dobrze jeszcze, że nie wykopałam jej przypadkowo w Stuttgarcie.

Zaczęłam czytać od razu dalszy ciąg.

„...Jest jedna taka i ona panią nienawidzi. Ja wiem, dlaczego ona panią nienawidzi. Bo ona myśli, że pani wszystko wie. Oni w ogóle myślą, że pani mu to ukradła już dawno, temu swojemu. Albo muszą to zabrać, albo panią zabiją, bo myślą, że tylko pani wie, a tymczasem nie wiedzą, że ja też wiem. I sama pani nie wie, co pani ma, a jak się pani połapie, to dopiero będzie. I o zbrodni wiem ja tu pani podaję, gdzie będę, bo adresu i telefonu to ja się boję. W każdy piątek o szóstej godzinie będę w kościele w Grójcu, w pierwszej ławce od chrzcielnicy, na samym końcu w prawo, i ta osoba, co tam siedzi, to będę ja. Księdzu się wyspowiadałam. A pani wszystko powiem, bo to straszne swołocz. Z poważaniem. Wystrasz Helena. PS. A ten list to niech pani spali”.

Peugeot mógł dotrzeć nawet do Madrytu, albo i do Lizbony, porzucając nadzieję na moje towarzystwo. Zbaraniałam gruntownie i zdolność czynienia jakichś gestów utraciłam całkowicie.

W wielkim skupieniu przeczytałam list drugi raz, potem trzeci. Niewiele mi to dało, nadal nic z tego nie mogłam zrozumieć. O co tej babie chodziło? Czy to w ogóle do mnie...?

Odwróciłam jednostronnie zapisaną kartkę i pozbyłam się wątpliwości. Z tyłu widniało jak byk: „Do pani J. Chmielewskiej”.

A jednak należało przeczytać korespondencję od razu! Piątek wypada, zdaje się, pojutrze...? Co jest dzisiaj, wtorek czy środa...? Wszystko jedno, mogłam opóźnić wyjazd o parę dni, udać się do Grójca, pójść do kościoła, znaleźć facetkę i spytać, w czym dzie-



ło. Teraz jestem we Francji i zawracać nie będę, zostawiłam za sobą deszcz i roboty drogowe... Zresztą, piątek przed nami zatrzymanie, nie wyjechałam na rok, wyjaśnię sprawę po powrocie, a listu nie będę palić, tylko przeciwnie, schowam starannie, bo przeostałabym wierzyć w jego treść.

Wstąpiło we mnie coś, co skłonna byłam uważać za głęboki rozsądek. Schowam... Miałam duże doświadczenie życiowe. Nie daj Boże schować coś tak, żeby było łatwo znaleźć, z reguły ginie na lata. Schować byle jak... też źle, nie wiadomo, gdzie szukać, zapomina się. Najlepiej tam, gdzie człowiek często sięga, włożę do bocznej kieszeni torby, mam tam plan Paryża, i różne mapy, będzie mi wpadało w rękę. Przy okazji wyjmę plan Paryża, lada chwila stanie się bezcenny.

Wysiadłam ponownie, otworzyłam bagażnik, z wysiłkiem dostałam się do zewnętrznej kieszeni torby, ustawionej idiotycznie, tyłem do przodu, wygrzebałam plan Paryża, wetknęłam list i porządnie zasunęłam błyskawiczny zamek. Już miałam zamknąć klappę, kiedy nagle uświadomiłam sobie, że mam tu czegoś za dużo. Wstawiłam tylko torbę, wielką i pękata, inne drobiazgi wrzuciłam na tylne siedzenie, tymczasem torbie jest ciasno, bo razem z nią leży coś jeszcze. Olbrzymia reklamówka, wypełniona jakby arbuzem, co to jest, na litość boską...?! Zrobiłam jakieś zakupy i zapomniałam o nich? Może mi się tam coś rozmroziło albo nawet zaśmiardło...?

Tknęły mnie razem, ciekawość i niepokój. Nie będę przecież wiozła zaśmiardłego żarcia do paryskiego hotelu, wyrzucę po drodze do byle którego śmietnika w pierwszej napotkanej stacji benzynowej. Trzeba zajrzeć...

Rozchyliłam pozaginaną reklamówkę i zajrzałam. I skamieniałam na dość długo.

Chryste Panie...!!!

Spojrzała na mnie ludzka głowa.

\* \* \*

Stałam jak słup i nie wierzyłam własnym oczom. Potem coś we mnie ruszyło i mi gnęła mi trzeźwa myśl, że tego nie kupowałam z pewnością. Następnie, zanim zrobiło mi się niedobrze, rozpoznałam głowę.

To była ta facetka z katastrofy pod Łodzią, ta, która pełzła, kazała mi uciekać i miała na imię Helena. Blade, niebieskie oczy, szerokie brwi i krwawa pręga od skroni aż do brody.

Wystraszył Helena...

Z wysiłkiem tłumiąc niemiłe objawy fizjologiczne, delikatnie zawinęłam wierzch torby i zatrzasnęłam bagażnik. Na miękkich nogach podeszłam do drzwiczek i usiadłam za kierownicą. Soli trzeźwiących nie miałam, pod fotelem telepała się mała puszcza piwa, sięgnęłam po nią, chlupnęłam sobie i zapaliłam papierosa. Piwo było letnie, dostarczyło mi wstrząsu, który nieco zrównoważył ten poprzedni.

Myślałam w kolejności następującej:

Nie zakup, ale też się zaśmiardnie, słońce grzeje. Co mam z tym zrobić? Zrealizować pierwotny zamiar i upłynnić w śmietniku...? Jakoś głupio... Wozić ze sobą, aż wrócę do kraju...? To chyba w lodzie, bo skąd bym wzięła formalinę, zresztą, formalina też śmierdzi. Oddać policji...? Rany boskie, a cóż za chryja z tego wyniknie...?!

Kiedy i gdzie...? Skąd się wzięła, na litość boską, kiedy i gdzie ktoś mi ją wepchnął, sama przecież nie weszła! Jadę jednym ciągiem, na stacjach benzynowych, płacąc w kasie, samochód miałam na oku! Zaraz, na noclegach... Jeden w Bolesławcu, drugi w Stuttgarcie, ale przecież to bydlę wyje alarmem, że na serce można umrzeć, wszędzie parking strzeżony, w Bolesławcu okno miałam od tamtej strony, widziałam samochód, usłyszałabym wycie! Cały hotel by usłyszał!

Czy ja go w ogóle zaalarmowałam...?

Przejechać pół obcego kraju z ludzką głową w bagażniku, co za radość, niezły prezent wiozę Grzegorzowi, nie daj Bóg jeszcze mnie z tym złapią, czy ona jest aby na pewno prawdziwa? Bo może sztuczna, doskonale podrobiona...?

Doznałam drgnięcia nadziei, wysiadłam, odetchnęłam głęboko i otworzyłam bagażnik. Z determinacją rozchyliłam torbę. Mobilizując wszystkie siły ducha przyglądałam się w skupieniu przez długą chwilę, od pomacania mnie odrzuciło. Nie, niemożliwe, nikt by nie zrobił czegoś takiego, musiała być prawdziwa. Będzie mi się śniła po nocach...

Znów wsiadłam do samochodu i pomyślałam, że ktoś wreszcie zwróci na mnie uwagę. To nie jest miejsce na parking, zatrzymać się owszem, ale nie sterczeć w nieskończoność! Odjechać stąd, rany boskie, zastanawiać się mogą na każdym innym odcinku trasy!

O peugeocie zapomniałam kompletnie, chociaż to on był przyczyną, dla której dokończyłam oględzin. Przestał mnie obchodzić, nie było go już zresztą widać na horyzoncie. Ruszyłam. Puszka piwa przewróciła się i trochę napoju wylało mi się na nogi. Zaczęła się turlać. Nie znalazłam innego wyjścia, jak tylko wypić resztę, a potem niech się turla skolko ugodno. Samochód i autostrada współdziałały ze sobą beze mnie, nadal mogłam myśleć.

Wszystkie możliwe komplikacje towarzyszące chwilowo przerastały moje siły, odcięta ludzka głowa w bagażniku, w obcym kraju, o święci patroni...!

Zajęłam się stroną techniczną i wysiliłam pamięć. W Bolesławcu alarm włączyłam, tak, to było pewne. Przypomniałam sobie ów moment, podręczne torby uwiesiłam na sobie, obejrzałam się jeszcze dla sprawdzenia, czy zgasiłam światła, alarm akurat błysnął. Mowy nie ma, żeby ktoś dotknął samochodu bez przeraźliwego wycia, Bolesławiec odpada.

Na granicy... Rany boskie, na granicy zostawiłam to pudło otwarte, okna i drzwiczki, latałam jak z pieprzem po cholerną zieloną kartę, żeby ją szlag trafił. Jacyś ludzie pętali się obok, facetka w żółtych spodniach z dzieckiem, wykluczyłam ją, dzieci miewają

dziwne zabawki, ale do ludzkich głów chyba jeszcze nie doszły. Ktoś mógł otworzyć mój bagażnik bez hałasu, zaraz, on się otwiera kluczykiem, no i co z tego, kluczyk dla takich różnych to mięta z bubrem, mógł otworzyć, wepchnąć torbę i cześć. Pięć sekund. Nikt na niego nawet nie spojrział, każdy myślał, że gmera przy własnym samochodzie, kto by gmerał przy cudzym, właściciele na ogół pilnują. W dodatku moje dokumenty z paszportem na czele leżały na tablicy rozdzielczej, z daleka widoczne, niemożliwe, żeby normalny człowiek zostawił wszystko w otwartym samochodzie i oddalił się w Pireneje. A otóż, okazuje się, możliwe. Albo też nie jestem normalnym człowiekiem, ale informacji w tej kwestii na plecach nie noszę. No nic, granica owszem, wchodzi w grę.

A jak było w Stuttgarcie? O Boże, jeszcze gorzej! Do znajomej dziewczyny trafiłam od tyłu, mała uliczka w zieleni, samochodu nawet nie zamykałam, poszłam szukać numeru domu, znalazłam od razu, ale witałam się, trochę to potrwało, „niech ja może zamknę samochód” — takie słowa wypowiedziałam osobiście! Znaczący był otwarty! Ale za to ruchu tam nie było żadnego, nic nie jechało, nikt się nie plątał... Chyba że mnie śledzono, założymy takie kretyństwo, ktoś patrzył z daleka, zniknęłam w głębi ogródka i we wnętrzu domu, podjechał, nie traktorem przecież... Przejeżdżał z cichym szmerkiem, przyhamował, podrzucił suvenir i zmył się. Znow pięć sekund. A było prztykać alarmem, lekkomyślna idiotka...!

No dobrze, jeszcze hotel zostaje. Znajoma dziewczyna pojechała ze mną, wskazując drogę, zaparkowałam na zapleczu, zamknąć, z pewnością zamknęłam, a co z alarmem? Włączyłam go czy nie? Żeby mnie kto zabił, nie zdołam sobie przypomnieć! Nazajutrz odjeżdżałam, prztykałam, majaczy mi się, że dwa razy, czyli nie był włączony, włączyłam i wyłączyłam, ciągle mam w oczach te błyskające światła, ale wizja pewności mi nie daje. Może ta dziewczyna będzie pamiętała, przyleciała do mnie o poranku, razem poszliśmy na parking...

Jeśli przez całą noc stało to pudło na zapleczu hotelu, nie zaalarmowane, z ulicy dostępne bez przeszkód, można było zrobić, co się chciało, i wepchnąć mi tam tysiąc głów. No nie, tysiąc by się nie zmieścił. Zawracanie głowy z pięcioma sekundami...

Zadzwonię do niej i zapytam.

Była to w końcu jakaś decyzja, podjąwszy ją, doznałam ulgi. Na jedną sekundę. W drugiej sekundzie rzuciło się na mnie przypomnienie, że wykrycie gdzie i kiedy mi tę Helenę podrzucono, wcale nie rozwiązuje sprawy i nie udziela odpowiedzi na pytanie, co, do diabła, mam z nią teraz zrobić!

Nad tym musiałam się zastanowić naprawdę porządnie i możliwie szybko. Nagle stwierdziłam, że już prawie dojeżdżam do Paryża, co za cholera jakaś, dlaczego tak wcześniej?! Rozejrzałam się, wpadła mi w oko wielka stacja benzynowa z szykanami, zjechałam w prawo, skręciłam. Znalazłam na parkingu odosobnione miejsce w kącie.

Na myśl, że jadę na spotkanie z mężczyzną życia z ludzką głową w bagażniku, coś mi się zrobiło. Dostałam histerycznego ataku śmiechu. Przechyliłam się, wepchnęłam twarz w fotel pasażera, wyłam, piałam, płakałam i nie mogłam się uspokoić. Podkreśliłam szybko, żeby mnie nie było słychać, ale i tak jakiś człowiek przyglądał mi się z zainteresowaniem z odległości kilkunastu metrów. Nie mógł chyba odgadnąć, że tak reaguję na kawałek trupa...?

Przeszło mi wreszcie, usiadłam normalnie. Zdołałam się skupić.

Rozwiązanie najprostsze: wyjąć torbę i wrzucić do kosza na śmieci. Nie tu, tu zostałam zauważona. W następnej stacji, na następnym parkingu, gdzie spróbuję się niczym nie wyróżnić.

Znajdą tę głowę i co będzie dalej? To jest kraj cywilizowany, przeprowadzą dochodzenie. Może po torbie odgadną, skąd głowa pochodzi, a może po zębach, ta czołgająca się Helena nie wyglądała mi na kogoś, kto zęby robi w Kanadzie albo w Szwecji. Dokonają zabiegów kosmetycznych, zdjęcia opublikują w mediach, może już jutro czy pojutrze. I co, mam siedzieć cicho? Nie zgłaszać się i niech sobie dojdą do wniosku, że są to porachunki terrorystyczne, można i tak, ale w ten sposób rzecz się nigdy nie wyjaśni, a taki efekt wcale mi się nie podoba. Poza tym mogą jednak trafić do mnie, sprawca, na przykład, na mnie doniesie, ten, który ją podrzucił. W rezultacie pójdę siedzieć we francuskim kryminale.

Nie dobrze. Jeśli w ogóle miałabym się zgłaszać, to bez wygłupów, razem z dowodem rzeczowym.

Zgłosić się zatem. Francuskiej policji powiedzieć, że sama im ten prezent przywiozłam i może to być niejaka Helena Wystrasz, Helena z pewnością, a co do Wystrasz, świetne nazwisko dla cudzoziemców, pokazać im list...? Tożsamość nadawczyni z ofiarą katastrofy jest moją prywatną dedukcją, podejrzeniem, natchnieniem, sugestią duszy, ponadto list zawiera informacje zagadkowe, dla tych tutaj nie do pojęcia. Szczerze mówiąc, dla mnie też...

Najrozsądniej byłoby zgłosić się, owszem, ale u nas, w Polsce. Przy okazji wyjaśniłaby się ta dziwna zmiana praw fizyki w katastrofie. List... List na wszelki wypadek mogłabym ukryć, przynajmniej do chwili, kiedy go zrozumiem. Nazwisko owej Heleny niech sobie sami znajdą, mogę zresztą powiedzieć, że je wyjawiała. Nie: „Ja jestem Helena”, tylko: „Ja jestem Helena Wystrasz”. A diabli zresztą wiedzą, czy to rzeczywiście Helena Wystrasz, ale gliny tam już były, znaleźli ją przecież, może także dokumenty... Zaraz, rany boskie, ale ona była zwyczajnie poszkodowana w kraksie, wszystkie części anatomii miała przy sobie, skąd ta głowa oddzielnie...?!

Zaczęło mi się wydawać, że też mam głowę oddzielnie, mąciło mi się w niej. Dobra, zawieźć ją z powrotem do kraju. Jak...?!?! W lodzie...?! I gdzie trzymać...?!?!

Zmobilizowałam się z dużym wysiłkiem. Postanowiłam, primo, nie wyrzucać jej do śmieci od razu, a secundo, poradzić się Grzegorza. Może to dość niezwykły temat rozmowy, jak na spotkanie po dwudziestu latach, ale na to już nic nie poradzę...

\* \* \*

Wielokrotnie w odległej przeszłości udzielał mi pomocy i rady. Najistotniejsza zawarła się w jednym zdaniu.

Z dziką siłą rzuciły się na mnie wspomnienia jeszcze wcześniejsze.

Z Bliskiego Wschodu zaczęły przychodzić listy, odpisywałam oczywiście, korespondencja jakoś nie ginęła i docierała do adresatów przyzwoicie, nikt jej nie otwierał i nie przeglądał. Grzegorz pisał różne rzeczy, aż kiedyś wreszcie dostałam list nietypowy i absolutnie przerażający.

„...Tylko od Ciebie mogę dowiedzieć się prawdy. Mąż zazwyczaj dowiaduje się ostatni, zdaje się, że i u mnie nastąpiło to zjawisko. Dobięły mnie głupie wieści o Halinie, mogą to być złośliwe plotki, ale nie wykluczam prawdy. Wspólnych znajomych miasto pełne. Po co mam tu lać po mordzie rozmaitych dowcipnisiów, jeśli przypadkowo mają rację... liczę na to, że opanujesz temat i doniesiesz fakty. Nikt inny tego nie zrobi i niktogo innego nie mam ochoty włączać. Nie wątpię, że mnie zrozumiesz...”

Dreszcze mi wtedy przeleciały po krzyżu. Kręciłam już, o ile jest to właściwe słowo, z moim drugim mężem, który szalał za mną prawie z wzajemnością, a Grzegorza z bólem serca spisałam na straty. Rozumieć, znów rozumiałam go doskonale, jakoś tak się składało, że uporczywie rozumieliśmy się wzajemnie, nic gorszego niż niepewność i okropne podejrzenia, ale żebym to ja właśnie miała go zawiadamiać o zdradach ukochanej żony...?! No nie, szczyt perwersji! Złapanie jej na orgii z sotnią kozacką sprawiłoby mi przyjemność niebotyczną, to fakt, musiałabym jednakże sfilmować gorszące sceny, bo samo słowo nosiłoby znamiona odwetu. Chęć wświdrowania się na jej miejsce mogłaby niby odpaść ze względu na drugiego chłopca, ale kto wie, może jednak...? Poza tym do osób, udzielających tego rodzaju informacji sympatii się nie czuje, zacznę mu się trwale kojarzyć ze zdradą i nieszczęściem, tego mi akurat brakowało! W głębi sumienia obiektywizmu nie czułam.

Powahałam się trochę, ustawiłam się na jego miejscu, szarpnęłam sobą i zdecydowałam się chociaż przeprowadzić rozpoznanie.

— Halusia po Grzesiu bardzo się pociesza — powiedziała kąśliwie jej najlepsza przyjaciółka. — Ja uważam, że ona jest świnią, ale Grzegorza zawiadamiać nie będę. W tydzień po jego wyjeździe dokonała spostrzeżenia, że nie lubi sama spać, nie wie dlaczego, a jeden aktor już stał u drzwi. Nie mojej babci piegi.

Znaczy, piegowata zrobiła się moja babcia, nie wiadomo która, obie nie żyły. Przyjaciółka, jak normalna kobieta, mogła przesadzić, dyplomatycznie napoczęłam kumpli. Jeden, najlepiej zorientowany, odpadł w przedbiegach, bo czcił Halusię ni-

czym świętość, przerastając niemal Grzegorza. Chodzili razem do szkoły i kiedyś tam, w cudowny sposób, uratowała mu życie, nawet ta sotnią kozacka nie dałaby mu rady. Znalazłam jego wroga i wysunęłam podstępłą supozycję.

— On? — odparł wzgardliwie na moje insynuacje, od których mnie samej robiło się mdło. — On by ją ustawił na ołtarzu i modlił się klęcząc, a jej nie tego potrzeba. Sypia z całym miastem.

— Co ty powiesz? — zdziwiłam się autentycznie i szczerze. — Myślałam, że sobie robię ordynarny dowcip! Skąd wiesz?

— Ze mną też spała. Dama z temperamentem. Jako dżentelmen, mógłbym to ukryć, ale i tak wszyscy wiedzą, bo ona nie dżentelmenów na ogół wybiera. Myślisz, że taki osiłek, co skrzynki z owocami babie na straganie nosi, okaże takt i umiar?

— O Boże! — krzyknęłam w oszołomieniu, dziko i absolutnie uczciwie. — Pokaż osiłka! Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę, może on coś w sobie ma?!

— Głupia jesteś czy co? Pewnie że ma i może nawet dużo. Nie mam co robić, tylko latać za rębajłą, sama go sobie oglądaj. Na Tamce, zaraz za Cichą. Albo przed Cichą, za leży, z której strony patrzeć.

Pojechałam na Tamkę i obejrzałam amanta. Faktycznie, piękny, młody byk, z wyraźną przewagą opakowania nad zawartością. Pięćdziesiąt kilo przestawiał jedną rączką, jakby to było pudełko zapalek, zaleta u mężczyzny nie do kwestionowania. Nie uzyskałam konkretnej informacji co do czasu, sypia z nim Halusia obecnie czy sypiała przed paroma miesiącami, postanowiłam to stwierdzić naocznie, zakotwoczyłam się na Tamce.

Miałam fart, wystarczyło jedno popołudnie. Baba skończyła handel, zapakowała się na furgonetkę, Halusia podjechała samochodem i zabrała chłopca jak stał. Może wiozła go do szkoły wieczorowej...? Nie, nie do szkoły, do swojego domu. Wiedziałam przecież, gdzie Grzegorz mieszkał, nawet nie musiałam trzymać się jej zderzaka, z daleka patrzyłam, jak wysiadali. Zdobyłam się na cierpliwość, mój samochód na szczęście nieźle grzał, doczekałam godziny drugiej w nocy i wróciłam do domu.

List do Grzegorza napisałam suchy i ostrożny. Przekazałam zdobytą wiedzę bez komentarzy własnych. Pozwoliłam sobie tylko na ostatni akapit:

„Wiem doskonale, że za takie komunikaty można człowieka zniechęcić, i w związku z tym narażam się na wielkie uczucia z Twojej strony. Trudno, woła boska. Ja, na Twoim miejscu, wolałabym to wszystko wiedzieć, a każdy sądzi według siebie. Przez okna Twojego domu do środka nie zaglądałam”.

W odpowiedzi Grzegorz przysłał jedno słowo, „dziękuję”, po czym trochę pomilczał. Dostyc długo pomilczał.

Było mi to nawet na rękę, ponieważ mój drugi z kolei wspólnik życiowy okazywał dziką zazdrość o przeszłość. Świat pękał w szwach od moich poprzednich gachów

i każdy list mógł od takiego parszywca pochodzić. Tolerował wyłącznie istnienie byłego męża, reszta została mi wzbroniona wstecznie. Widząc w tym dowód miłości nadprzyrodzonej, nie protestowałam zbyt, a Grzegorza ukrywałam starannie.

Szczęśliwie się złożyło, że pisało do mnie jeszcze dwóch znajomych chłopców z Iraku i jeden kolega z Maroka, kiedy zatem przestał wreszcie milczeć, jego korespondencja zginęła w tłoku. Zawiadamiał mnie, że przyjeżdża na urlop, ryzykując średnio, bo kontrakt ma pewny, Halusia o tym nie wie. Postara się zdążyć na początek czerwca, kiedy u nas okres urlopowy dopiero się zaczyna, najdroższą żonę zatem ma szansę zastać w pracy. Niech się dowiem, na litość boską, kiedy ona wybiera się w plenery. Zadzwoń, odpowiem mu przez telefon, bo listownie nie zdążę.

Dowiedziałam się bez trudu, nikogo nie angażując, pracowała bowiem w przychodni zdrowia, gdzie urlopy lekarskie zostały wystawione na widok publiczny dla wygody pacjentów. Miało jej nie być w sierpniu.

Poczekalam spokojnie, jakie tam spokojnie, w najwyższym stopniu nerwowo, dzięki sztuki czyniąc, żeby w czerwcu być okropnie zajęta i przypadkiem nigdzie nie wyjechać. Zdobyłam informację o terminach przylotów z Damaszku i warowałam przy telefonie, bo o wyjeździe na lotnisko o jedenastej wieczorem mowy nie było. Nie mieszkalam sama.

Grzegorz zadzwonił z Okęcia.

— Cześć, moja miła — powiedział. — No i co?

— W sierpniu — odparłam na to, trzeba przyznać, że lakonicznie.

— Dziękuję.

I odwiesił słuchawkę.

Mój aktualny pan i władca nie omieszkał rzucić się na mnie. Kto dzwonił, dlaczego, o co mu chodziło, o tej porze...?!

— Janusz — odparłam. — Spytał, kiedy Witek idzie na urlop. Przypadkiem wiem, powiedziałam, że w sierpniu, powiedział „cześć” i wyłączył się. I tyle.

— Nie mógł jutro?

— Nie wiem. O Jezu. Widocznie nie mógł, może się akurat umawia na spływ kajakowy z dziewczyną, opanuj się, ja go i tak widuję codziennie w pracy!

— I wcale mi się to nie podoba...

Moje aktualne nieszczęście polegało na wielkim szczęściu. Obdarzona byłam uczuciami potężnymi, zazdrość zazdrością, ale oprócz tego słyszałam przez szesnaście godzin na dobę, a nawet więcej, bo dzwonił do pracy, że słuchaj, ja cię kocham, nie ma dla mnie życia bez ciebie, ty mnie zaledwie tolerujesz, trzydzieści pięć lat szukałem takiej kobiety jak ty (cholera, zaczął nazajutrz po urodzeniu...?), jesteś dla mnie jedna na świecie, dostałem szału na twoim tle, stracę cię, nie zniosę tego i tak dalej. Poza głupim gadaniem, urok miał ogromny, ogień z niego tryskał ku mnie wręcz wulkaniczny,

wyrzekłabym się własnej płci, gdyby mnie to nie chwytało za wszystko, ze Związkiem Radzieckim na czele. Pardon, chciałam powiedzieć z sercem. W dodatku pokochało go dziecko, które miałam z pierwszym mężem. Zakłopsowana byłam radykalnie.

Metodą wyszukanych podstępów udało mi się spotkać z Grzegorzem, oczywiście w godzinach pracy, i całe szczęście, że dysponował samochodem, który wydarł Halusi.

— Śmiesznie nam się zmienia. — zauważył, jadąc w kierunku Puszczy Kampinoskiej.  
— Coś tam kiedyś o mnie mówiłaś, teraz mogę chyba powiedzieć to samo o tobie. Kochasz go?

— Nie wiem — odparłam uczciwie. — Mam do niego słabość i dużo upodobania. Wierzę w trwałość uczuć, gdyby zaczęły gasnąć, za jakie dwa wieki dojdą do zera. To cenne.

Kretynka.

— Jestem ostatnim człowiekiem na świecie, który chciałby ci bruździć. Co chyba nie przeszkadza...?

Owszem, przeszkadzało. Z natury byłam zawsze monogamiczna, a w dodatku brakiem zaufania tego swojego szaleńca czułam się urażona i właśnie na złość uparłam się wytrwać w wierności. Nie wyznałam prawdy.

— Nie ma warunków — zwróciłam mu uwagę. — Wszędzie ludzie.

— Masz rację. Szkoda...

Chciałam się dowiedzieć, jakie ma plany i czy ten przyjazd mu nie zaszkodził. Mgliście słyszałam o jakichś podstępnych knowaniach, ktoś tam podobno podkładał mu świnie.

— Nie — odparł. — Tym razem nic mi nie zrobią ze śmiesznego powodu. Jeden z wielbicieli mojej żony ma na to wpływ i wcale sobie nie życzy mojej obecności w kraju, wyobraża sobie głupio, że mógłbym mu przeszkadzać w amorach. Wracam na kontrakt i mogę cię zapewnić, że noga moja nie postanie tu, a Halusi tam. Wkrótce odzyskam równowagę i niczego tak nie żałuję, jak tego, że jesteś zajęta.

Szarpnęło mną. Prawie zabrakło mi tchu i słowa jednego nie zdołałam z siebie wydusić. Po jaką cholere straciłam nadzieję na niego i dałam się poderwać, po jaką cholere zrobiłam z tego trwały związek, po jaką cholere tak idiotycznie zagmatwałam się w uczuciach, nie rzucę się przecież w ślady Halusi, nie wystawia się rufą do wiatru kochającego człowieka! Szlag żeby to trafił, coś tu chyba straciłam nieodwołalnie...

Ogólnie Grzegorz był raczej w złym nastroju i kapąła z niego gorycz. Zaangażował adwokata, założył sprawę rozwodową i odjechał. Halusia podobno rozpaczła, ale bardziej była wściekła, bo dała się złapać in flagranti.

Wróciła łączność korespondencyjna. Ostatni list, jaki dostałam z Bliskiego Wschodu, był odpowiedzią na mój jęk rozpacz i zdołał zatrzymać skromne resztki porzucającego mnie rozumu.



Moja sielanka trwała jeszcze nie dwa wieki, tylko dwa lata, po czym gwałtownie zmieniła oblicze. Znalazłam się w sytuacji nie do przyjęcia i nie umiałam się z niej wygrzebać, utonąłam w nerwicy i stracących pomysłach.

„Opamiętaj się — pisał Grzegorz. — Po cholere masz zostawiać mieszkanie łobuzowi i zakopywać się w Brzanie Dolnej, niech on się wyniesie! A jeśli już musisz ty, to przynajmniej wybierz rozsądniejsze miejsce. Masz kontakty w Europie, wykorzystaj je, jedź na saksy! Może się spotkamy...”

Te kilka słów okazało się bezcenne, nagle oprzytomniałam, zaczęłam załatwiać sprawę. Załatwiłam, aczkolwiek nigdy nie zdołałam zrozumieć, dlaczego nie udało mi sięjechać do Francji, gdzie miałam zapewnione miejsce pracy, tylko do Danii, gdzie ugrzęzłam psim śwędem. Kontakt z Grzegorzem urwał się na długo. Dostałam wreszcie jakąś informację, że siedzi w Paryżu, dostałam nawet jego adres, napisałam, korespondencja znów nam ruszyła, po czym nagle przysłał mi dziwne słowa.

„Nie mogę dostawać listów od Ciebie. Wyjaśnię osobiście”.

Krążyłam już wtedy między Danią i Polską, sprawy prywatne rozwikłałam pomyślnie, eks-wielbiciela pozbyłam się definitywnie. Osobliwa wiadomość od Grzegorza zgniewała mnie, należał mi się urlop, pojechałam na tydzień do Paryża. Zadzwoiłam, spotkaliśmy się, na jego widok zrobiło mi się ciepło na sercu, on zaś powiedział „cholera” i wziął mnie w tak zwane objęcia, z tym że miejsce należało do mnie, hotelik na rue de la Douane, gdzie wynajęłam pokój.

No i wyszło szydło z worka. Ja byłam wolna, ale za to on miał drugą żonę. Szlag mógł człowieka trafić. Dopadła ta idiotka moich listów, Francuzka, ale znała polski język doskonale, nie wiem, po co Grzegorz te listy zachował, było wyrzucić... Dostała amoku, świat zaczął się dla niej składać z jednej kobiety i tą kobietą byłam ja. Grzegorz poprzyśiągł wierność pod tym jedynym względem, znów mu na niej dziko zależało, jej na nim też, zazdrość prezentowała tygrysią, a jego to bawiło ogromnie. Mogłam wydedukować, że chude lata w Syrii padły mu na mózg i słowa nie powiedziałam, bo nader niedawno, można powiedzieć dopiero co, mnie tak samo zachwycała zazdrość faceta i też upierałam się być mu wierna. Kogo Pan Bóg chce skarać, temu rozum odbiera...

No i cześć, urwało nam się. Odpadały nawet telefony do pracy, bo kuzynka tej panteiry była sekretarką w pracowni Grzegorza i co gorsza, również znała język polski. Także angielski. Poliglotka, psiakrew. Z zaciętością i satysfakcją śledziła każde jego słowo, korespondencję prywatną miał prawo otrzymywać od brata i nikogo więcej, wypisz wymaluj jak ja przed półtora rokiem. Klątwa czy co...?

Też nie miałam chęci bruździć mu w życiorysie. Poniechałam korespondencji. Tak naprawdę, chęć bruźdzenia kwitła we mnie i zgoła szalała, na złość głupiej babie, ale pohamowałam się przez elementarną lojalność i jakieś tam smętne ślady honoru. Grzegorz wyobrażał sobie, że jestem szlachetna, o twarz...

Pogodziłam się z sytuacją, bo zdobyłam trzeciego męża, czy może on zdobył mnie, i piętnastu lat było trzeba, żebym się do niego rozczarowała i zniechęciła ostatecznie. Przez cały ten czas o Grzegorzu nie miałam pojęcia, on o mnie również. Zmieniłam lokalizację i numer telefonu, on też, złośliwym przypadkiem. Byłam pewna, że mi przepadł na wieki.

Brakowało mi go różnie. To wcale, to straszliwie. Wieści o nim dobiegały mnie rzadko, tyle wiedziałam, że robi karierę. Własny stan uczuciowy pojęłam w chwili raczej dość dziwnej.

Mój ostatni mąż miał szalone zapędy pedagogiczne, uporczywie usiłował wychowywać mnie i zmieniać mi charakter. Dojadły mi te zabiegi ostatecznie.

— Słuchaj — powiedziałam do niego cierpliwie. — Mój syn jest młodszy ode mnie o osiemnaście lat, ale może zauważyłeś, że już od długiego czasu przestałam go kształtować i wychowywać. Ożenił się, dobija trzydziestki i już przepadło, utrwaliła się skorupka Jasia...

Chciałam dalej powiedzieć, że ze mnie tym bardziej nic się już nie wydoi, bo dawno zostałam ukształtowana, ale mi przerwał.

— Co masz na myśli, używając określenia „skorupka Jasia”? — spytał z wielką powagą.

Wtedy mi wreszcie mowę odjęło. Dotarło do mnie, że od blisko piętnastu lat użeram się z facetem pozbawionym inteligencji, który nie rozumie najprostszych skrótów myślowych. Sama przy nim tracę znajomość języka. Grzegorz by złapał błyskawicznie...

Poniechałam głupkowatej dyskusji i machnęłam ręką. Jasne, Grzegorz stanowił sprawdzian, przykład, poziom, poniżej którego można się tylko męczyć. Powyżej zapewne też, przynajmniej w moim wydaniu, bo nie popadajmy w megalomanię, istnieje na świecie parę osób lepszych ode mnie, cała Mensa chociażby... Grzegorz jej sięgnął, ja nie próbowałam, ale jego wyższa jakość nie przeszkadzała mi nigdy. Nagle poczułam dziką, straszliwą, nieopanowaną chęć: spotkać się z nim jeszcze chociaż raz w życiu i powiedzieć mu o tej skorupce Jasia...

To wtedy właśnie uczepliło się mnie tango Noturno. Nie chodziło, rzecz jasna, o te klawisze i bladą twarz, blada twarz służy do czego innego, przywiązuje się ją do pala męczarni, rzuca się w nią nożami i podpala całość chrustem, we mnie tkwił dalszy ciąg, „by cię ujrzyć choć raz, życie dałabym całe”, no, może całe to przesada, ale kawałek z pewnością.

Tęsknota do człowieka wybuchła we mnie jak wulkan i zareagowałam na nią w pierwszej kolejności w sposób typowo kobiecy. Poszłam do fryzjera. Jezus kochany, głowa...!!!

Z dwiema głowami wjeżdżałam do Paryża i obie przyczyniały mi ciężkiej zgryzoty, nie wiadomo która bardziej.

Władze umysłowe rozproszyły mi się nagle niczym spłoszone kuropatwy i zgłupiałam z tego do reszty. Paryż znałam średnio, można powiedzieć kawałkami. Plac Republiki, Saint Lazare, Chatelet razem z Luwrem, Cité, Wielkie Bulwary, każde sobie, a nie jakoś razem. No, Charles de Gaulle i Trocadero... Do Charles de Gaulle, czyli na place de l'Etoile, właśnie musiałam się dostać, bo w tamtej okolicy miałam zamówiony hotel.

Wiedziałam doskonale, że muszę się przebić przez cały Paryż, najlepiej nad Sekwaną. Moja beztroska autostradowa skończyła się radykalnie. Dojechałam od właściwej strony i pojechałam wzdłuż rzeki, jak trzeba, wyleciało mi tylko z głowy, którego pasa należy się trzymać. Zapomniałam kompletnie, że prawy wyrzuca na mosty, trzeba jechać środkowym. Rzecz oczywista, natychmiast wypchnęło mnie na Pont de Bercy i znalazłam się całkiem nie tam gdzie trzeba. Z wysiłkiem przekopałam się z powrotem, ogłupienie było silne, znów pojechałam prawym pasem, przerzuciło mnie ponownie przez Pont de Sully i już nie zdołałam wrócić. Zaczynała mnie ogarniać rozpacz, nie wiedziałam, gdzie jestem, postanowiłam jechać tak długo, aż ujrzę coś znajomego i rzeczywiście znalazłam się w końcu na placu Republiki. No, przynajmniej ustalił mi się kierunek, ruszyłam na azymut i wszystko byłoby świetnie, gdyby nie jedne kierunki ruchu.

W Warszawie jedne kierunki ruchu znałam doskonale, w Paryżu nie bardzo. Kiedy wreszcie, po objechaniu połowy miasta, znów przedarłam się na lewy brzeg, pogład na pasy miałam ustabilizowany, nie mogłam sobie tylko przypomnieć, którym mostem trafiam na place de l'Etoile. No, de Gaulle'a, wszystko jedno. Żadne spoglądanie w plan miasta nie wchodziło w rachubę, włączyłam się w ruch i przepadło. Na oko, instynkt i duszę skręciłam na Pont de l'Alma i cud boski, wybierając avenue Marigeanu, trafiłam właściwie.

Teraz miałam kolejny problem, od której strony Łuku właśnie się znalazłam? No, nie od Champs Elysees, to pewne. Gdzie mam avenue Carnot? Nic, wola boska, będę jeździć w kółko...

Z jeżdżenia w kółko zrezygnowałam od pierwszego rzutu oka. Na placu de Gaulle'a odbywały się uroczystości, niech to piorun strzeli, trafiłam na zakończenie wojny czy co...? A skąd, jedenastego maja, co oni tu urządzili? Może jakieś inne obchody, a może miała to być powojenna trzydniówka...? Świątowanie czegoś było pewne, dookoła l'Arc de Triomphe miotało się wszystko razem, parada wojskowa, Armia Zbawienia, orkiestra strażacka, delegacje oficjalne, tłumy ludzi i pełny ruch samochodowy. Nie został ograniczony, cóż znowu, Francja to kraj swobody, dlatego ją kochałam. Lokalizację avenue Carnot ustaliłam kątem oka i zaczęłam ku niej zmierzać.

Jedno było dla mnie pewne: żadnych konfliktów! Nie stanę tu na środku, łamiąc ręce i płacząc, zawartość mojego bagażnika wyklucza interwencje. A diabli wiedzą, jeszcze by ktoś tam zajrzał. Chciał, nie chciał, muszę przejechać bezkolizyjnie!

Siła woli czyni cuda, przejechałam. Wszyscy razem, inni kierowcy i ja, świadczyliśmy sobie wzajemne rewerencje z życzliwym uśmiechem na ustach. Jeden tylko na moje konto popukał się palcem w czoło, ale nie dziwiłam mu się wcale i nie dałam się zniechęcić do jazdy w poprzek. Tamto z bagażnika mnie pchało. Zaparkowałam przed hotelem. Emocje ostatniego odcinka podróży skłęszy we mnie szybko, wrócił podstawowy problem. Po jaką cholerę dotarłam z tym nabojem aż tutaj? Było pirzgnąć do rowu przy autostradzie w jakimkolwiek pustym miejscu, pustych miejsc, bez tłoku, sama jedna na szosie miałam zatrzęsienie, czego się czepiałam tych śmietników? Nie ma tak, żeby całe procesje latały wzdłuż autostrady na piechotę, no owszem, koszą pobocza, ale właśnie były świeżo skoszone, co najmniej przez tydzień nikt by tego nie znalazł. A potem szukaj wiatru w polu, kto by wiedział, że to ja...?

No tak, ten by wiedział, kto podrzucił. Ale nie przyznałby się przecież? A tam, przyznał, nie przyznał, mógł donieść anonimowo...

I co mam z tą głową teraz zrobić? Zabrać do pokoju? Za nic...!!!

Hotel, na szczęście, nie był aż tak elegancki, żeby zaraz wylatywali portierzy i chwytali bagaże, nikomu też nie wręczało się kluczyków. Sama, bez asysty, wywlokłam własną torbę z bagażnika i dopiero w środku ktoś tam wtrynął ją do windy i doniósł do pokoju. Samochód, starannie włączony alarm, zostawiłam na ulicy przed wejściem, a fakt, że było miejsce, wcale mnie nie zdziwił. Może nie miałam już siły dziwić się byle czym. Prawie nie zwróciłam uwagi na jakieś gadanie o parkingu, tu zaraz, naprzeciwno...

Przynajmniej jednej głowy postanowiłam się pozbyć, z marszu własną wetknęłam pod kran. Był to dowód ogłupienia bezgranicznego, kiedy zaczynałam kręcić włosy na walki przyszło mi na myśl, że mogłam po prostu iść do fryzjera, z pewnością jakiś jest czynny, nikt w Paryżu nie zamyka niczego o siódmej wieczorem, przeciwnie, raczej otwierają. Syf i malaria! Jeśli nie odzyskam bodaj odrobiny rozumu, to wszystko razem źle się skończy!

Moja suszarka zdechła i nie chciała działać, nie wiadomo dlaczego, bo napięcie mieli normalne, dwieście dwadzieścia volt. Nerwowo przeszukałam łazienkę, no owszem, chwalić Boga udostępniali takie urządzenie. Podsuszyłam się połowicznie i rozped mi skłęsz, a ręce zdrętwiały, niemrawo zaczęłam się rozpakowywać, co polegało na powieszeniu w szafie dwóch spódnic i jednego zakietu. Pogniotło się z pewnością, niech odejdzie. Prasować nie będę, w życiu nie wozłam się z żelazkiem.

Myślę po mnie szalał. Co uczyniłaby na moim miejscu normalna kobieta? Załóżmy, że z peugeotem postąpiłaby tak samo, ominęłaby go ostrożnie, uciekła, a potem postarała się puścić do przodu. Pytanie, czy zaglądałaby do bagażnika...? Nie, chyba

nie, normalne kobiety nie dostają na ogół takich listów jak ja, a nie znalazłabym przecież upiornego pakunku, gdybym nie postanowiła schować porządnie korespondencji. No więc dobrze, dokonałaby odkrycia dopiero tutaj, w Paryżu, przy wyciąganiu bagażu. I co dalej? Jedno z dwojga, zemdłałaby od razu albo zaczęła histerycznie krzyczeć. W tej chwili, po trzech kwadransach, już by tu była policja i ta normalna kobieta tonęłaby w zeznaniach, którym nikt by nie wierzył. Zabraliby ją czy zostawili na wolności...?

Może to i lepiej, że rzadko reaguję jak normalna kobieta...

Spenetrowałam barek. Nareszcie mogłam się napić właściwego napoju, znalazłam małą koniak. Głodu nie czułam wcale, koniak mi dobrze zrobił, zarepetowałam i wróciłam do suszenia głowy w nieco lepszym nastroju. Przerywałam na chwilę, kiedy mi ręce drętwiały.

Miałam kiedyś bardzo mądrą przyjaciółkę... Osiągała wszelką pomoc, nawet od męża, posługując się bardzo prostym zabiegiem, mianowicie szarzała na twarzy... Zaraz, o Boże, nie ona jedna! O drugiej takiej słyszałam, znajoma pośrednio; małe to było, chude, wypłosz albo mysz, mąż chodził koło niej jak koło śmierdzącego jajka, po czym umarł. Została w dołku. Mąż jednakże miał przyjaciela, mysz oczywiście zszarzała na twarzy, przyjaciel przejął się szaleńczo, otoczył ją opieką, rozkwitła, ale ilekroć usiłował zostawić ją własnemu losowi, natychmiast znów szarzała i więdła. Ożenił się z nią w końcu i wzorem przyjaciela wszedł na orbitę śmierdzącego jajka. Szarpał się jak dziki, a ona kwitła i może kwitnie do tej pory...

Moja przyjaciółka postępowała podobnie, wiedziała, kiedy szarzyć, przed każdym rozrywkowym zbiegowiskiem musiała sobie poleżeć, żeby ta szarość zeszała, mąż sam prasował swoje koszule i jej bluzki, pożywienia nie żądał, załatwiał wszystko, ona zaś potem mogła go wynagrodzić jaśniejącą urodą. Szarzała także przed hydraulikiem, przed płaceniem rachunków na pocztę, przed generalnym sprzątnięciem, przed zmywaniem po gościach i w ogóle przed wszystkim, co tak znakomicie upiększa egzystencję pracującej kobiety. Potem się z nim rozwiodła i zaczęła szarzyć komu innemu.

Genialna metoda z tym szarzeniem! Miliony razy chciałam ją zastosować, ale zawsze zapominałam i jeśli szarzałam, to później, odwaliwszy ciężką pracę i obrzydliwe obowiązki. Szansę na rozkwit miał raczej chłop, idiotka życiowa, nic więcej.

Mogłabym zszarzyć i teraz. Nie czepiać się własnej głowy, zostawić mokre strąki, wypchnąć na twarz te minione dwadzieścia lat...

Aż mnie otrząsnęło. Wstyd straszny. Grzegorz zapewne współczułby mi, drgnęłaby w nim rozczarowana litość, a na plaster mi jego litość?! Jeszcze by się może ucieszył, że zdążył podłapać tę drugą żonę, a mnie by wtedy szlag trafił. Trupem wolałabym paść, niż pokazać mu się w charakterze przywiędłej zmory!

Równocześnie wykończyłam koniak i uczesanie. Przyjrzałam się sobie w lustrze. No dobrze, osiągnęłam stan sprzed deszczu, to co teraz...?

Teraz zadzwonił telefon.

— Halo? — powiedziała na wszelki wypadek, nie wiedząc, w jakim języku będę musiała rozmawiać.

— No, jesteś — powiedział Grzegorz. — Zabrakło mi cierpliwości czekać do jutra i taką miałem nadzieję, że przyjedziesz już dziś.

Ulga i szczęście spłynęły na mnie wielką, ciepłą falą.

— Jeśli spragniony byłeś sensacji... — zaczęłam delikatnie.

— Spragniony byłem raczej ciebie.

— Nie szkodzi. Sensacja przyjechała razem ze mną i dostarczę ci jej, bo nie wiem, co zrobić.

— Coś się stało?

— Chyba nawet dużo. Kiedy się zobaczymy?

— Obawiam się, że dopiero jutro.

— Cholera.

— Czekaj. Spróbuję, może mi się uda. Ale to będzie dosłownie dziesięć minut, jeśli w ogóle.

— Nie wnikam w twoje przeszkody, dziesięć minut też dobre. Pod każdym względem.

— Za trzy kwadranse, do godziny...

Skoro zadzwonił, wiedział, gdzie jestem i znał nawet numer pokoju. Zrobił mi lepiej niż koniak. Pogratulowałam sobie głowy, zaopiekowałam się twarzą, z nowymi siłami rozpakowałam resztę rzeczy i zaczęłam czekać. Ileż razy tak czekałam przed laty! Jeśli już się umówił, nigdy nie zdarzyło mu się nawalić.

Rzecz oczywista, przez cały ten czas coś myślałam i skutek był łatwy do przewidzenia.

— Cześć, Grzesiu — powiedziała smętnie, otwierając mu drzwi. — Głowę mam z głowy, ale niestety, została mi jeszcze głowa.

— Czy to twój samochód stoi przed hotelem? — spytał na to.

— Mój. A co...?

— To spieprzaj z nim, ale już! Parking masz naprzeciwko. Na tej ulicy parkować nie wolno i zgarną ci go jeszcze przed północą. Z odzyskaniem jest cholerna kołomyja, pomijam już koszty.

Sparaliżowało mnie wszechstronnie.

— Jeżeli masz dziesięć minut czasu i te dziesięć minut spędzimy na parkowaniu...

— Mam równe pół godziny. Jazda, gazu!

Weszliśmy do windy.

— Milcz przez chwilę i słuchaj — powiedziała z determinacją. — Bo już widzę, że romantyczne wzruszenia przybrały szczególną postać. W tym samochodzie znajduje się ludzka głowa.

Wsiadł do samochodu razem ze mną, ruszyłam,

— Skręcaj, tu wjeżdżasz. Jaka ludzka głowa?

— Zwyczajna. Odcięta od tułowia. Prawdziwa, nie sztuczna.

Tyle zdążyłam powiedzieć przed wjazdem do garażu. Grzegorz popatrzył na mnie, wysiadł i załatwił sprawę z garażystą. Dostałam miejsce na drugim piętrze.

— Zaparkuj, a potem będziemy kontynuować. Chciałbym rozumieć, co mówisz.

Zaparkowałam, wysiadłam i zawahałam się.

— Wolałabym, żebyś na nią popatrzył własnymi oczami...

— Makabryczne widoki to nie jest moje hobby, ale jeśli uważasz, że trzeba...

Otworzyłam bagażnik, dławiąc się lekko, czubkami palców rozchyliłam torbę. Grzegorz spojrzał, wyrazu twarzy nie zmienił, decyzję podjął w ciągu sekundy.

— Ostatnio zapanowała piękna pogoda. Jedziesz ze mną. W najbliższym sklepie kupimy torbę-lodówkę i zdążymy jeszcze wrócić. Opowiedz wszystko po kolei.

Zacęłam od razu, schodząc na dół pochylnią. Samochód Grzegorza stał za rogiem. Po dwunastu minutach wróciliśmy z torbą-lodówką i płytkami mrożącymi, przełożyliśmy do pudła reklamówkę, nie oglądając już jej zawartości. Umieścić w samochodzie świeżo nabyty pakunek, nic takiego, normalna sprawa, nie było potrzeby z tym się kryć. Pudło zajęło mi trzy czwarte bagażnika, co tam, na własny bagaż miałam jeszcze cały tył samochodu. Ulżyło mi zdecydowanie.

Końca mojej opowieści Grzegorz wysłuchał w pokoju hotelowym z zegarkiem w ręku, nie przerywając. W milczeniu przeczytał list od Heleny Wystrasz. Zamyślił się na chwilę.

— Głupia sprawa. Zobaczymy jutro, zadzwonię przed południem, czekaj na mój telefon. Czas mi się skończył. Różnych rzeczy mogłem się spodziewać, ale przebiłaś wszystko.

Wstał z krzesła, podniosłam się również, ruszył ku drzwiom i zatrzymał się przed progiem.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedział miękko.

— Wzajemnie — odparłam i tyle było naszego. Trwało pół minuty.

Wyszedł, ale nie miało to żadnego znaczenia. Już sam jego widok... Nie zmienił się właściwie, siwe pasemka we włosach i tyle, reszta została, prawie nie tknięta czasem. Jego widok, obecność, bliskość, szansa na kontakt bezpośredni... balsam przy tym, to było nic. Czułam, jak na całe moje wnętrze spływa niebiańskie ukojenie i uświadomiłam sobie, że na twarzy muszę mieć uśmiech głupkowatego rozanielenia. Spojrzenie w lustro unormowało mi rysy. Wrócił mi apetyt, zdecydowałam się zjeść kolację w knajpie po drugiej stronie ulicy.

A miałam głupie obawy... Kiedy po tych dwudziestu latach milczenia odezwał się zmienacka w telefonie, poznałam go od pierwszego słowa.

— Wreszcie udało mi się ciebie znaleźć — powiedział. — Masz zastrzeżony numer, różnych podstępów musiałem używać, w dodatku zmieniałś adres. Jak się masz?

— Miło cię słyszeć, Grzesiu, po tylu latach — odparłam. — Gdzie jesteś?

— W Paryżu, jak zawsze. Kiedy tu przyjedziesz?

Planowałam sobie właśnie ten wyjazd do Francji.

Nie zaraz, wiosną. Wymyśliłam koniec kwietnia albo początek maja, żeby nie wrębać się w letnie upały, i nie zamierzałam ograniczać się do Paryża. Nie byłam nawet pewna, czy od niego zacznę.

— A jak twoja żona? — spytałam ostrożnie.

— Dużo by gadać. A jak twój mąż?

— Wcale można nie gadać. Pozbyłam się go świeżutko. O Boże, skorupka Jasia...!

— Tej metafory wprawdzie nie łapię, ale cieszyłbym się, gdybyś tu przyjechała, jeszcze nie zajęta na nowo.

— A ty tu...?

— A ja na razie nie mogę nigdzie...

Usiłowaliśmy powiedzieć do siebie wszystko naraz.

Z żoną miał jakieś kłopoty, o których nie chciał mówić. Dzieci były z głowy, poszły na swoje. Uświadomiłam sobie nagle, że my obydwój, w naszym wieku, poprzednie pokolenie, powinniśmy być zramolałą staruszką i trzęsącym się prykiem, powiedziałam mu o tym i zaczęliśmy się śmiać. Uparcie pytał o mój przyjazd, wahałam się jeszcze, miałam dużo roboty, ale już wiedziałam, że w tej sytuacji pojedę z pewnością, nie bacząc na głupie przeszkody.

Jak zwykle, rozumiałam każde jego słowo, wyglądało na to, że z wzajemnością, fluid leciał po przewodzie telefonicznym, nie, zaraz, to już była łączność satelitarna, no dobrze, leciał w kosmos i wracał. Duża rzecz.

Rozmawialiśmy codziennie, z wyłączeniem weekendów. Oczywiście, ta cholerna żona!

— Miałaś kiedyś uciążliwą sekretarkę...? — przypomniałam delikatnie za którymś kolejnym razem.

— Już dawno jej tutaj nie mam. Mam normalne biuro i normalny personel. A za to ty, zwracam ci uwagę, masz nienormowany czas pracy i zależna jesteś wyłącznie od siebie. Ja pracuję w zespole, a ty indywidualnie, pomijam inne względy. Nie wyrwę się. Przyjedź. Chcę cię chwycić w tak zwane objęcia.

— I nie przychodzi ci do głowy, że chwycisz mazurek, starszą o dwadzieścia lat?

— Nie pieprz, moja miła. Widziałem twoje zdjęcie z ostatniej chwili...

Lekki opór we mnie, mimo wszystko, istniał. Przez dwadzieścia lat starałam się wyrzucić go z serca i z duszy, z góry wiedząc, że to beznadziejne. Tkwił mi gdzieś tam, w rozmaitych komórkach. Sama byłam teraz ciekawa, jak to się odezwie po tylu latach, i miałam głównie wątpliwości. No i proszę, na sam jego widok czas przestał istnieć...



Bóg raczy wiedzieć, z jakim wyrazem twarzy jadłam kolację. Kelner przyglądał mi się z wyraźnym zainteresowaniem, z pewnością nie dlatego, że do tajemniczej potrawy z drobiu wypiałam pół butelki wina. Pod tym względem mieściłam się w normie.

Możliwości umysłowe odzyskałam do tego stopnia, że natychmiast po powrocie do pokoju zadzwoniłam do Stuttgartu.

— Pani Grażyno — powiedziałam. — Niech się pani uprzejmie skupi. Była pani razem ze mną, kiedy ustawiałam samochód na hotelowym parkingu, tam z tyłu, w tym zielsku. Czy ja go wtedy zaalarmowałam?

— Ależ skąd! — odparła znajoma dziewczyna, bystra i przytomna. — Jeszcze powiedziała pani, że szkoda baterii i wcale pani nie przytknęła. A co się stało?

Więc jednak. Cała noc w Stuttgarcie pozostała do dyspozycji tajemniczych złoczyńców i chyba wtedy mi tę Helenę wtrynili...

— Nic — odparłam smętnie. — Usiłowałam sprawdzić, czym się odznaczam, doskonałą pamięcią czy absolutną sklerozą.

— I co pani wyszło?

— Zdziwi się panie, ale jednak pamięcią...

Torba-lodówka w bagażniku łagodziła moje uczucia dostatecznie, żebym zwyczajnie poszła spać.

\* \* \*

O dziesiątej Grzegorz zawiadomił mnie, że wpadnie za pół godziny. Rzecz oczywista, nie opuszczałam pokoju, zdaje się, że przyniesiono mi śniadanie i możliwe, że w pewnym stopniu je zjadłam. Co jak co, ale prawdziwe paryskie croissantsy to nie jest coś, obok czego można przejść obojętnie.

Zdaje się, że na jego widok nie odezwałam się w ogóle ani słowem, tylko najzwyczajniej w świecie rzuciłam mu się na szyję. Opamiętałam się od razu, bo nie były to metody nagminnie kiedyś przez nas stosowane, ale przytulił mnie w sposób również jakby nowy.

— O głowie za chwilę — powiedział. — Słuchaj, miła moja, czuję się, jakbym miał osiemnaście lat i pierwszy raz w życiu przyszedł...

— Do burdelu...? — podsunęłam żywiutko, pełna skruchy za spontaniczny odruch.

— O Jezu... Nie dobijaj mnie, bardzo cię proszę. Niech szlag trafi nieśmiałość!

W trzy minuty później, a były to minuty brzemienne, rozległo się pukanie do nie zamkniętych drzwi i otworzył je Murzyn, bardzo duży, bardzo czarny i bardzo niezadowolony.

— Przepraszam — powiedział z silną naganą. — Ja tu sprzątam. Państwo zostają?

— Nie, wychodzimy — odparłam z równie silnym naciskiem. — Za dziesięć minut. Murzyn wycofał się z wyraźnym wahaniem. Otworzyłam barek.

— Stresy skracają życie — powiadomiłam Grzegorza. — Koniak wytrąbiłam wczoraj, może znajdziesz coś zastępczego? Jakies elementy muszą człowiekowi przywrócić równowagę.

— Polska żytniówka — zdecydował po krótkiej penetracji wnętrza. — Widzę tu małpkę, rąbnijmy sobie. Taki duży Murzyn to dla mnie za dużo. Rasizm nie wchodzi w grę.

Zgodziłam się z nim w pełni. Nie jestem rasistką, gdyby to była na przykład wielka baba, biała jak ufarbkowane prześcieradło, też bym się przestraszyła. Nie kolor miał znaczenie, a rozmiar i charakter, Murzyn mówił po francusku lepiej ode mnie i z pewnością był Francuzem w pełni, ale swoje wrażenie zrobił. Błysk w oku Grzegorza, błysk zapewne i w moim, zastąpiły słowa, zniszczyliśmy żytniówkę w szybkim tempie. O mój Boże, a co nam pozostało innego...?

— Dobra, wychodzimy, bo on się tu czai za drzwiami — powiedział Grzegorz. — Rozmawiać można wszędzie, pojedziemy gdziekolwiek na lunch. Lasek Vincennes, nie masz nic przeciwko temu?

Nie miałam nic przeciwko niczemu, gdyby chciał, mógł mnie zawieźć do kamieniołomów albo na cmentarzysko samochodów. Istotna była jego obecność.

— Zanim wejdziemy na tę głowę — zaczęłam po drodze. — Powiedz może to wszystko, czego nie chciałeś mówić przez telefon. Sekretarkę-Gorgonę udało ci się upłynnić, tak zrozumiałam. O żonie powiedziałaś, że dużo by gadać, w czym dzieło? Jeśli nie chcesz, nie mów, to jest sygnał, że mnie interesuje.

— Nie, powiem. Właśnie chciałem ci powiedzieć. Moja żona, niestety, od pewnego czasu nie nadaje się do życia, częściowy paraliż fizycznie i łagodna schizofrenia umysłowo. Wykończyła ją ta patologiczna zazdrość, chociaż, jak Boga kocham, nie dawałem jej powodów. Opętana jest rodzajem manii prześladowczej, uspokaja się trochę tylko wtedy, kiedy mnie widzi. Szczerze ci powiem, że żal mi jej cholernie, ale już tego nie wytrzymuję, spróbuj przez całą dobę na okrągło trzymać za rękę osobę, która wlepia w ciebie czujne spojrzenie i wnikliwie bada każdą zmianę wyrazu twarzy...

— I pyta natrętnie, o czym myślisz, dlaczego się uśmiechasz, co cię tak smuci, co tam widzisz za tym oknem, pewnie już masz jej dosyć, nienawidzisz jej, chcesz, żeby umarła...

— Skąd wiesz?

— Mam za sobą urozmaicone życie.

— Podziwiam cię, wobec tego, że nie zwariowałaś.

— Trochę z pewnością. Jak się ratujesz?

— Pracuję. Dlatego mam tyle niezawinionych sukcesów. Biorę zlecenia w odległych rejonach kraju i Europy, niekiedy nawet wyjeżdżam. Na krótko, bo ona wtedy jedzie na środkach uspokajających, większość czasu przesypia. Nie można z tym przesadzać, równie dobrze mógłbym ją zabić od razu...

— Nie daj Bóg, żeby ją coś zabiło od razu. Padłoby na ciebie, granit i beton.

— To też biorę pod uwagę, także z przyczyn dodatkowych. Poza tym, nie chcę jej zabić. Źle bym się czuł.

— To znaczy, że jesteś szlachetniejszy ode mnie, bo ja, swymi czasy, czułabym się doskonale.

— Co masz na myśli?

— Dwie osoby kiedyś zabiłabym z przyjemnością. Już nieaktualne. Od czego ona ma ten paraliż?

— Wylew w momencie straszliwego napięcia, gwałtowny skok ciśnienia. Obiektywnych powodów nie było. No, zresztą... Powiem ci, bo to kretyństwo.

Dojechaliśmy na miejsce, usiedliśmy przy stoliku i Grzegorz zamówił szampana. Także krewetki i jakieś mięsko po włosku, ale nie żarcie było dla mnie w tej chwili najważniejszym elementem wszechświata.

— Niezależnie od wszystkiego pozwól, że uczczę nasze spotkanie — powiedział, wznosząc kieliszek, i nagle, dopiero w tym momencie, prawie uwierzyłam, że to spotkanie było dla niego równie ważne, jak dla mnie. — Twoje zdrowie!

— I wzajemnie...

Opanowałam wzruszenie. Chciałam więcej wiedzieć o tej żonie.

— No więc było tak — mówił Grzegorz. — Miałem robotę, zamierzałem zostać w pracowni, ale przypomniałem sobie o jednym drobnym szkicu, który zostawiłem w domu. Jak łatwo zgadniesz, w domu też mam pracownię. Wróciłem i usiadłem do roboty, wiesz, jak to bywa. Mojej żony w tym momencie nie było, wróciła później, nie wiedziała, że już jestem, a ja nie wiedziałem, że ona jest. To willa, dosyć duża i rozczłonkowana. Czekala na mnie, w końcu nie wytrzymała i zadzwoniła do biura. A w biurze, trzeba trafu, siedziały jeszcze dwie osoby, facet i dziewczyna, mieli się ku sobie już dawno i wykorzystali okazję.

— Ludzka rzecz — mruknęłam.

— Zgadza się. Telefon odebrała dziewczyna, mocno zdyszana, i jeszcze, idiotka, powiedziała coś do niego, jakieś tam „przestań, kochanie” czy coś w tym rodzaju. Mojej żonie więcej nie było potrzeba, trwała w mniemaniu, że to ja tam jestem i chędożę rozparzoną dziwkę nawet przy telefonie...

— Każde miejsce dobre — skomentowałam filozoficznie, z zadumą wpatrzona w zestaw egzotycznych przypraw.

— Poniekąd masz rację, tyle że mnie tam nie było, a poza tym na dziewczynę akurat nie leciałem i nie lecę. Nawet hałasu nie usłyszałem, całe szczęście, że w domu pałętała się jeszcze nasza sprzątaczką, zadzwoniła po lekarza i do kuzynki, dopiero jak się zrobiło ostre zamieszanie, połapałem się, że coś nie gra i wyszedłem. Zszedłem z góry, pracownię mam na piętrze, trudno przypuszczać, że wlażyłem po rynnie. Zobaczyli mnie wszyscy, zdumieli się, bo Luiza zdołała wybełkotać, że właśnie robię za ogiera w biurze, na drugim końcu miasta. Ewidentna pomyłka, doktor złożył mi wyrazy współczucia, znał ją, to nasz domowy lekarz. Z jego wyrazów współczucia niewiele mi przyszło.

— Twoje zdrowe — powiedziałam, podnosząc kieliszek. — Głupio wypadło. Wcale mi się to nie podoba.

— A mnie, myślisz, że zachwyca?

— Mam nadzieję, że nie wyrzuciłeś ich z pracy? Tych dwojga?

— Pewnie, że nie, a cóż oni winni? Mają stracić dobrą robotę, bo żona szefa zwariowała? Nawet nie wiedzą, że się do tego przyczynili. Ale powiem ci, że już byłem na ostatnich nogach, kiedy wpadło mi w oko twoje zdjęcie na wystawie polskiej księgarni i zadziało jak balsam. Potem już miałem dosyć zajęcia, żeby cię odnaleźć, i nie było kiedy się gryźć. Cholernie chciałem spotkać się z tobą.

— No i proszę. Przyjechałam i spadło na ciebie szczęście ekstra, przywiozłam trupa głowę...

— O głowie jeszcze nie, pozwól sobie powiedzieć, że cenię cię wyżej niż cały wagon trupich głów. Co to było z tym Jasiem?

— Z ja... a! Skorupka Jasia! Proszę cię bardzo, też dużo by gadać, ale streszczę. Rozumiesz, czym skorupka nasiąknie...

— I czego się Jaś nie nauczy i tak dalej — przerwał mi niecierpliwie. — Nie cytuj całej książki przysłów, przejdź od razu do sedna.

Przeszłam z łatwością, nie rozczarowałam się, Grzegorz rozumiał wszystko w pół słowa. Całe moje trzecie małżeństwo przeniosło się w ogóle na jakiś mało ważny margines i pozbyłam się go jeszcze przy krewetkach. Różnymi szczegółom dałam spokój, mogły go wprawdzie rozweselić, ale brakowało nam teraz czasu na beztrioskie rozrywki.

Weszliśmy wreszcie na głowę.

— Gnębi mnie lokalizacja ofiary w katastrofie — wyznałam. — Rozumiesz, wyleciała, założmy, w jakim kierunku mogła polecieć? Do przodu, w ostateczności w bok, czołgała się z szybkością metra na minutę, a ja znalazłam się tam w dwie minuty po kraksie. Mowy nie ma, żeby przelazła osiemnaście metrów przez dwie minuty! Dobra, założmy ciężarówkę, poleciała do przodu, świetnie, ale to by była druga strona drogi! Słuchaj, ja już nad tym myślałam, to jest coś niepojętego, nic nie rozumiem. Nawet u nas nikt nie chodzi po autostradzie, jakiej tam autostradzie, po szosie przelotowej, to nie była głucha wieś!

— Wektory są nam znane mniej więcej jednakowo — powiedział Grzegorz.  
— Czerwone czy różowe?

— Czerwone.

— Popatrz, nawet wino nam się zgadza. Masz rację, ciężarówkę bym wykluczył. Do tyłu też odpada. Czekać, niech pomyślę...

Popatrzył w okno, popatrzył na kelnera, zaaprobował wino, przestał się wahać i powiedział:

— Brzmi to zupełnie idiotycznie, ale widzę tylko jedno rozwiązanie. Ta facetka wyskoczyła albo została wypchnięta z samochodu na sekundę przed kraksą. Fizyka innych możliwości nie zostawia. Wyobraź to sobie. Możliwe?

Różne cechy mi się w tym wszystkim zbakierowały, ale wyobraźnia pozostała nie-  
tknięta. Oczyma duszy ujrzałam, jak na ekranie, pędzący samochód, otwierające się  
drzwiczki, wychyloną z nich ludzką postać, kierowcę w środku... usiłuje złapać ją, wcią-  
gnąć do wnętrza, drugą ręką trzyma kierownicę, łypie okiem do tyłu, zjeżdża na lewo,  
nie nadąża z powrotem na prawą stronę, facetka wylatuje mu z samochodu, on sam zaś  
zaczepia jadącego z przeciwka fiata i razem walą w ciężarówkę... Nie, odwrotnie, cięża-  
rówka wali w dwa samochody... Kretyn ten w fiacie, świeć Panie nad jego duszą, widział  
przecież, że wóz przed nim dziwnie jedzie, po cholere wyprzedzał...? Zaraz, ale tam był  
przecież jeszcze jeden samochód, jechał za tym z Heleną, wbił się w rumowisko zaled-  
wie zderzakiem, no może kawałeczkiem maski, może stłukł reflektory, ale poza tym nic  
mu się nie stało...

— Dwa wozy — powiedziałam z rozpędu do Grzegorza, równocześnie widząc wy-  
latującą tuż przed zderzakiem facetkę. — Hamowali wszyscy, mogła ująć z życiem. Jeśli  
już mam przyjąć kryminał, jeden eskortował drugiego, ona jechała w pierwszym i sama  
próbowała wyskoczyć. Stąd kraksa.

I już mówiąc te słowa poczułam błogość, która mogła opromienić pół życia. Nie mia-  
łam cienia wątpliwości, że Grzegorz wszystko rozumie, nadawaliśmy na tej samej fali,  
cóż za ulga! Nie trzeba mu wylupywać toporem, niczym sołtys na miedzy najgłupszej  
krowie świata!

— Też tak uważam i byłem ciekaw, czy sama to powiesz. Mnie tam nie było, muszę  
patrzeć twoimi oczami.

— Mogę ci to narysować.

— Proszę cię bardzo...

Na serwetce restauracyjnej stworzyłam, można powiedzieć, sensacyjny komiks.  
Rysować umiałam całe życie, w skupieniu postarałam się o utrzymanie właściwych od-  
ległości, uwzględniłam trzy fazy. Grzegorz przy każdej kiwał głową.

— Wyobraziłem to sobie identycznie i powiem ci szczerze, już wczoraj wieczorem  
próbowałem narysować. Mogę się pochwalić, że wyszło podobnie. Zatem przyjmujemy,  
że ta Helena nie jechała dobrowolnie i usiłowała wyskoczyć...

— Wyskoczyła — skorygowałam. — Usiłowania jej się powiodły.

— Wyskoczyła, w porządku. Do tej pory było łatwo, bo w grę wchodziły prawa przyrody. Teraz się zaczynają komplikacje.

— Tak jest — przyświadczyłam. — Czekaj, to ja jestem kryminalistka, a nie ty. Lęgną się następujące pytania: primo, dlaczego jechała pod przymusem? Secundo, dlaczego kazała mi uciekać? Tertio, dlaczego wieźli ją tą samą trasą, którą jechałam, specjalnie czy przypadkowo? Quarto, jaki to miało związek z listem, o ile list był od niej, a prawie gotowa jestem za to głowę na pniu położyć. Quinto...

— Naprawdę do tego stopnia umiesz liczyć po łacinie? — zainteresował się nagle Grzegorz.

— Umiem liczyć w ośmiu językach i nie powinno cię to dziwić — odparłam z naganą. — Nasz zawód, twój obecny, a mój były, zawsze wymagał liczenia.

— W jakich?

— Po polsku, po duńsku, po angielsku, po niemiecku, po włosku, po łacinie, po francusku i po rusku. Po rusku nigdy nie było mi potrzebne i sama się dziwię, że pamiętam. Co prawda, z reguły pcha mi się nie ten język co trzeba i na przykład we Francji świetnie znam duński...

— Nie szkodzi, podziwiam cię szczerze. Dobra, quinto...?

— Quinto, co się tam działo i jak jej dopadli, żeby odrąbać tę głowę? Po kraksie była w całości... Sexto, po cholere mi tę głowę wetknęli, bo gdzie i kiedy, to już zgaduję. Albo w Zgorzelcu, jak latałam za zieloną kartą, albo w Stuttgarcie, w nocy, na hotelowym parkingu...

— Dla ostrzeżenia — przerwał Grzegorz. — To jedno, czego jestem pewien.

Zamilkłam na chwilę, zauważyłam, że na talerzu mam wołowinę w płatkach cieńszych od papieru, zjadłam ją ze zdenerwowania i popiłam wyjątkowo znakomitym winem.

— Słuchaj, Grzesiu — zaczęłam ostrzegawczo. — Ja tu nie przyjechałam po to, żebyś mnie utuczył...

— W ludożerstwo nie popadłem — przerwał mi od razu, a oczy mu się śmiały i było w nich coś takiego, że szczęście rozlało się po mnie, sięgając aż do pięt.

Nagle przypomniały mi się inne oczy. Bez wyrazu. Zawsze jednakowe. Twarz, do tych oczu przynależna, prezentowała rozmaite stany uczuciowe, zainteresowanie, wesołość, niechęć, naganę, troskę, co tam jej akurat wypadło, oczy nigdy nic. No nie, raz jeden ujrzałam w nich jakiś rodzaj błędnego zamglenia, z czymś mi się skojarzył, nagle pojęłam z czym i wszystko się we mnie wzdrygnęło. Wypisz wymaluj, zakochana norka! Widziałam taką w znajomej hodowli... I nawet sytuacja pasowała...

Wspomnienie trwało ułamek sekundy. Nie zniknęło zupełnie. Uczepiło się jak nietoperz w jaskini, słabo widoczne w ciemnym kącie i kiwające się chwiejnie. Fizyczna i namacalna obecność Grzegorza przysporzyła mi w tym momencie niebiańskich doznań zgoła do wypęku.

— No? — powiedział Grzegorz, przyglądając mi się z jakimś zachłannym zainteresowaniem.

— Zamajaczyło mi coś tam z tobą na czele, ale za dużo by gadać nie na temat. Jedźmy dalej na tej głowie. Na deser życzę sobie serka i nic więcej, żadnych słodyczy!

— Chyba udało mi się trochę cię nie doceniać w tych dawnych czasach. Ale może nie było okazji... Dobra, ja też uważam, że list pochodzi od niej. Czekaj, na jedno z pytań może odpowiemy. Jak jechałaś? Powoli, średnio...?

— Nie wiem, co uważasz za średnio, ale mój samochód lubi sto czterdzieści. Rozumiem, dogoniłam ich. Nikt normalny nie mógł przypuszczać, że do Wrocławia pojedę przez Łódź!

— Zatem przypadek, ukartowana akcja odpada. Za to nie jest wykluczone, że spotkanie ciebie spowodowało decyzję zabicia tej baby.

— Cóż za piramidalna pociecha!

— Zdaje się, że wielu pocieszających elementów w tym interesie nie znajdziemy.

— Też dobrze. Może stracę apetyt. Widzisz chyba, że odchudzać się muszę.

— Idiotka. Nic nie musisz.

Idiotka... Czułość zawarta w tym słowie, pełna aprobata, wręcz miłość, popłaczę się chyba ze wzruszenia, w słowie „idiotka” najczarowniejsze oświadczyzny, a słyszałam to samo wyrąbane toporem, przejeżdżające przez człowieka niczym walec drogowy, walące kafarem! Wzgarda i potępienie absolutne!

Przez człowieka...? Zaraz, chwileczkę, ostatecznie kobieta to też człowiek. Nawet jeśli po informacji „przyjdzie człowiek i przyniesie szafę” oczekuje się mężczyzny, bo w życiu żadna baba szafy nie przynosiła, to jednak... Odrzućmy szafę, nie ma tak, żeby społeczeństwo latało po wsiach i miastach z szafami na plecach, człowiecze cechy kobieta posiada i mahometański stosunek do niej jest zdecydowanie błędny. A w tamtej poprzedniej „idiotce” był zawarty. Czego mi się ten facet w ogóle przyplątał, jak nie oczy, to islam, nie, o rany, nie był to Arab! Niechże się od niego odczepię!

— Cholera — powiedziałam z irytacją, błogie uczucie rozmazując równą warstwą po całym wnętrzu. — Że też nie wyjęłam tego ze skrzynki od razu! Z pustej ciekawości skoczyłabym do Grójca, wielkie mecyje, pół godziny jazdy! Złapałabym babę, wiem, gdzie stoi chrzcielnica, autentyk z trzynastego wieku. Znam ją osobiście.

— Toteż dlatego przypuszczam, że z tą ofiarą ktoś pogadał. Była w szoku, mogło jej się dużo wyrwać, powiedziała o liście do ciebie, pojawiała się za nimi, łatwo wnioskować, że ich śledziłaś. Reakcja była błyskawiczna. Upieram się, że głowa ma stanowe ostrzeżenie. Zarazem daje pewność, że już z facetką osobistego kontaktu nie nawiądziesz.

Błysnęło mi natchnienie.

— W takim razie wtrynili mi ten podarunek w Stuttgarcie. Nie na granicy. Istniała szansa, że ktoś zajrzy do bagażnika, celnicy, czy ja sama, narobię krzyku, Polska o krok,

zacznie się rozróżba. A w obcym kraju zgłupieję, postaram się opanować, nic sensownego nie zrobię i pogląd, jak widać, jest słuszny. Czas... Może sprawcom potrzebny jest czas?

Grzegorz przez chwilę przyglądał mi się z wahaniem.

— To nie jest megalomania — zastrzegł się. — Powiedzmy, że raczej nadzieja. Gdybyś nie była umówiona ze mną, jechałabyś dalej? Czy zawróciłabyś od razu?

Zdziwiłam się, że może mieć wątpliwości. Myślałam, że wszystkie uczucia wyłażą ze mnie na wierzch i widać je równie dobrze, jak, na przykład, parchy.

— Jasne, że zawróciłabym! Możliwe nawet, że poleciałabym jednym ciągiem aż do naszej granicy.

— Kto o mnie wiedział?

— Nikt. Nie, zaraz, do jednej uczciwej przyjaciółki powiedziałam, że jadę na spotkanie z jednym takim i mam wielkie obawy, co też ujrzy we mnie po dwudziestu latach. Nic więcej. Nie jest to osoba z dawnych czasów i o tobie nie ma pojęcia. W ogóle inne środowisko.

— Głowa mogła mnie przebić... Ryzykowali.

— Czym? Jak to sobie wyobrażasz? Francuskie czy niemieckie gliny łapią babę z kawałkiem świeżych zwłok w bagażniku, dobra, baba sama przyszła i histerycznie szlocha. Może, poza wszystkim, wariatka. Potrzymaliby mnie przecież do jakiegoś wyjaśnienia, nie? Jak długo? Mogło wystarczyć. A może w ogóle myślę się co do czasu i należało mnie tylko przestraszyć?

— Masz przy sobie ten list?

— Mam na wszelki wypadek już wczoraj włożyłam do torebki.

— Zawsze byłem zdania, że nie ma większej mądrości niż wszelki wypadek...

Przy maksymalnie egzotycznych serach, z których jeden śmierdział łajnem, zjawisko wysoce romantyczne, pochyliliśmy się nad kartką z motylkiem w rogu. Motylek też pasował nieźle.

— Teraz ja zacznę — powiedział Grzegorz. — Po pierwsze, kto cię nienawidzi?

Wzruszyłam ramionami.

— A cholera wie. Pojęcia nie mam. Możliwe, że parę osób, nie deklarują mi się. Mogę najwyżej podejrzewać.

— Podejrzenia też dobre.

— Może i dobre, ale żadnej baby w nich nie ma. No, że dwie przynajmniej czują do mnie niechęć, na nienawiść to za mało. Raczej faceci, paru się naraziłam, oni z górnych sfer przestępczych, zdaje się, że bezwiednie uszkodziłam im doskonały interes. No i mój ostatni mąż, jego jestem pewna...

Znów zamajaczyły mi te oczy bez wyrazu. Nietoperz w kącie jaskini rozłożył skrzydełka.



— Mam wrażenie, że o nim w tym liście jest mowa...? — powiedział Grzegorz.

Popatrzyliśmy na siebie. Grzegorz też nie miał ruchliwej twarzy, umiał jej nadać wyraz dowolny. Oczy za to posiadał normalne, ludzkie, ich wyraz mnie zgoła upoił, uznałam, że koniecznie muszę ukryć przed nim doznania własne, mężczyźni przesady uczuciowej nie lubią. W tych dawnych czasach, przed prawie ćwierć-wiekim też ukrywałam, ile mogłam. Czy on w ogóle miał bodaj cień pojęcia, że był dla mnie mężczyzną życia...?

Opanowałam się, w czym wydatnie pomogła mi głowa Heleny Wystraszczonej. Ujrzałam ją nagle ze straszliwą wyrazistością, spojrzała na mnie z tej upiornej reklamówki i z szosy pod Łodzią, a już prawie zdołałam zapomnieć, że ją ciągle mam! Serek, nie ten z łajnem, stanął mi w gardle.

— Zamów mi kieliszek porządnego koniaku — poprosiłam ponuro. — Z dwojga złego już wolę się urżnąć i nawet mieć kaca, niż przeżywać takie wstrząsy. Oczywiście, że o nim jest mowa, nie darmo moja dusza czepia się go i czepia. Popatrz dalej, ukradłam mu i może mam cholera wie co. Domyślałam się, co. Czekał, w jednym zdaniu nie zdołam ci wyjaśnić, ile mamy jeszcze czasu?

— Półtorej godziny, ustawiłem się z zapasem luzu. Zaraz, ten koniak, przyda ci się...

— Nieszczęśliwym przypadkiem — zaczęłam. — Nie, nie tak, bądźmy uczciwi, z głupoty. Związałam się z osobnikiem, który uwielbiał tajemnice i podstępne knowania...

Grzegorz do słuchania był idealny. Przez pełny kwadrans wystawiałam bardzo negatywną opinię własnemu ostatniemu chłopu. Pochodził ze sfer obcych nam, tkwił w jakichś niepojętych kontrolach partyjnych, dziwnych machlojach z okresu błędów i wypaczeń, badaniach zagadkowych świństw najwyższego szczebla, w jakichś kontrwywiadach, intrygach MSW i diabli wiedzą w czym jeszcze. Gromadził obciążające dokumenty i tonął w papierach. Mieszkania mieliśmy oddzielne, bardzo długo widziałam w nim asa wywiadu, albo nawet coś jeszcze wspanialszego, supermena. Grzegorz doskonale znał moje manie, wiedział, że za tajemnicą i zagadką pójdę na koniec świata, traktował szmergla pobłaźliwie, gotów był go szanować. Zrozumiał przyczyny fascynacji. Nie czułam skrępowania, ujawniając głupotę.

— Kłamał patologicznie — mówiłam teraz z gniewem. — Twierdził, że posiada materiały rzędu bomby, nikt się do nich nie dostanie, zastosował środki ochronne własnego chowu. Wyszło nareszcie szydło z worka, wykryłam prawdę, bzdety to były, łągał na każdym kroku aż się kurzyło, wyłupałam, co myślę i od tego mnie znienawidził, bo mu naruszyłam wiarę we własną doskonałość. A co do tej całej makulatury, nie wątpię, był nią zapchany. Ktoś mógł sobie wyobrazić, że miałam do niej dostęp. Odpada radykalnie. Nie miałam.

— A miałaś klucz do jego mieszkania?

Dostałam ten koniak. Napiłam się go. Popatrzyłam na Grzegorza. Jasne, wyłapał sedno rzeczy.

— Otóż, wyobraź sobie, miałam. Przez trzy tygodnie. W wyniku głupot różnych, nieobecny w domu, klucze zostawił mnie, bo nie miał innego wyjścia, na zaufanie, co prawda, nie zasługiwałam, ale uprzedził, że wszystkiego się dowie, sprawdzi... Nie muszę cię chyba zapewniać, że noga moja nie stanęła w pobliżu jego domu, może przypadkiem pamiętasz, że jedną z moich cech jest idiotyczna lojalność...

— Uspokoisz się?

— Bardzo jestem spokojna. Nie ma więcej koniaku? Nie, Grzesiu, nie zamawiaj, to były czasy i chwile nader emocjonujące, ale już minęły. Możesz mnie uważać za debilkę, jeśli chcesz, proszę bardzo, byłam dumna z siebie, że potrafię wiernie służyć bóstwu, a potem się okazało, że mogłam być nawet ostatnia świnia, bo on się przede mną zabezpieczył...

— Kurwa — powiedział Grzegorz cicho i jednak zamówił ten koniak podwójnie.

— Dlatego nie miałam litości. Dlatego we mnie strzeliło i powiedziałam wszystko, co myślę i co odgadłam, dlatego mnie znienawidził. Dlatego to się rozpadło z dnia na dzień, mimo piętnastu lat zgodnego współżycia...

— Łóżko...? — spytał Grzegorz jakoś delikatnie i półgłosem.

— Łóżko!!! — wrzasnęłam, rozwścieczona. — Nie denerwuj mnie chociaż ty!!! Do łóżka to on się nadawał, jak ja do opery!!!

— Szlag żeby to trafił, po cholere my tu siedzimy...

Zamilkłam nagle.

— Bo tam był Murzyn — przypomniałam, otrząsając się z emocji.

Przez długą chwilę Grzegorz milczał, patrząc na mnie.

— I czegoś, do stu piorunów, ty wtedy do mnie nie podeszłaś? — spytał z rozgoryczeniem i wyrzutem. — Byłem widoczny, ty w tym tłumie. Zauważyłem cię wcześniej, owszem, ale spostrzegawczość w tamtej chwili była raczej odległa ode mnie...

— Miałam męża.

— Ileż to głupot człowiek czyni we wczesnej młodości...

— Pies mnie ugryzł — powiedziałam smętnie po paru sekundach wzajemnego porozumienia.

Udało mi się go zaskoczyć, chociaż wcale nie miałam takiego zamiaru.

— Co...?

— Pies, mówię. Kogo w dzieciństwie pies ugryzie, ten wcześniej za męża wychodzi. Powinno się mówić „ta”, rzecz dotyczy jednostek płci żeńskiej, o męskiej nie słyszałam. Pomijam już taką drobnostkę, jak to, że od najwcześniejszych lat byłam przekonana, że nikt się nie zechce ze mną ożenić. Więc jak ktoś zechciał... Sam rozumiesz, Grzesiu, musisz mi to wybaczyć.

— O mój Boże wielki i wszyscy bogowie greccy... — powiedział Grzegorz uroczyście.

Odzyskałam jakby jakieś szczątki równowagi.

— Czekaj, zdaje się, że jeszcze do niczego nie doszliśmy, jesteśmy w połowie drogi. Można domniemywać, co następuje: grzebałam w jego papierach, coś z tego całego śmiecia okazuje się obecnie dla kogoś niebezpieczne i to właśnie podwędziłam. Może na złość. List tej Heleny rozumiem i mogłabym wywinąć głupi numer, trzeba mnie przyciszyć. Stąd głowa. Ewidentna pomyłka złoczyńców.

— A ta baba, która cię nienawidzi?

— Baby nie zgadnę. Może się sama ujawni. Ale widzę tu inny problem, albo mi to odbiorą, albo muszą mnie zabić, odbierać mi nie ma czego, zachodzi zatem ta druga konieczność. Co ty na to?

Druga konieczność Grzegorzowi się nie spodobała. Uzgodniliśmy, że sprawę należałoby jakoś rozwikłać, dowiedzieć się czegoś więcej. Nie miał wątpliwości, że będę próbowała i nie usiłował mnie zniechęcać.

— Postaraj się może jednak zachować jakąś ostrożność. Najmniejsze niebezpieczeństwo przedstawia chyba ksiądz. Ta Helena się wypowiedziała...

— Ksiądz zachowa tajemnicę spowiedzi. Musi.

— Nie będzie ksiądz mówił do ciebie, tylko ty do księdza. Też się wypowiedzasz i poprosisz o radę. Albo ksiądz jest przyzwoitym człowiekiem, tajemnicę zachowa, a rady udzieli, albo jest zwykłą gnidą, co też się zdarza, i wtedy tajemnicę zdradzi. Zawsze będzie to jakiś krok do wiedzy.

— Jeszcze mi zostają gliny. Coś z tą głową przecież muszę zrobić, do śmieci, mimo wszystko, nie wyrzucę i na cmentarzu ukradkiem chować nie będę.

— No owszem, gliny mają swój sens... Cholernie myślę nad tymi dawnymi latami i nad dokumentacją tego twojego. Miał w niej może jednak nie tylko bzdety?

— A diabli go wiedzą co miał...

— O ile w grę wchodzi to samo grono, które kiedyś rządziło... A mam wrażenie, że nie dali się oderwać od koryta...?

— Zależy którzy. Co młodsi i bystrzejsi zostali.

— Też o nich coś wiem. Pamiętasz może... Po kontrakcie nie wróciłem nie tylko ze względów osobistych. Miał do mnie zadrę taki ubek i on mi świnie podkładał, paszportu już bym nie dostał na pewno, pracy też, chociaż, jak wiesz, w politykę nigdy się nie wdawałem. Później się dowiedziałem, o co chodziło, Halina mi się przysłużyła. Kombinował z nią, to było wtedy, kiedy przyjechałem na urlop, potem go odstawiła od piersi i zaczął się mścić, na mnie zamiast na niej. No, na niej też, beze mnie szans wyjazdu nie miała. A nie kochał mnie już wcześniej, bo nie lubiłem kamuflować w projektach instalacji podsłuchowych. Przez przypadek widziałem o nim za dużo, cała klika to była, na koncie mieli nawet zabójstwa, nie mówiąc o rabunku, jeśli istniały jakieś dowody...

— Przedawnienie — przerwałam smętnie. — Teraz mogą się przyznać nawet do napadu na bank na Jasnej.

— Nie sędzę, żeby zakończyli proceder. Zmiana ustroju stworzyła im nowe możliwości.

Zastanowiłam się. No owszem, w chwili obecnej dawna władza mogła siedzieć u nowego żłobu i ujawnienie rozmaitych przestępstw sprzed dziesięciu, a nawet piętnastu lat wygryzłoby ją z ciepłego gniazdka. Z listu Heleny wynikało, że pętał się w tym ten mój były. Kto by uwierzył, że dysponowałam kluczem do tajemniczego lokalu i nie skorzystałam z szansy obejrzenia wnętrza? A może mu tam coś zginęło z tej całej nagromadzonej makulatury i stąd pomysł, że ja to rąbnęłam...

— On się nazywał Sprzęgieł — powiedział Grzegorz w zadumie.

Podrzuciło mnie.

— Co...?!

— A co...? Znasz to nazwisko?

— Nie wiem! Tak! Ależ tak! Ja to nazwisko przeczytałam! Myślałam, że chodzi o sprzęgło!

— Gdzie przeczytałaś?

Przez chwilę milczałam posepnie, zbierając wspomnienia.

— W notatkach tego mojego półgłówka. Śmietnik miał, a nie notatki, luźne kartki rozsypały mu się po stole, już nie będę podkreślać, że podobno przeze mnie, może dmuchnęłam, a może tworzyłam atmosferę nerwowości, pomogłam to zgarniać i nazwisko wpadło mi w oko. Wiesz, że mam pamięć wzrokową, samotnie było napisane, coś tam wyżej, coś tam niżej, a w środku tylko Sprzęg, z tym że odczytałam go właśnie jako sprzęgło. Wypisz wymaluj jak z kotłami.

— Zdawało mi się, że dysponuję pewną bystrością umysłu, ale to chyba złudzenie — zauważył Grzegorz melancholijnie. — Możesz to ostatnie zdanie jakoś rozbudować?

— Z Karoliną jechałam — wyjaśniłam niecierpliwie. — Z moją wnuczką. Napis był przy drodze, KOTŁYCO, Karolina odczytała to jako Ołtyco i obie, nic nie mówiąc, zastanawiałyśmy się, co to może być za miejscowość o takiej dziwnej nazwie. To były kotły CO. Nie zwracaj uwagi na moje skojarzenia. Sprzęgieł mi wyszedł podobnie i od ciebie się dowiaduję, że to jest nazwisko.

— To jednak coś w tym może być — powiedział Grzegorz, czyniąc gest brodą w kierunku listu, który wciąż leżał na stoliku

— A może, może.

— Nie musi to być akurat Sprzęgieł. Ale jeśli ten twój eks miał go w ewidencji... Innych też, na ciebie padają podejrzenia, że za dużo wiesz... Już nie miałaś kogo sobie podrywać?

— Nie miałam! Robił dobre wrażenie! Rozeszłam się!

— Dobre i tyle...

Znienacka rozwścieczyła mnie myśl, że nie zawierałabym takiego głupiego związku, gdyby nie dopadł tej swojej drugiej żony. Potrzebna mu była jak dziura w moście! A, prawda, ona jest ciężko chora, no dobrze, nie będę się czepiać. Poza tym, ostatecznie, nie musiało mi się zachciewać asa kontrwywiadu, teraz bym mu chętnie wydrapała oczy. Może nieudolnie, odwykłam od pracy fizycznej.

— Będę musiał wracać — powiedział Grzegorz z westchnieniem. — Sama rozumiesz, że mogę sobie pozwalać tylko na śniadanko. W dodatku o pierwszej jestem umówiony z klientem. Spotkamy się dopiero w poniedziałek, sobotę i niedzielę muszę spędzać w domu. Słuchaj, a może byś tak wyszła wcześniej? Umówmy się w tym bistro na rogu, tam trochę niżej. Niech ten Murzyn zdąży posprzątać...

\* \* \*

Uparłam się, że metrem jeździć nie będę. Paryż od spodu znałam doskonale, postanowiłam teraz poznawać go lepiej z wierzchu i jeździć wyłącznie autobusami. Nie było to trudne, szczególnie że po raz pierwszy wreszcie nie śpieszyło mi się i w kwestii kierunku mogłam popełniać dowolne pomyłki.

W zasadzie zaplanowałam sobie dwie sprawy. Skoczyć do Wersalu i obejść na piechotę obie wyspy, Cité i świętego Ludwika. Na wyspach chciałam sprawdzić, czy odgadnę miejsce spalenia na stosie templariuszy, których załatwił Filip Piękny w XIV wieku. Parę lat od tamtych czasów minęło i zmieniło się dużo, kozy na cypelku już się nie pasły, ale żywiłam nadzieję, że coś tam uda mi się wydedukować. Nie miałam do templariuszy żadnego krwiożerczego stosunku, nie upajała mnie myśl o śmierci w płomieniach, po prostu lubiłam wyobrażać sobie i lokować w plenerze wydarzenia historyczne.

Własne zamiary pomieszałam dokładnie. Znienacka wysiadłam z autobusu przy Saint Lazare, ponieważ dostrzegłam, że znajome Prix Unique jest otwarte i potem już miałam prostą drogę do wielkich magazynów. Ugrzęzłam w nich. Kiedy wreszcie wyszłam, nie nadawałam się ani do Wersalu, ani do wysp, za dużo trzymałam w rękach, mogłam tylko wrócić do hotelu i pozbyć się obciążenia.

Potem zrobiło się za późno na turystykę i poprzestałam na oglądaniu Paryża z okien autobusu. Tak naprawdę ciągnęły mnie sklepy, ponieważ szukałam halki, zwyczajnej halki, jaką się nosi pod kiecką. Rozmaite nowe mody zniweczyły tę sztukę garderoby prawie doszczętnie, sprzedawano albo krótkie koszulki do bioder, doskonałe przy spodniach, albo ręcznie haftowane szaty do kostek, z prawdziwego jedwabiu, ceną zrównane z diamentową kolia, albo grube, ciepłe, z trykotu i jakby flaneli, albo zgoła nic. A mnie potrzebna była zwyczajna, tradycyjna halka na cienkich ramiączkach. Nie jedna nawet, kilka.

Sklep ze zwyczajami halkami dostrzegłam nagle przez to autobusowe okno o dwa przystanki od placu Bastylli. Nie rzuciłam się do wyjścia, postarałam się tylko zapamiętać adres. Pełno było desusów na wystawie, rozmaitych. W poniedziałek, albo lepiej we wtorek, przyjadę tu specjalnie...

Na obfitującą w upragnione halki ekspozycję gapiłam się długą chwilę, bo autobus prawie się zatrzymał, coś go tam z przodu zakorkowało. Widok wystawy zasłoniła mi rozgrywająca się przed sklepem malutka scenka, której przyjrzałam się z zainteresowaniem, bo coś mi przypominała, zupełnie jakbym oglądała ją drugi raz.

Dwie baby podeszły z dwóch różnych stron, popatrzyły na wystawę, potem spojrzały na siebie i jakby je grom strzelił. Gwałtownie i równocześnie, razem, równiutko, jak na komendę, odwróciły się i ruszyły w przeciwnych kierunkach, przy czym każda wracała tam, skąd przyszła. Nad przyczyną nie musiałam się zastanawiać, odgadłam ją od razu i rozśmieszyła mnie, miały identyczne kapelusze. Niefart śmiertelny, w Paryżu nadzieć się na dublet...!

Zarazem moja pamięć wzrokowa drgnęła i podetknęła obrazeczek z przeszłości.

Czekałam na Grzegorza w kawiarni. Umówieni byliśmy w pewnym stopniu służbowo, ale z nadzieją na wydłubanie dla siebie odrobiny czasu prywatnego. Przyszłam wcześniej, bo tak mi wypadło, usiadłam przy stoliku akurat naprzeciwko lustra i przed tym lustrem ujrzałam dwóch facetów. Też podeszli z dwóch różnych stron, zatrzymali się na moment i nagle dostrzegli siebie nawzajem. Obaj byli kudłaci, brodaci i wąsaci, obrośnięci na wszystkie strony, chociaż w tamtych czasach wąsy i brody jeszcze nie zaczęły zbyt wchodzić w modę. Awangardowi młodzieńcy, można powiedzieć, bardziej przypominali kudłate małpy niż ludzi, a cały zarost mieli identyczny kształtem, długością i kolorem. Zapewne każdy z nich uważał siebie za ekstrawyjatek i cieszył się niezwykłością urody, bo na widocznych częściach twarzy mieli jednakowy wyraz zaskoczenia i oburzenia. Jednakowo zmarszczyli brwi, odwrócili się błyskawicznie i szybko rozeszli w dwie przeciwne strony. Całkiem tak samo jak te baby przed sklepem.

Grzegorz właśnie nadszedł, rozweselona scenką, powiedziałam mu o niej natychmiast. Obejrzał się, bo jeden z owych szympansów siedział za jego plecami.

— A, to chyba niejaki Renuś — powiedział z uciechą. — Znam go bardzo luźno i rozpoznaję po kłakach. Podobno też się wybiera w świat, ale wątpię, czy go puszcza, bo już samą gębą protestuje przeciwko ustrojowi...

Nie mając zielonego pojęcia, że dwie baby przed sklepem z halkami dały mi w prezencie klucz do tajemnicy, pojechałam tym autobusem dalej, przejechałam właściwy przystanek i bardzo okrężną drogą, na piechotę, wróciłam do hotelu. Wbrew zamiarom odwalałam trasę, która chwilowo zniechęciła mnie do dalszych spacerów.

W niedzielę w pierwszym odruchu chciałam wziąć samochód i jechać do tego Wersalu, ale wspomnienie straszliwej zawartości bagażnika wybiło mi z głowy ten pomysł. Poprzestałam na wyspach, obeszłam je porządnie, śladu po templariuszach nie znalazłam, za to odpadły mi nogi. Z zawiścią patrzyłam na wszystkich kierowców, spokojnie jadących samochodami, z pewnością żaden nie wiozł trupa...

Siedząc później na prawym brzegu Sekwany i popijając smętnie białe wino, uparcie przyglądałam się oczyma duszy owej scenie w warszawskiej kawiarni. Niejaki Renuś... Coś mi się majaczyło na jego temat, nie znałam człowieka, ale chyba też o nim słyszałam. Wyjechał na kontrakt...? Prysnał przy okazji jakiejś wycieczki...? Poszedł siedzieć...? Dał komuś po mordzie albo sam dostał...? Coś tam było, atrakcyjnego towarzysko...

Zgniewało mnie nagle, że czepiam się go w takiej głupiej chwili, co on mnie w końcu obchodzi, nad sobą powinnam się zastanawiać, a nie nad nim! Na dobrą sprawę powinnam zbliżyć się do polskiej granicy, żeby dopaść rodzimej policji i pozbyć się wreszcie cudownego bagażu, tymczasem siedzę sobie błogo w Paryżu i rozmyślam o całkowicie obcym facecie, musiałam chyba zidiociec do reszty. No, dalej nie pojedę, to pewne, nie będę pałętać się po Europie z odciętą ludzką głową, cholera, mało mi było własnej, jeszcze i drugą mi podrzucili. Żeby chociaż nogę albo rękę...

Wspomnienie własnej głowy podniosło mnie z miejsca. Jutro spotykam się z Grzegorzem, zabiegi fryzjerskie niezbędne...

\* \* \*

Nazajutrz, w ów poniedziałek, o poranku, nabyłam sobie letnie klapki.

Od kłapek do umówionego bistra na rogu nie było więcej niż pięćdziesiąt metrów. A jednak zdążyło się na mnie zwalić wspomnienie.

Dawno temu kupiłam sobie pantofle pod wpływem Grzegorza. Na wystawie w jakimś sklepie ujrzałam prześliczne obuwie za przystępną cenę, co zaskoczyło mnie niepomrotnie, bo do butów, jako państwo, mieliśmy chyba pecha. Produkowane były raczej stępory niż co innego, a nawet jeśli prezentowały jakieś walory zewnętrzne, materiał, z którego były wykonane, przypominał stal kuloodporną. Raz w sklepie w Alejach Jerozolimskich natknęłam się na przepięknego kota, rozwalonego na parapecie okiennym, i od razu zgadłam, po co go trzymają. Nie dla myszy, tylko po to, żeby można było powiedzieć, iż w sklepie z butami znajduje się coś ładnego.

Te prześliczne pantofle zatem, znienacka ujrzone, przyciągnęły moją uwagę. Weszłam, przymierzylam, były co najmniej o pół numeru za małe, zawahałam się. Przy okazji zostałam powiadomiona, że jest to tylko jedna para, ręcznie robiona, która wróciła właśnie z wystawy brukselskiej. Nie kupiłam, ale korciły mnie i jeszcze tego samego dnia powiedziałam o nich Grzegorzowi.

— No wiesz! — zgorszył się. — Co to za kobieta, która rezygnuje z ładnych pantofli tylko dlatego, że są za małe!

Jak oszalała popędziłam tam nazajutrz, buty jeszcze stały, kupiłam je natychmiast. Po czym dumnie włożyłam na nogi, idąc z nim wieczorem do letniego kina na Rozbrat.

Pantofle były rzeczywiście prześliczne, pochwalił je z ogniem, ja zaś na własnej skórze odcierpiałam „Opowieść o prawdziwym człowieku”. Te brakujące pół numeru zrobiło swoje. Żeby mnie kto zabił, nie umiałabym powiedzieć, co za film tam szedł,

z chwili na chwilę bardziej zajęta byłam nogami, już wiedziałam, że bez rozbicia nie da się tego nosić, miętka skóra, owszem, ale gniotąca ze wszystkich stron równomiernie. Po plecach zaczęły mi latać dreszcze, a zęby same się zaciskały. Wrócić do domu i zdjąć to, Chryste Panie...!

Wiedziona honorem i ambicją, nie mówiłam na ten temat ani słowa, Grzegorz zaś po filmie zaproponował, żeby wykorzystać piękny wieczór wiosenny i pójść piechotą. Możliwe, że usiłowałam zaprotestować, ale zabrzmiało to zapewne niczym kocie miauknięcie, wróciliśmy piechotą i tych chwil do samej śmierci nie zapomnę, to pewne. Zdjęłam pantofle w przedpokoju, dech mi przy tym zaparło, ale później już ukrycie strasznych doznań przyszło mi z łatwością. Następnego dnia poleciałam na Hożą, dałam je do naukowego rozbicia i z absolutną przyjemnością nosiłam przez całe lata. Skóra popękała ze starości, a fasonu nie straciły, robota na złoty medal!

I za każdym razem, kiedy wkładałam je na nogi, w sercu pikała mi wdzięczność dla Grzegorza.

Idąc teraz do umówionego bistro, po drodze natknęłam się na mały sklepik z obuwiem. Na wystawie stały czarne letnie klapki. Czasu miałam jeszcze dużo, bo przy okazji zaplanowałam wizytę w banku, który znajdował się też na rogu, po przeciwnej stronie ulicy niż bistro, postanowiłam je kupić, pasowały, załatwiłam rzecz w minutę. Czasu nadal miałam dużo.

Poszłam dalej.

Przed bankiem, trzy metry od wejścia, coś mnie nagle uderzyło w lewą stopę, z boku, od zewnątrz. Rąbnęło tak, że na moment Dociemniało mi w oczach, zaparło mi dech i zrobiło mi się trochę słabo. Zatrzymałam się, wsparłam na drzewku, rosło obok jak na zawołanie. Ludzie przechodzili, nikt nie zwrócił uwagi, co to było, na litość boską...? Odczekałam długą chwilę, oddech mi wrócił, bałam się spojrzeć na nogi, bo byłam pewna, że stopę mam strzaskaną na drobne kawałki, a widok byłby to nie bardzo przyjemny. Opamiętałam się wreszcie, ostrożnie popatrzyłam dookoła, niczego niezwykłego nie zobaczyłam, z determinacją skierowałam wzrok w dół. Stopy miałam w całości, pantofle na nich też. Stałam na żelaznej kratce chroniącej to drzewko, właściwie nie była to kratka, tylko dekoracyjne słoneczko z płaskowników, ażurowe, pod nim zapewne znajdowała się ziemia, jeśli to coś, co mnie z takim impetem walnęło, wpadło w ziemię... Musiało być małe, większe bym chyba dostrzegła...? Nie będę przecież gmerać w dziurach i tego ochronnego żelastwa nie podniosę, a, niech szlag trafi przedmiot, stłuczenie czuję rzetelne, czy mi przypadkiem kość nie pękła...?

Spróbowałam stanąć na tej stopie. Okazało się to mocno skomplikowane. Nie od razu znalazłam pozycję, jaka pozwalała się na niej oprzeć, a i tak sama krawędź płytkiego pantofla urażała mnie dokładnie w uderzone miejsce, na nowo odbierając dech i wyciskając łzy z oczu. To mnie zmobilizowało, żadnych łez, umalowana jestem! Z wysiłkiem uczyniłam kilka kroków.



W banku podjęłam połowę zaplanowanych pieniędzy, bo już wyraźnie czułam, że jeździć po mieście i zakupów robić nie będę. Myślałam dość chaotycznie, rentgen, apteka, okład z lodu, na litość boską, zdjąć te buty, co za fart ślepy i szczęście nieziemskie, że przed chwilą kupiłam klapki, zaraz się w nie przebiorę, niech tylko dotrę do bistra, niech usiądę na krześle...

Przelazłam na drugą stronę ulicy, kichając i plując na czerwone światło. Kierowcy, chwalić Boga, nie lubią przejeżdżać przechodniów na pasach, nawet tych niezdyscyplinowanych i głupkowatych. Z najwyższą ulgą usiadłam na krzeselku w narożnym bistro i wówczas stwierdziłam, że paczkę z nowymi klapkami zostawiłam w banku.

Wymówiłam głośno dużo polskich słów, których nikt by nie znalazł w żadnym słowniku i których nikt na szczęście nie zrozumiał, i ruszyłam w drogę, ponownie przez ulicę tam i z powrotem, robiąc dużą przyjemność kolejnym kierowcom. Kiedy razem z klapkami znów usiadłam na krześle, pot po mnie płynął, a zęby szczękały.

Zmieniłam obuwie, złapałam oddech i w tym momencie pojawił się Grzegorz.

— Spóźniłem się, miła moja, przepraszam, ale za to mam więcej czasu o dwie godziny. Co się stało?

— Nic — odparłam z radosnym uśmiechem. — Zdaje się, że szlag mi trafił nogę.

Grzegorz spojrzął pod stół. Jak na dłoni widziałam w nim zaskoczenie. Czarne, bardzo letnie klapki nie pasowały kompletnie do mojego rudego kostiumu

— Jak dla mnie, możesz mieć na nogach postoły, ogólnie jesteś ważniejsza niż moje poczucie estetyki. Ale pozwól, że się zdziwię...

— Nie ma czym. Przed chwilą zrobiło mi się coś złego w lewą stopę i musiałam na poczekaniu zmienić obuwie. Głupio poprzestać na jednym pantoflu. Od razu ci wyznam, że spaceru odpadają, jak mnie zaczniesz trochę mniej boleć, wrócę do hotelu i przyłożę sobie lód.

— Tu można nieźle zjeść, załatwimy śniadanie, tylko wejdźmy do środka. Dasz radę?

Dałam. Bez pośpiechu. Z wdzięcznym wyrazem twarzy na wierzchu i zaciśniętymi zębami nieco głębiej. Usiedliśmy.

— Jak to się stało?

Powiedziałam mu, dopiero teraz dziwić się wydarzeniu. Co to mogło być, to coś małego, bo nie wjechał mi przecież na nogę walec drogowy, i jakim sposobem nabrało takiego impetu? Kamień z procy...? Jeśli Dawid kamieniem z procy zabił Goliata, musi to mieć nieźle możliwości. Zapewne jakiś bachor sobie strzelał...

— Bachor jak bachor — mruknął Grzegorz. — Kulę rozpoznasz? Mam na myśli pocisk z broni palnej?

— W stanie nowym z pewnością, nie wiem jak po wystrzeleniu. Pocisk z broni palnej przebiłby mi to kopyto na wylot, nie noszę przecież kuloodpornych pantofli.

— Może szkoda. Ale tu mi się widzi raczej rykoszet...

Popatrzyliśmy na siebie, Grzegorz z troską, ja z lekkim powątpiewaniem. Może i rzeczywiście należało pogrzebać w ziemi przy tym drzewku.

— Zamachy terrorystyczne to wy tu sobie uprawiacie na każdym kroku — wytknęłam z dezaprobatą. — Ale bardzo wątpię, czy są skierowane przeciwko mnie. Poza tym co to miało być, snajper i zarazem bilardzista? Tak wycyrklował?

— Nie wygłupiaj się, rąbnąć pod nogi, kolejne ostrzeżenie. Drzewko, mówisz, odbiło się od żelaznej ramki, przypadek. Nie podoba mi się to coraz bardziej. Ta Helena mogła im powiedzieć znacznie więcej, niż napisała do ciebie, naszpikowali ją czymś...

Przyszedł kelner i postawił przed nami jakąś tajemniczą potrawę po włosku z białym winem. Było mi wszystko jedno, co to jest, grunt, że do jedzenia nadawało się doskonale.

— Teraz próbują wywinąć jakiś numer z tobą. O coś im chodzi...

— Byłoby może wskazane pogawędzić ze mną — przerwałam krytycznie. — Znam ludzką mowę.

— Nie jestem pewien, czy oni znają. Usiłują do czegoś cię zmusić albo zniechęcić. Zastanowiłam się na głos.

— Zmusić, możliwe. Nie do kontaktu z policją chyba, raczej do powrotu. Niech się odcepię od Francji i wracam do kraju, głowa powinna mnie pchać w tym kierunku, teraz noga, idiotyzm, z nogą właśnie mogłam ugrzęznąć tutaj nawet w szpitalu, gdzie sens, gdzie logika? Nie, nogę jednak należy uważać za głupi przypadek, nie wiem tylko, jak to mogło wyjść technicznie. Wracać... pytanie, czy zdołam prowadzić samochód, zaczynam zmieniać pogląd na automatyczną skrzynię biegów...

— Istnieje także możliwość, że tym twoim przeciwnikom coś wyszło inaczej, niż planowali...

Po trzech kwadransach cholerna noga trochę się uspokoiła i zdołałam przeleźć te sto metrów, uwieszona na Grzegorzu. W hotelu kulałam demonstracyjnie znacznie bardziej, niż mi to było potrzebne, a Grzegorz podtrzymywał mnie z bijącą w oczy troską. Wjechaliśmy windą na czwarte piętro.

Pokój był już posprzątany i Murzyn nie groził. Przez chwilę miałam na własność męczyznę życia... Nie była to chwila imponującej długości. Zdążyłam odwiesić zakiet na oparcie krzesła i paść Grzegorzowi w objęcia, kiedy zadzwonił telefon.

— Kurwa — powiedzieliśmy równocześnie, bardzo cichutko i spokojnym głosem.

Dzwonił garażysta, połączyła mnie z nim recepcja. Zmartwiony i zakłopotany, spytał o numer samochodu, upewnił się, że to mój, i oznajmił, że włączył się alarm, bez powodu, ale nie chce się włączyć i strasznie wyje. Wytrzymać bardzo trudno.

A pewnie, mogłam to sobie wyobrazić. Dźwięk ten alarm miał taki, że można było paść na serce, gdybym mieszkała w pokoju od ulicy, usłyszelibyśmy go bez trudu przez mury i ściany. Wygrzebałam z torebki kluczyki i wręczyłam Grzegorzowi.

— Nie ma siły, musisz tam iść i wyłączyć to gówno. Ja nie pójdę. Tym czerwonym i włącz go potem, na włączenie kwiknie raz.

— Wiem, mam podobne.

Z jego nieobecności skorzystałam, żeby dobrać się do zamrażalnika, który stanowił jedną bryłę lodu. Umęczyłam się jak dzika świnia, bez skutku, nie zdołałam wyrwać zasobnika, nie psując całej lodówki. Coś tam w głębi trzasnęło. Zadzwoiłam do recepcji i poprosiłam o pomoc, lód mi niezbędny, stłukłam sobie nogę. Odnalazłam w torbie klinexy i postanowiłam użyć ich do okładów, pełna nadziei, że serwis hotelowy jakoś się do tego ustrojstwa dobierze.

Grzegorz zastał mnie przy zdejmowaniu rajstop.

— To nie ma być striptiz kuszący, tylko moczyć zamierzam bosą nogę, a nie szmaty — zastrzegłam się pośpiesznie. — Cholera, ona sinieje. Nie dotykaj!

— Nie, badać tego nie będę, nie znam się, nie jestem ortopedą. Ale palcami możesz ruszać?

— Palcami mogę.

— Może to nie jest złamanie, tylko stłuczenie. Gdzie ci położyć kluczyki?

— Na środku stołu, żeby się rzucały w oczy. I co tam było?

— Moim zdaniem ktoś próbował dostać się do twojego bagażnika. Odgłos to wydaje z siebie rzeczywiście zdrowy. Przeprowadziłem na poczekaniu małe śledztwo, otóż co najmniej od trzech godzin nikt tam nie wchodził, za to rano pętało się mnóstwo ludzi. Zabierali i wstawiali samochody, to ma cztery piętra, ktoś mógł zostać, odczekać i dopiero teraz przystąpić do pracy.

— Chcieli zabrać głowę — orzekłam bez namysłu.

— Albo sprawdzić, czy ją jeszcze masz.

— Diabli nadali. Należało się tam zacząć...

— I spędzić dwie doby? Po to przyjechałaś do Paryża, żeby zamieszkać w publicznym garażu?

Do drzwi pokoju zapukano i pojawił się znajomy Murzyn, a z nim razem zatroskany recepcjonista.

— Wygląda na to, że po to — powiedziałam do Grzegorza po polsku. — Rozmawiaj z nimi, ja nie mam siły. Zaraz mi wyjdzie choroba umysłowa albo szósty palec u ręki. Tylko lód niech wyjmą!

— No, jeżeli to mają być warunki na romans...

— Jaki romans, to kryminał!

Murzyn dobrał się do zamrażalnika i posapywał. Recepcjonista objawił niepokój, coś mi się stało, widział, że kulałam, czy nie potrzebuję jakiejś pomocy? Pokazałam mu stopę, rzeczywiście zaczynała podejrzanie sinieć, ale pomoc odrzuciłam. Grzegorz z wiel-

kim przekonaniem wmawiał w niego, że wystarczy mi lód, a jeśli coś więcej, to on mi dostarczy. Murzyn z potężnym chrupnięciem wyrwał wreszcie na świat ową bryłę lodu, lodówka jakoś przetrzymała te zapasy.

Starannie przyłożyłam do stopy lodowaty okład i pozbyłam się hotelowego personelu. Grzegorz usiadł obok. Popatrzyliśmy na siebie.

— Myślisz, że pół godziny zwłoki w tej terapii może ci bardzo zaszkodzić?

— Myślę, że nie zaszkodzi mi wcale...

A nawet gdyby miało zaszkodzić, niech ją diabli wezmą, tę nogę... Tego już nie powiedziałam.

Potem znów siedziałam w fotelu z nogą wspartą o łóżko, nie był to bowiem Ritz i odległości między meblami łatwo dawało się pokonać. Umysł zyskał szansę racjonalnego działania.

Grzegorz wyciągnął czerwone wino z neutralnej części barku.

— Oni tu mają rozum w głowie i dbają o właściwą temperaturę napojów — pochwalili. — Z całej twojej wycieczki nici. A już mi się prawie udało załatwić doskok, nie mówiłem ci tego...

— Naprawdę myślałeś, że pojedę do Marsylii z tym delikatnym towarem w bagażniku? — przerwałam nieco zgryźliwie.

— Wykombinowałem, gdzie to przechować czasowo. Zdaje się jednak, że coś nam nie sprzyja, słuchaj, możeby zrobić rentgena...?

— Tylko w wypadku, gdyby się okazało, że nie mogę prowadzić samochodu.

— Przydałaby ci się automatyczna skrzynia biegów...

Przyłożyłam sobie nowy kawałek lodu.

— Będziesz musiał mi pomóc — powiedziałam, żeby załatwić sprawę od razu. — Na drugie piętro tego garażu nie wejść, żadnych ciężarów nosić nie zdołam i bagażnika nie otworzę przy ludziach za żadne skarby świata. Tu się zdziwią, jeśli im każę wpychać tobół na tylne fotele. Wolałabym, żebyś to zrobił własnoręcznie, możliwie wcześniej. Przed dziesiątą.

— Sam będę chciał sprawdzić, jak się czujesz. Nie ma sprawy.

Kiwnęłam głową, napiłam się wina i ni z tego, ni z owego spytałam:

— Słuchaj, Grzesiu, a co się dzieje z Renusiem? Co się z nim właściwe stało?

Przez sekundę Grzegorz jakby szukał w pamięci.

— Czekaj... Z jakim Renusiem?

Przypomniałam mu scenę przed lustrem i te dawne czasy.

— A, już wiem! Tak, był taki... Czekaj, ja się z nim przecież zetknąłem tutaj, oczywiście! Popatrz, kompletnie wyleciał mi z głowy. A co, on cię interesuje? Zdaje się, że go nie znałaś? Skąd ci się nagle wziął?

Opowiedziałam mu o scenie przed sklepem i skojarzeniu, które mi się tak nachalnie wepchnęło. Grzegorz zastanawiał się przez chwilę.

— Renuś tu był w tym samym czasie, kiedy przyjechałem pomiędzy kontraktami. Zajęty byłem sobą, a nie jakimiś obcymi głupkami, ale słyszałem o nim dużo, teraz mi się przypomina. Czekaj... O ile wiem, prysnął z kraju, przysłużyła mu się wycieczka do Wiednia. Później przedostał się do Stanów i zdaje się, że już z piętnaście lat temu porastał pierzem, robił tak zwane interesy czy może odziedziczył spadek, nie jestem pewien. Same plotki. A, widziałem go nawet, usunął z gęby te kłaki i chodził ogolony, pierwszy raz wtedy zobaczyłem, jak naprawdę wygląda. Potrzebny ci on do czegoś?

— Do niczego. Ale mnie gryzie i czepia się wściekle, nie mogę się od niego opędzić.

— Jakby ci zależało, mogę się dowiedzieć. Mam wrażenie, że w Stanach zetknął się z Andrzejem. Znałaś przecież Andrzeja...? Jestem z nim w kontakcie.

— Dowiedz się. Niech się od niego uwolnię, bo nie mam czasu na głupstwa.

— Dobrze. Jeśli w ogóle mogę ci jakoś pomóc...

— A tam — wyrwało mi się lekkomyślnie. — Wystarczy, że jesteś, bo już myślałam, że cię nie ma i nigdy nie będzie...

Dopiero kiedy wyszedł, zapanowałam jakoś nad własnym życiem uczuciowym. Znow mi dobrze zrobił, nie zawiódł, też go nie miałam dla siebie, tak samo jak przed laty, a jednak w jakiś tajemniczy sposób był. Istniał. I to się okazywało najważniejsze...

Po dwudziestu latach przyjechałam na spotkanie z nim, przywożąc w bagażniku odciętą ludzką głowę, do tego złamałam nogę i zniweczyłam szansę na rozwinięcie spotkania, złego słowa mi nie powiedział, przeciwnie, od razu zaczął pomagać. Nie wypominał, że to z pewnością moja wina, mój wygląd, bo wdaję się w idiotyzmy, nie kręcił nosem i nie wybrzydzał. I tak było zawsze. Cokolwiek robiłam, nigdy nie czynił mi wyrzutów. Wrąbałam go w dekoracje na Targach Poznańskich, czego wcale nie chciał i nie miał w planach, w noszenie węgla w smokingu i lakierkach, w przeżalenie ciemną nocą przez zrujnowane mury w Czersku... Żadnych pretensji, zawsze zachował się tak, jakbym wymyśliła najatrakcyjniejszą rozrywkę świata.

Każdy człowiek potrzebuje aprobaty i akceptacji, nikt nie wytrzyma życia w atmosferze bezustannej krytyki, potępienia i nagany. Zdaje się, że przyjmowaliśmy siebie wzajemnie, z dobrodziejstwem inwentarza, w stu procentach, zamykając oczy na wady, widząc tylko zalety, i możliwe, że udawało nam się to bez trudu dzięki rzadkości kontaktów. Z serca żałując, że to nie ja jestem jego żoną, podejrzewałam zarazem, iż w ścisłym związku małżeńskim moglibyśmy ze sobą nie wytrzymać.

Wyobraziłam to sobie, któryś tam raz, na nowo. Wspólny dom, wspólne posiłki... Nie, to drobiazg. Grzegorz podobno miał trudny charakter, jeśli istotnie, przede mną to ukrył. Dla mnie prezentował wyłącznie szaloną łatwość współżycia.

— Głupia jesteś — powiedział mi kiedyś. — Przecież ty nie stroisz żadnych kretyńskich grymasów, nie jesteś leniwa, nie masz w sobie krzty małpiej złośliwości, nie kłamiesz, walisz prawdę, jesteś, no już trudno, użyję tego słowa, szlachetna, uczciwa i rozu-

miesz innych. Masz olbrzymie poczucie humoru i posługujesz się inteligencją naturalnie i spontanicznie. O stronie zewnętrznej nawet nie wspominam. Umiesz gotować...

W tym miejscu mu wtedy przerwałam, chociaż słuchałam w upojeniu.

— Zwariowałaś? Skąd, na litość boską, wiesz, że umiem gotować?! Od tej cholernej jajecznicy?!

Dałam mu kiedyś, w wielkim pośpiechu, jajecznicę, bo niczego innego nie miałam w domu, a obydwójce byliśmy głodni. Pochwalił ją z zachwytem, suponując, że dodałam sera i ten ser wydatnie podnosi walory smakowe. Sera nie było u mnie śladu ni popiołu, jajecznicę zaś po prostu usmażyłam na patelni z zaschniętymi resztkami poprzedniej. Nie kryłam faktu.

— No właśnie — przyświadczył żywo. — Z niczego umiesz przyrządzić doskonałą potrawę. Czego ja się mam czepiać, wszystkie twoje cechy sprawiają mi frajdę i przy tych zaletach twoje wady gównie mnie obchodzą. Upodobania mamy jednakowe...

Fakt, mieliśmy. Obydwójce lubiliśmy wyłącznie wytrawne wino, jarzyny i owoce tylko surowe, nie gotowane, przed zaśnięciem w łóżku poczytać sobie książkę, hotele i pensjonaty wyłącznie pierwszej kategorii, jednakowo nie trawiliśmy namiociku i biwaku nad ruczajem, oraz tłumem i ścisną. Powiedzmy, że dodatkowo ja umiałam rozpalić ognisko jedną zapalką i wyżywić się produktami z lasu, a Grzegorz miał licencję pilota, ale to już były cechy marginesowe. Trochę nam się mijało przy klimacie, ja bowiem uznawałam wyłącznie morze, Grzegorz zaś chętnie dopuszczał także i góry. Za to w kwestii pracy obydwójce potrafiliśmy doskonale zrozumieć słowa ukochanej osoby: „Daj mi spokój i nie zwracaj głowy, ja teraz pracuję”, a kto z normalnych jednostek ludzkich obojętnej płci umie się do tego dostosować? I baba się obrazi, i chłop, będą próbowali przeszkadzać, a co najmniej czekać niecierpliwie, co nie ma siły, wisi w powietrzu. Dać człowiekowi spokój przy pracy to jest wielka sztuka, rzadko komu dostępna. Mieliśmy ją opanowaną.

Tak na marginesie, najgłupsze są chyba żony policjantów. Widziały gały, co brały. Wie w końcu taka, kogo poślubia, a potem ma pretensje i wyczynia awantury, że mąż nie przychodzi punktualnie na obiad, a bywa, że i na kolację nie wraca. Co jej się wydawało? Że od dnia jej ślubu zaniknie przestępczość...?

Co właściwie miałyby nas poróżnić? Pieniądze? Nonsens, zarabialiśmy je obydwójce ulubioną pracą, od lat byłam samowystarczalna, nie dość na tym, utrzymywałam dom, Grzegorz również. Jakies głupie fanaberie? Wystarczy odrobina rozumu, żeby je opanować, wystarczy odrobina tolerancji... Może inna kobieta, ale kobiet w życiu Grzegorza w ogóle nie zdołałabym policzyć, on sam pewnie też nie, wiedziałam o nich więcej niż jego żony, nie miały znaczenia. Poza tym, miałyby chyba dość taktu, żeby je przede mną ukryć...?

Jedno tylko właściwie zostało. Podwiązki... Westchnęłam sobie na to przypomnienie. W bardzo, ale to bardzo młodych latach byłam głęboko przekonana, że podwiązki stanowią najwstrętniejszą część stroju. Jest to wprost obrzydliwość, niezgrabna i kompromitująca. Możliwe, iż pewien wpływ na moje poglądy miały zapinki, które ciągle się psuły i zastępowało się je to drobnym bilonem, to guzikiem, drobny bilon diabli wzięli, pięć groszy przeistoczyło się w okaz numizmatyczny, guziki najlepsze były niciane, ale musiały pochodzić ze spadku po przodkach, bo w czasach współczesnych przestały istnieć. Ostatecznie jakiś rezultat dawała jeszcze gumka do ołówka. No, jeśli coś takiego miało wkraczać w seks...

Wyobrażając sobie własną erotyczną przyszłość, z wielkim zakłopotaniem zastanawiałam się, jak też można unikać prezentacji tak krępującego szczegółu, należy się wszak rozebrać...? Zakochany młodzieniec, ogłuszony widokiem może całkowicie ochłonąć w uczuciach, zgoła wstręt go ogarnie, co z takim fantem zrobić? Wyjście widziałam tylko jedno, mianowicie wdawać się w miłość wyłącznie w okresie letnim, kiedy człowiek chodzi bosy i podwiązki razem z pończochami ma z głowy. I do tego ten pasek idiotyczny, okropność...

No, można ostatecznie pozbyć się odzieży gdzieś na uboczu i wrócić do męża, ewentualnie gacha, wszystko jedno, w stanie już niejako gotowym. Balzak to nawet mocno zalecał. W obliczu panującej wówczas ciasnoty mieszkaniowej zadanie było prawie niewykonalne i kłopot miałam z tym straszliwy przez całe lata, tak długo, że w końcu teoria przeszła w fazę praktyki. Umęczyłam się przeraźliwie i dopiero od Grzegorza dowiedziałam się, że jestem w błędzie. Wbrew moim ustabilizowanym przekonaniom, dla mężczyzny podwiązki mogą stanowić element nawet podniecający, budzić zachwyt oraz pożądanie, cholerny pasek do nich bywa zaś niekiedy wręcz dziełem sztuki. Stąd kabaretowe kwiatki, kokardki i sztuczne brylanty. I czerni, żeby kontrastowała. A pasek w ogóle powinien być raczej gorsecikiem, możliwie skąpym. Zdumiona i nieufna, z wielkim wysiłkiem zdołałam ukryć własne poglądy i opinie, przy okazji stwierdziwszy, iż owe dzieła artystyczne są upiornie drogie. Grzegorz poniekąd czynem udowodnił, że nie łże, przyjął zatem fakt do wiadomości, a w wątpliwościach tonęłam już tylko połowicznie. O kontrowersyjny szczegół garderoby, mimo wszystko, nie dbałam przesadnie i burdelowe eksponaty nie miały do mnie dostępu.

A kto wie, może różne zdania w kwestii stroju stworzyłyby między nami jakieś niesnaski...?

Później w ogóle problem upadł, bo z jednej strony straciłam Grzegorza, a z drugiej weszły w użycie rajstopy, sprawiając mi wielką ulgę. Pończoch używałam tylko w chwilach wściekłego upału, kiedy z jakichś przyczyn musiałam być elegancka. Rajstopy grzały w tyłek i ciężko w nich było wytrzymać. Przez ostatnie dziesięć lat zaś całe to świństwo w ogóle wyleciało mi z pamięci.

A teraz proszę, znów! Grzegorz mi o tej zarazie przypomniał..

Jasne, musiałabym uwzględnić jego upodobania. Zadbać o wystrój zewnętrzny, nie wymagajmy w końcu zbyt wiele od normalnego mężczyzny. Jeśli chcemy, żeby na nas leciał..

Tak się zajęłam małżeństwem z Grzegorzem, że zapomniałam o wszystkim innym. Noga już mnie nie bolała, zsiniała potężnie, ale na tym się jej grymasy skończyły. Lodu miałam dużo, zmieniałam topniejący okład prawie bezwiednie, kiedy Grzegorz zadzwonił przed samym wyjściem z pracy. Mogłam go uspokoić, nie pogarszało mi się. Zatrokszał się, czy nie umrę z głodu.

— Po pierwsze, odchudzam się całe życie i lubię być głodna — odparłam. — Po drugie knajpę, jak wiesz, mam naprzeciwko hotelu. A po trzecie, jak będę chciała, przyniosą mi coś do pokoju, z pewnością wolą dodatkową usługę niż trupa. Nie zwracaj sobie tym głowy.

— Jesteś bezcenna — powiedział po sekundzie milczenia. — W życiu nie spotkałem kobiety, która by w tych okolicznościach nie zrobiła wokół siebie histerycznego zamieszania.

Przyszło mi nagle do głowy, że ja dla niego też chyba stanowią rodzaj ulgi. Rzeczywiście, jako kobieta, jestem może trochę nietypowa, przez cały czas naszej znajomości... znajomości, kretyńskie określenie! Przez cały czas tego naszego dziwnego związku starałam się nie być dla niego obciążeniem i dziwna rzecz, nawet mi to przychodziło dość łatwo. Kiedyś nawet wyznał, że jestem rodzajem azylu...

Cholera. A może naprawdę należało spędzić razem całe życie... Po diabła ja się podektnęłam temu psu do ugryzienia...?!

— Mam inne zmartwienie — powiedziałam równocześnie. — Otóż możliwe, że się czegoś dowiem, jak nie przez gliny, to od księdza i będę chciała to z tobą skonsultować. Jak my się zdołamy porozumieć? Przez telefon?

Grzegorz dwie sekundy pomilczał.

— W sytuacji podbramkowej wyjadę służbowo i spróbujemy się gdzieś spotkać. Słuchaj, ja ci chyba nie zdołałem tego powiedzieć... Wyjaśniono mi dobitnie, mam na myśli lekarzy, że mogę z łatwością zostać wdowcem, oddalwszy się od mojej żony bez właściwego uzasadnienia. Jeśli ją zostawię bez słowa, będę zabójcą. W dodatku, skoro o tym wiem, zamorduję ją z premedytacją. Nie powiedziałem ci także, bo wydawało mi się, że ani dla ciebie, ani dla mnie nie jest to kwestia najwyższej wagi, że dziedzicę po niej olbrzymi majątek, a jest osoba, która na ten majątek czyha z pazurami i na głowie stanie, żeby rzucić na mnie podejrzenia. Długa historia.

— To zacząłeś ją opowiadać doprawdy we właściwej chwili. Ja mogę słuchać do rana, nie wiem jak ty...

— Nie przyszło mi do głowy, że może to mieć jakieś znaczenie. O której chcesz wyjechać?



— Jedenasta, to góra. Muszę zdążyć do Stuttgartu

— Postaram się wpaść o wpół do dziesiątej. W godzinę obskoczmy temat...

Zadzwoiłam do Stuttgartu, żeby znajoma — dziewczyna znów mi zarezerwowała hotel, zastrzegając się, że nie wiem, czy przyjadę. Przejęła się moją nogą okropnie, chociaż bagatelizowałam sprawę, głęboko przekonana, że dam sobie radę. W ostateczności mogę przyciskać sprzęgło piętą.

Do restauracji vis a vis udałam się na lekkiej bani, bo przy tej lodowatej kuracji zaczęłam czytać książkę, próbując zarazem kolejnych napojów z lodówki. Okazało się, że owszem, iść mogę, tyle że nieco dziwnie, jak pokraka, stąpając głównie na pięcie. Noga wymagała przy tym idealnie równego podłoża, nie podobały jej się nawet szpary pomiędzy płytami chodnika. Za każdym krokiem zatrzymywałam się i stałam na prawej nodze, pilnie szukając miejsca, gdzie by tu postawić lewą. Zły wybór rąbał jak siekierą.

Po powrocie z knajpy, rzecz jasna, zaczął mnie gnębić mój normalny problem. Co zrobić z głową? Dwa dni uczesanie wytrzymało, co do trzeciego, nie miałam złudzeń. Zakręcić włosy i spać na wałkach, jak niegdyś, przed laty...? Te obecne nie gniotły już, za to drapały, a do tego ugiwały się i dawały szansę kanciastym prostokątom. Nie, to stereometria, prostopadłościanom. Umyć głowę, wysuszyć...? W innej sytuacji zwyczajnie włożyłabym perukę, ale przy Grzegorz...? Czy ja wiem, a jeśli, jak by tu powiedzieć, nasze pożegnanie nabierze rumieńców...?

Przypomnienie nadmiaru sprawiających mi kłopot głów wyprowadziło mnie z równowagi ostatecznie. Z dziką determinacją własną wetknęłam pod kran i wyrzuciłam z pamięci tę drugą. Susząc włosy z przerwami, bo noga domagała się ulg, wciąż, nie wiadomo dlaczego, miałam przed oczami te dwie śmieszne scenki, Renuś z drugim brodatym i baby w jednakowych kapeluszach. Z dwojga złego wołałam już to bezsensowne wspomnienie niż głowę Heleny...

\* \* \*

Grzegorz przyleciał nazajutrz, kiedy z podziwem oglądałam czarny siniec, który zmienił usytuowanie i przeniósł się ku palcom. Byłam już prawie spakowana.

— Nie zwracaj uwagi na głupstwa — powiedziałam niecierpliwie. — Nie sinieje w górę, tylko w dół, a i tak jej sobie nie odetnę. Mamy mało czasu, przystępujemy do rzeczy.

— Pamiętasz moją dawną sekretarkę? — odparł od razu i było to pytanie retoryczne. — Otóż ona jest kuzynką mojej żony. Innych krewnych nie ma. Moja żona pochodzi z cholernie bogatej rodziny, mogłaby nic nie robić przez całe życie, pracowała dla przyjemności. W chwili ślubu spisaliśmy intercyzę, wiesz, co to jest...?

Westchnęłam sobie.

— Kilka razy w życiu doznałam wrażenia, że uważasz mnie za idiotkę.

— Każdy może czegoś nie wiedzieć. Oprócz intercyzy, za jednym zamachem załatwiłszy sprawę testamentu, na tak zwane przeżycie...

— Też wiem, co to jest — przerwałam zgryźliwie. — Więc właściwie możesz więcej nie mówić.

— A gdyby nie ja, ta głupia raszpla dziedziczyłaby wszystko. Nie ma dla niej piękniejszego marzenia, ja w roli mordercy. Wiem na pewno, że to właśnie pod jej wpływem konsylium tak dokładnie określiło sytuację. Jedyne lekarstwo, które trzyma moją żonę przy życiu, to moja obecność. Orientujesz się, ile znaczy nadzór autorski, musiałem kupić awionetkę, bywa i tak, że w godzinach pracy odwiedzam Szwajcarię, Austrię, Hiszpanię... Wyrwać całe dwa dni, to już prawie ryzyko szaleńca.

— Nie możesz się zrzec tej forsy?

— Mógłbym i niech ją szlag trafi. Ale w obecnej sytuacji pozbycie się żony jako takiej stanowi równie dobry motyw. Pilnuje mnie jej adwokat, i jasna rzecz, cały czas jest to robota kochającej kuzynki. A powiem ci prawdę, bo nie będę przed tobą ukrywał złych cech charakteru. Jeśli nie ja, dziedziczy ona. A gównu, nie zrobię jej tej przysługi.

Kiwnęłam głową, bo też bym nie zrobiła.

— Na twoim miejscu spróbowałabym rąbnąć kuzynkę...

— Z przyjemnością. Ale to się tak łatwo mówi, w praktyce też byś jej nic nie zrobiła. Nie mówiąc już o tym, że należałoby także rąbnąć adwokata.

Zgodziłam się, że wynika z tego zbyt dużo uciążliwych zabiegów. Ponadto zrozumiałam, w jakim stopniu Grzegorz musi być nieskazitelny. Nawet w normalnych warunkach życiowych w razie czyjejś gwałtownej śmierci podejrzenie w pierwszej kolejności pada na współmałżonka. No, niby śmierć jego żony nie byłaby taka znowu strasznie gwałtowna...

— Poza tym paralizem i szmerglem, jak ona się właściwie czuje? — spytałam delikatnie.

— Fizycznie doskonale. Zabić ją może w każdej chwili wstrząs psychiczny.

— O Jezu, wyjeżdżam...

— Głupia jesteś. Istnieją w końcu jakieś granice... No dobrze, powiem wszystko. Moja żona, przez całe życie pod względem finansowym normalna, nabrała po tym wylewie nowych cech. Popadła w jakieś straszliwe skąpstwo, jakiś paniczny lęk, że zabraknie jej pieniędzy. Żyjemy wyłącznie za moje, muszę zarabiać i tylko dzięki temu mam prawo do pracy. Wiesz co... nie ma mnie, źle, jestem, jeszcze gorzej. Bo dlaczego jestem, nie mam zleceń, nie mam roboty...? Wariactwa można dostać, darujmy sobie szczegóły...

— Nie do wiary — powiedziałałam ze zdumieniem — Co za cholera, że życie wewnętrzne, no, nie mam na myśli solitera, układało nam się do tego stopnia jednakowo?

Byłam w podobnej sytuacji i też darujmy sobie szczegóły...

Popatrzyliśmy na siebie. Wychodziły na jaw jakieś drobnostki, zaniedbane przed laty, wiążące nas jeszcze silniej. Ciekawa rzecz, jak by się to ułożyło w małżeństwie...

— Ja tu wtedy nie przyjechałam, ponieważ Miziutek nie załatwił mi zaproszenia — powiedziałam zniechęta.

Grzegorz jakby skamieniał.

— Co...?!

Zdziwiłam się.

— A co, nie wiesz? Przecież byłeś na miejscu... Nie mówiłam ci, jak się widzieliśmy ostatnim razem, no, te dwadzieścia lat temu...? Miałam gotowe miejsce pracy, trzeba było tylko jechać do ambasady po formularze i ta suka odmówiła. To moje miejsce pracy zajęła, sama jej zresztą dałam, jak głupia, ale wierzyłam w przyzwoitość. Żeby miała zaczepienie, zanim coś znajdzie dla siebie. Wystawiła mnie rufą do wiatru. Dopiero później udało mi się jechać do Danii, przypomnij sobie.

Grzegorz ciągle wyglądał jak skamieniały.

— Więc to o ciebie chodziło...?! Znam tę historię, jakie formularze, miała w ręku gotowe zaproszenie dla ciebie, zniszczyła je, zamiast wysłać! Cały polski kołchoz o tym plotkował, chciała zachować miejsce pracy! Byłem przy tym, wiedziałem, że wyrolowała przyjaciółkę, pojęcia nie miałem, że to byłaś ty!

Teraz mnie trzasnęło.

— No wiesz...! — powiedziałam bez tchu.

Grzegorz trochę przestał przypominać kamień, zaczął coś obliczać.

— No to ci powiem, że ona właściwie nas załatwiła. Gdybyś wtedy przyjechała, zbiegłoby nam się w czasie. Do głowy mi nie przyszło, w Polsce jej prawie nie znałem, dopiero tutaj... Co za cholera... Nie wiem, czy wiesz, że właśnie ona związała się z Renukiem i razem pojechali do Stanów?

— Nie. Nie wiem. Gównu mnie to obchodzi. Nie odpisałam jej na list, bo o mało mnie szlag nie trafił, chociaż pojęcia nie miałam o tobie. Wypadła nam wtedy przerwa w korespondencji... Piorun ciężki. I razem z tym Renukiem porosła w pierze?

— On już był porośnięty, kiedy z nim wyjeżdżała. Upierzenie wywarło swój wpływ.

No tak. Gdybym wtedy przyjechała... Mój ówczesny mąż nie był mężem, tylko konkubentem, tak zwany wolny związek, rozwodem można było nie zawracać sobie głowy, a wyjeżdżając, wiedziałam już, że to się rozlatuje. No, może nie wiedziałam na pewno, ale miałam silne podejrzenia. Wybór pomiędzy nim a Grzegorzem nie nastroczałby mi żadnych trudności. Przyjaciółka imieniem Mizia, ogólnie zwana Miziutek, zdecydowała o dwudziestu latach mojego życia i może nawet o całej reszcie.

Złapałam się na tym, że nie życzę jej dobrze.

— Głupia kurwa — powiedziałam z goryczą i szczerze.

— W pełni się z tobą zgadzam — powiedział Grzegorz. — Mamy jeszcze chwilę czasu. Co ty na to, żeby go racjonalnie wykorzystać...?

Jednak słusznie umyłam tę głowę...

\* \* \*

Deszcz zaczął padać zaraz za Paryżem i lał do samego Strassburga. Samochód mogłam prowadzić, przyciskałam sprzęgło całą sztywną stopą, bolało zaledwie odrobinę, a na autostradzie miałam już w ogóle spokój. Wrzucić piątkę i deptać gaz, reszta kończyn niepotrzebna. No owszem, stacja benzynowa, wysiadałam niczym paralityczka, na szczęście jeden raz wystarczyło. Trochę patrzyli na mnie jak na głupią, zimny, deszczowy dzień, a ja bosy i w klapkach, takim drobiazgiem jednakże nie zamierzałam się przejmować. Melancholijnie myślałam, że i głowa mnie nie obchodzi, nie dotknę ścierwa, przy pierwszej okazji ubiorę się w perukę, Grzegorz mnie już nie zobaczy...

O drugiej głowie usiłowałam nie myśleć wcale. Czułam ją za plecami, była tam. Grzegorz poszedł na drugie piętro po samochód, zjechał na dół, włożył bagaże.

— Możliwe, że wolisz to wiedzieć — powiedział ze współczuciem. — Masz w bagażniku to pudło, nikt go nie rąbnął, niestety. Nie śmierdzi.

Zgrzytnęłam zębami i był to zapewne dziwny odgłos jak na pożegnanie z mężczyzną życia. Nie śmierdzi, zawsze to jakaś pociecha. Wyobraziłam sobie dawne czasy, kiedy kontrole celne lubiły oglądać przewożone towary, może zajrzałyby do torby-lodówki i co by też było dalej...? Nastąpiłoby to oczywiście już na naszej granicy, bo te zachodnie lekceważyły kwestię. Ciekawe, kiedy w rezultacie dotarłabym do domu, a, prawda, mam nogę, może trzymaliby mnie w więziennym szpitalu...

W ostatniej chwili przeoczyłam zjazd na Korntal i dopiero po dwudziestu kilometrach zdołałam wrócić na pierwotną trasę. Jechałam uważniej, skręciłam gdzie należy, w samym Korntalu oczywiście znów zabłądziłam i ciemno już się zrobiło, kiedy z zaprzyjaźnioną dziewczyną poszłam do baru na reńskie wino, bo nad Renem reńskie wino należy pić obowiązkowo. Samochód ustawiłam nie na parkingu, tylko na ulicy, przed oknem mojego pokoju i starannie włączyłam alarm.

Uczciwie mówiąc, sensu to nie miało żadnego. Na jaki plaster mi były dwie głowy, obie jednakowo kłopotliwe? Niechby ukradli tę Helenę, pozbyłabym się zgryzoty, a do glin mogłam pójść i bez niej. Chociaż, z drugiej strony, jeśli próbowali odebrać, po cholere w ogóle podrzucali? Przez pomyłkę...? Nie, pomyłka wątpliwa, Helena wyraźnie mnie ostrzegała, słownie i korespondencyjnie, a zatem jednak dotyczyło to mnie. A, może jeszcze inaczej, ostrzec mnie chcieli, względnie zastraszyć, ale dowód rzeczowy usunąć? A otóż chała.

Musiałam zapewne dostać nagłego pomieszania zmysłów, bo ni z tego, ni z owego uparłam się, że głowy nie oddam. Będę pilnować, niczym skarbu! Coś to musiało ozna-

czać, z czymś być związane, jeszcze gdyby całe zwłoki, bodaj w kawałkach, można by zrozumieć, zabójcy chcieli się ich pozbyć, usuwając mną poza granice kraju, ale fragment...?

Przyszło mi na myśl, że może nie tylko mnie uszczęśliwili podarunkiem. Może inne samochody bezwiednie wywiozły resztę, ręce, nogi, kadłub... Paru kierowców rwie włosy z głowy albo już siedzi po rozmaitych pudłach, nie umiając wyjaśnić stanu posiadania, może ta Helena powysyłała listy do rozmaitych osób...? Z żalem zrezygnowałam z tego kuszącego przypuszczenia, bo jednak ostatnią pogawędkę w życiu zdołała odbyć chyba tylko ze mną, kiedy odjeżdżałam, pogotowie już wyło.

Dziwne, że nie dali sobie rady z moim alarmem, nie umieli chyba trafić na właściwą częstotliwość, widocznie w Paryżu brakuje specjalistów z naszej mafii samochodowej. Zaraz, a ciekawe, co by było, gdybym w bagażniku znalazła obcą nogę...?

Zastanowiłam się uczciwie. Grzegorz...? Zasadniczy element tego całego wojażu stanowiło spotkanie z Grzegorzem i nie ulega wątpliwości, że nie zamierzałam go spaskudzić. Głowa, tak, z głową miałam kontakt za życia, z nogą z pewnością nie! Oburzona i zdeterminowana, wyrzuciłabym ją gdziekolwiek, do śmietnika, do rowu przy autostradzie, może nawet wmówiłabym w siebie, że niczego takiego nie miałam, znalezisko wymyśliłam sobie z nudów i z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. Zapomniałabym o nim na widok Grzegorza. No, nie w Polsce oczywiście, we Francji!

W Polsce z miejsca ruszyłabym do glin z samej ciekawości, co z tego wyniknie. Fajnie, ale nie znajdowałam się wtedy w Polsce...

Samochód na ulicy zawył przeraźliwie. Rzuciłam się do okna, widać go było doskonale, z niezwykłą przytomnością umysłu ustawiłam go pod latarnią. Wył i błyskał, jakiś facet, chyba młody, odskoczył od niego i uciekł, ale nie mogłam stwierdzić, czy usiłował dostać się do bagażnika, czy też tylko oparł się, przechodząc. Mogłam niby zabrać pudło z głową do siebie, ale na samą myśl, że miałabym spędzić noc w tak niezwykłym towarzystwie, zrobiło mi się trochę niedobrze. Nie, z dwojga złego już chyba lepiej popilnować od góry...

Stojąc w oknie pokoju hotelowego i patrząc na zaparkowany po drugiej stronie ulicy samochód, zastanawiałam się, czego właściwie ci żartownisie spodziewali się po mnie. Umrę z wrażenia? Narażę się francuskim glinom? Zamkną mnie i będę z głowy...?

Uznałam, że chyba tak. Ugrzęznę we Francji i nie tak zaraz wrócę do kraju. Może zresztą ugrzęznę w Niemczech, wszystko jedno, grunt, że uda się mnie pozbyć na jakiś czas. Z tego wynikało, że w kraju jestem dla kogoś szkodliwa, im później wrócę, tym lepiej. Zawiodłam nadzieje, nie ruszyłam głowy, nie poszłam siedzieć...

Noga...!!!

Ależ tak! Uszkodzili mi tę nogę, nieruchawość zapewniona! Głupy denne, przecież właśnie przez nogę wracam, gdyby nie to, głowę Heleny utknęlibyśmy zapewne w ja-

kimś porządnym zamrażalniku, mięso... o Jezu, ratunku, mięso już w osiemnastu stopniach poniżej zera może leżeć pół roku... Pojechałabym na południe, tak jak miałam zamiar, trzy tygodnie gwarantowane...

A zatem nikt znajomy, bo osoby znajome znały moje zamiary.

Spróbowałam przestawić się na stronę tajemniczych sprawców, liczba zresztą obójtana, sprawca mógł być jeden. Co ja bym chciała osiągnąć na jego miejscu? Trudność sprawiał mi brak danych, nie miałam pojęcia, o co tu chodzi, baba mnie nienawidzi, nie jest to przecież rozpłomieniony adorator, który morduje ludzi i robi mi dowcipy wyłącznie dla ukojenia doznań ukochanej...

Nagle poczułam, że zbyt wiele wymagam od mojej nogi, dała mi do zrozumienia, iż obciążenie przestało jej się podobać. Myśleć można także siedząc, albo nawet leżąc, wiem, jak wygląda mój samochód i nie muszę na niego patrzeć...

O wczesnym poranku opuściłam hotel i ruszyłam w dalszą drogę.

Kiedy w okolicy Zittau zleciało na mnie dachowe okno autobusu, uznałam, że działa tu chyba jakieś fatum. Jechałam za tym autobusem, czekając, żeby zszedł mi z pasa, wyprzedzał coś wolniejszego, byłam tuż za nim i wyraźnie widziałam, jak okno w dachu unosi się, otwiera szeroko, odrywa i leci prosto na mnie. Nie zdążyłam zrobić nic, poza przydeptaniem hamulca. Gdyby trafiło w moją przednią szybę, nie miałabym już twarzy, ale nie było mi przeznaczone, przyhamowanie wystarczyło. Okno grzmotnęło w asfalt tuż przede mną i trafiło mnie rykoszetem od dołu. Poczułam głuche, potężne łupnięcie, zderzak albo opona, zwolniłam, zjechałam na prawy pas, sprawdzając zachowanie się samochodu, jechał normalnie, zatem nie koło, tylko zderzak.

Cholerny autobus w ogóle wydarzenia nie zauważył. Skręcił na zjazd do Zittau, a okno, zapewne nieco zdefasonowane, pozostało gdzieś między pasami autostrady.

Na myśl, że cudem uszłam z życiem, trochę się zdenerwowałam. Co za podróż kosztowna, jakie jeszcze idiotyzmy mogą mi się przytrafić?! Niemożliwe, żeby to okno ktoś na mnie zepchnął specjalnie, samo zleciało, ostrzeżenie z niebios czy co...? Niechże wreszcie dojadę do domu i usiądę spokojnie na tyłku, konstelacje muszą być przeciwko mnie, o co im chodzi, obraziły się za Grzegorza...?

Wieloletnie perypetie z nim wyraźnie świadczyły, że tajemnicza siła postanowiła nas rozdzielić. Uparłam się walczyć z tajemniczą siłą, no to mam! Ale przecież poddałam się już dawno, gdzie tu upór, niech się ta siła opamięta! Cholery można dostać, na wszelki wypadek nie jadę dalej jednym ciągiem, znów przenocuję w Bolesławcu...

W ten sposób dotarłam do domu o dzień później, niż planowałam...

\* \* \*

— Po drodze do pana nałgałam, ile mogłam, ale teraz powiem prawdę — oznajmiłam, znalazłszy się wreszcie przed obliczem pułkownika Witeckiego w wydziale zabójstw Komendy Głównej, ponieważ nie satysfakcjonowało mnie nic poniżej. — Chce pan od razu clou czy po kolei?

— Wolę po kolei.

Wszystkie następne łągarstwa miałam już starannie przemyślane. Czasu mi wystarczyło, rentgena i ortopedę załatwiłam natychmiast po przyjeździe, wczorajszego wieczoru, gips okazał się niepotrzebny, złamanie, spowodowane silnym uderzeniem, było równiutkie, proste, bez przemieszczeń, miało obowiązek zrosnąć się samo. Do dzisiajszego poranka mogłam wymyślić, co chciałam.

Zacząłam od katastrofy, ujawniłam perypetie na granicy, przejechałam przez Stuttgart i dotarłam do znaleziska, z tym że przemieściłam je nieco bliżej Paryża.

— Co?! — spytał pułkownik nieufnie.

— Ludzką głowę. W bardzo dużej reklamówce. Rozpoznałam ją, była to głowa tej facetki, która czołgała się poboczem zaraz po kraksie.

Opanował się całkowicie już po trzech sekundach.

— I kiedy to było?

— Jedenastego maja. Pod Paryżem.

— Dlaczego pani od razu nie wróciła?

— Bo najpierw zgłupiałam. Potem usiłowałam się zastanowić i postanowiłam wracać, owszem, ale zaraz po tych deszczach zrobiło się gorąco i sam pan rozumie, pomyślałam o lodówce. Kupiłam tę torbę-lodówkę jeszcze tego samego wieczoru, a zaraz na zajutrz złamałam nogę.

Pułkownik odruchowo spojrzął pod stół. Weszłam do niego krokiem dostatecznie wdzięcznym, żeby sprawa złamania wyskoczyła na wstępie, wydarzenie zatem było mu już znane. No, bez szczegółów.

— Z nogą przeczekałam trochę na okładach z lodu, bo miałam nadzieję, że mi się poprawi — kontynuowałam mijanie się z prawdą. — Nie bardzo wiem, jak miałabym wracać z tą głową i nogą bez samochodu. Poprawiło się odrobinę, więc wyruszyłam. Reszta należy do pana.

Wyraźnie było widać, że nie ucieszył go ten stan posiadania.

— I gdzie ta głowa teraz jest?

— Nadal w moim bagażniku. A co miałam z nią zrobić? Ugotować i dać do zjedzenia psom moich dzieci?

— Rany boskie...

— Czy są jakieś szansę, żeby mnie pan dalej przesłuchiwał na parterze? — spytałam grzecznie, złączając ze schodów po jednym stopniu. — Z tymi piętrami mam kłopoty, a tortur się u nas podobno nie stosuje?

— Dobrze, znajdziemy jakiś pokój na parterze...

Kazali mi wjechać na policyjny parking. Wjechałam. Otworzyłam bagażnik i odsunęłam się nieco, bo widok nie wydawał mi się rozrywkowy, niech go sobie sami oglądają. Wyjęli pudło, wnieśli do budynku, już niosąc, jakoś dziwnie spojrzeli na siebie, postawili na stole w najbliższym pomieszczeniu i otworzyli.

Milczenie panowało tak długo, że wreszcie i ja spojrzałam. W torbie-lodowce znajdował się olbrzymi ananas, w skorupie i z potężnym pióropuszem liści.

Zrobiło mi się słabo i pomyślałam, że chyba mnie szlag trafi. Gdzie, do wszystkich diabłów, zdołali mi to zamienić?! Gdyby nie Grzegorz, uwierzyłabym, że miałam halucynacje, ale, chwalić Boga, Grzegorz też ją widział! Zaraz, w torbie była, a tu ananas leżał luzem...

— To miał być dowcip? — spytał pułkownik lodowato, spoglądając na mnie mało życzliwym wzrokiem.

Ręka mi skoczyła, żeby się popukać palcem w czoło, ale zdołałam ją pohamować.

— Jeśli wyglądam na wariatkę, to tylko w wyniku tego przeistoczenia — odparłam ponuro. — Jednak mi ją rąbnęli. Nie zdążyłam powiedzieć panu wszystkiego, cały czas ktoś usiłował dostać się do mojego bagażnika, mam świadka. Garażysta w Paryżu, sam dzwonił, że u mnie alarm wyje. Może ktoś słyszał w Stuttgarcie, też wyło w nocy. O kraksie pod Łodzią łatwo się pan dowie, o babie nazwiskiem Helena Wystraszc też pan chyba uzyska wszystkie informacje.

— Skąd pani wie, że ona się tak nazywa?

— Powiedziała mi, kiedy się tam czołgała. Niemożliwe, żeby żyła, nikt jej przecież tej głowy nie przyszył!

Pułkownik rozmyślał przez chwilę, przyglądając mi się podejrzliwie i chyba z dużą niechęcią. Nagle zrozumiałam upór złoczyńców, oczywiście, gdybym mu zaprezentowała tę głowę, potraktowałby moje zeznanie poważniej, bez głowy nie dość, że może zlekceważyć całkowicie, to jeszcze łupnie mi grzywnę za wprowadzanie władzy w błąd. W ogóle, nie ma głowy, nie ma sprawy, niech to jasny piorun strzeli!

— Odgaduję, że lubić, to pan mnie nie lubi — powiedziałam gniewnie. — Ale może nie lubi pan także któregoś ze swoich kolegów, niech mu pan mnie podrzuci. Nie zmieniam zeznań, tę głowę miałam. I chcę się dowiedzieć, jak to było z tą kraksą, bo mam wrażenie, że facetka albo sama wyskoczyła z samochodu dwie sekundy wcześniej, albo ją wypchnięto. I niech ktoś sprawdzi, czy ma głowę. I proszę bardzo, tu jest mój paszport, a w nim daty przekraczania granicy!

— Załatwiła pani ubezpieczenie — odparł na to natychmiast, co dowodziło, że słuchał mojego gadania uważnie. — Mogła pani zostawić samochód, wrócić do kraju, ktoś na panią czekał, zrobiła pani, co chciała, a odjechała de facto następnego dnia. Czy też późnym wieczorem.

— A wszystko po to, żeby się tu przed panem skompromitować...?

— No nie. Coś pani może nie wyszło. Protokół w każdym razie spisujemy.

Dwóch funkcjonariuszy niższego szczebla przysłuchiwało się naszej rozmowie z nie skrywanym zainteresowaniem. Zostali wysłani po protokółantkę i magnetofon. Zagnieździł się już w tym pokoju, mimo wszystko pułkownik darował mi schody, chociaż wyglądało na to, że ma wielką ochotę mnie po nich przepędzić. Ale może szkoda mu było czasu.



Powtórzyłam relację bardzo porządnie. Mijałam się z prawdą tak delikatnym slalomem, że zapamiętanie łgarstw nie sprawiało mi trudności. Zgodziłam się to wszystko podpisać. Po czym zrobiło się gorzej.

— Czy ktokolwiek jeszcze, oprócz pani, widział tę głowę, albo wie o niej? — spytał pułkownik, układając porządnie nieliczne kartki.

Zawahałam się. Włączenie w imprezę Grzegorza było ryzykowne, nie zdążyłam się z nim porozumieć, mógł mnie wkopać bezwiednie. Zarazem sam popaść w kłopoty, gdyby te wszystkie gliny zaczęły rozmawiać ze sobą na drodze oficjalnej. Wahanie okazało się zgubne.

— A więc ktoś wie — zawyrokowała władza, nareszcie z zadowoleniem. — Kto taki?

Podjęłam decyzję.

— Nie powiem ani do protokołu, ani na taśmę, mogę panu wyznać na ucho prywatnie. Mój dawny gach, który ma upiornie zazdrosną żonę i głowę dają... tfu wszystko inne, tylko nie głowę... że nie po raz pierwszy w życiu pan się czymś takim spotyka. Zetknęłam się z nim w Paryżu.

— I co?

— I wyrwało mi się na skutek wstrząsu. Razem przekładaliśmy to do pudła. Gorąco było, też miał obawy, że to się zaśmiardnie.

— Mam go szukać przez francuską policję?

— Niech pana ręka boska broni! Telefon... Może pan do niego zadzwonić, nawet zaraz. Jest w pracy.

— Proszę bardzo. Telefon stoi.

Przeżegnałam się w duchu, wyciągnęłam notes i wykreśliłam numer Grzegorza. Jedyną pociechę stanowiła myśl, że go usłyszę.

— Grzesiu — powiedziałam smętnie. — Dojechałam, z nogą w porządku, złamana wprost ślicznie, ale tę głowę mi jednak rąbnęli. Siedzę właśnie w Komendzie Głównej, gdzie w ogóle w nią nie wierzą, i pan pułkownik chce z tobą pogadać.

— Dobra — zgodził się Grzegorz bez namysłu. — Dawaj go. O kraksie mówiłaś, ale nic więcej.

Wetknęłam pułkownikowi słuchawkę i nabrałam odrobiny nadziei. Grzegorz za dużo nie powie, gadatliwy nie był nigdy.

Pułkownik zastosował Wersal absolutny. Słuchałam tej pogawędki jednostronnie, Grzegorz potwierdził, że głowa istniała, była prawdziwa, miałam ją w bagażniku, nogę rzeczywiście złamałam i dwa dni przesiedziałam na lodzie. Pytania pułkownika pozwalały mi bez trudu wydedukować treść odpowiedzi.

Odłożył wreszcie słuchawkę, zamyślił się, a potem spojrzał na mnie.

— Wie pani co? Ja pani wierzę. Mogli państwo, oczywiście, wcześniej uzgodnić zeznania, ale nie widzę w tym żadnego sensu. To jest tak strasznie głupie, że musi być prawdą. Co do kraksy, wyjaśnimy sprawę. Na razie jest pani wolna.

Na razie... Ogromnie pocieszające słowa.

Torbę-lodówkę i ananasa zabrali mi, na co zgodziłam się bardzo chętnie. Z rzadką ulgą opuściłam komendę.

Ze znajomej księgarni zadzwoniłam do Grzegorza. Domyślił się, że powinien czekać na mój telefon.

— Zełgałam następujące rzeczy — powiadomiłam go bez wstępów. — Nie wspomniałam o liście, mogłam go jeszcze nie przeczytać. Konsekwentnie nic o księdzu w Grójcu. Znalazłam ją tuż pod Paryżem, chciałam wracać od razu, ale załatwiłam tę nogę i stąd opóźnienie. Reszta prawdziwa.

— Brzmi to logicznie i sam bym ci podpowiedział coś podobnego. A policji powiedziałem prawdę, odgadłaś to...? Nie miało sensu tutaj rozrabiać i tak dalej. Gdzie ci to mogli podpieprzyć? Czekaj, a co dostałaś wzamian?

— Świeżego ananasa. Wyjątkowy okaz.

— Dowcipnie. Nieźle pasuje. Gdzie...?

— Albo Stuttgart, albo Bolesławiec, przypuszczam, że wreszcie zdołali wyłączyć mój alarm. Odjeżdżać nie próbowali, więc ten zewnętrzny im wystarczył. Gliny w zasadzie mi wierzą, ciekawa jestem, co zrobią. Teraz pojedę do Grójca. Gdyby ci coś przyszło do głowy, zadzwoń...

Pojechałam do tego Grójca od razu.

\* \* \*

— Owszem, najczęściej to ja spowiadam — przyznał się ksiądz wikary, sympatyczny człowiek w dość jeszcze młodym wieku, bardzo podobny do katechety, który mnie uczył religii w szkole podstawowej. — Ale przecież nie znam nazwisk penitentów... Chociaż zaraz... Helena Wystrasz, pani mówi? Momencik... Wydaje mi się, że to nazwisko słyszałam...

Zastanowił się, myślał przez chwilę, zmarszczył brwi i przyjrzał mi się z uwagą.

— A właściwie co panią interesuje?

Bez słowa wyjęłam list i dałam mu do przeczytania. Oczekałam, aż skończył.

— I otóż, proszę księdza, na kobietę imieniem Helena natknęłam się w katastrofie pod Łodzią, widziałam ją, zapamiętałam, po czym jej odciętą głowę znalazłam we własnym bagażniku i woziałam ją bez mała przez pół Europy. Zanim wróciłam do Warszawy, ktoś mi ją zdążył ukraść. Co to wszystko ma znaczyć, na litość boską?! Jeśli spowiadała się u księdza, a pisze, że tak... Nie, ja wiem, tajemnicy spowiedzi ksiądz nie zdradzi, ale może ksiądz rozumie sytuację, zna sprawę i zdoła udzielić mi jakichś wskazówek?

Ksiądz nie wydawał żadnych okrzyków, zachował opanowanie, ale widać było, że się mocno przejął.

— Tak — powiedział po bardzo długiej chwili milczenia. — To ja ją spowiadałem, przypominam to sobie i kojarzę. I ona nie żyje...? Pani jest pewna, że to ona? Jak to było...?

Podalam księdzu szczegóły wydarzenia. Wyrażnie sposepniał.

— Pani pozwoli, że się zastanowię. Obawiam się, że sprawa jest poważniejsza, niż przypuszczałem... Muszę rozważyć, co znam ze spowiedzi, a co jest moją osobistą dedukcją. Moich własnych poglądów tajemnica nie dotyczy. Czy mogę na razie zatrzymać ten list?

— Oczywiście, proszę bardzo.

Umówiłam się, że wrócę za godzinę i tę godzinę spędziłam w samochodzie, bo nie nadawałam się do spacerów. Odjechałam tylko spod kościoła, żeby nie denerwować księdza przesadnym natręctwem. Nie dość, że z parkingu kościelnego wjechałam na kościelny dziedziniec, co było z pewnością wzbronione i nieprzyzwoite, to jeszcze miałabym tkwić mu pod nosem. Rozmawialiśmy wprawdzie na zewnątrz, potem zaś ksiądz wszedł do zakrystii, taktownie omijając kwestię pojazdu, ale mógł wyjść i od razu nadzieć się na mnie, wpatrzoną w kościelne wrota. Presja psychiczna w każdym budzi protest, a ksiądz to też człowiek.

Tej idiotycznej subtelności nie mogłam sobie później darować.

Kiedy wróciłam, wokół kościoła panowało duże zamieszanie. Obecne było pogotowie i policja, nie puścili mnie na dziedziniec, kazali się odsunąć. Pogotowie wybiegło z noszami, na których ktoś leżał, jakieś baby lamentowały koło mnie, wykrzykiwały różne opinie o świętym człowieku i antychrystach. Wychyliłam się ku nim przez otwarte drzwiczki.

— Co się stało? — spytałam najbliższą.

Odpowiedziały mi wszystkie równocześnie.

— Pani, a to księdza wikarego zabili, zbrodniarze, świętokradcy, że to kary boskiej na takich nie ma, monstrancje pokradli, w kościele księdza zabić, a nie w kościele, ino w zakrystii, całą głowę rozrąbali, zastrzelili, zbroje Madeje, taki dobry człowiek był, kościół zbezczeszczony, krew sama aż do ołtarza płynęła, ksiądz wikary świętości bronił...

Zdrętwiałam dokładnie, rąbnęło mnie, gorąco i zimno zrobiło mi się równocześnie. Okropna myśl wystrzeliła hukiem. To ja zabiłam księdza wikarego...!!!

Rozmawiałam z nim na zewnątrz, na ludzkich oczach, z grzeczności wyszedł do mnie, żebyśmy nie musiały daleko latać z tą kulawą nogą, jawnie podałam mu list Heleny! A zupełnie zwyczajnie spytałam przedtem, czy dałoby się porozmawiać z którymś księdzem, na wikarego trafiło, kościelny po niego poszedł, czy może był to zakrystianin, zmiłuj się Panie, przeze mnie...

Zamknęłam drzwiczki, bo te baby świdrowały w uszach i siedziałam nadal, ogłuszona koszmarnym wydarzeniem. Na moją chwałę trzeba przyznać, że o utracie źródła wiedzy nawet nie pomyślałam, przygniotło mnie poczucie winy. Po długiej chwili dopiero nadbiegła skądś odrobina rozsądku, uświadomiłam sobie, co widziałam z daleka. Wynieśli nosze do normalnej karetki, eRka to była, zwłok tym nie wożą, zatem w księ-

dzu kołatało się życie, może jest jeszcze szansa, może go uratują! Gliny... Jezus Mario, aby nie gliny, jeśli mnie tu złapią, nie wyłgam się! Nawet gdybym ten list od Heleny przeczytała dzisiaj, już po wyjściu z komendy, należało do niej wrócić, przekazać dowód rzeczowy, a nie wygłupiać się z księdzem...!

Siedziałam tak aż do chwili, kiedy po nabożeństwie majowym naród zaczął się rozchodzić. Z determinacją znów wjechałam na dziedziniec, przed kościelnymi wrotami dojrzałam jeszcze dwóch księży, w tym chyba proboszcza. Policja wycofała się już wcześniej, przeczekałam ich. Wsiadłam i poszczekując zębami ze zdenerwowania, kulejąc niczym ostatnia pokraka, bo podłoże było nierówne, podeszłam.

— Przepraszam, ksiądz proboszcz, prawda? — zwróciłam się dość rozpaczliwie do starszego z kapłanów. — Teraz już do reszty nie wiem, co zrobić, jeśli na księdza wikarego dokonano napaści, ja chyba temu zawiniłam i, na litość boską, niech ksiądz ze mną porozmawia!

Jasne, że nie wytyczałam tych słów pełną piersią, bo resztki wiernych mogłyby mnie zlinczować, proboszcz jednakże głuchy nie był, dosłyszał. Odwrócił się, spojrzął, skinął głową i ujął mnie pod rękę.

— Przejdźmy... — zaczął.

Trafiłam stopą na nierówne kamienie i nie zdołałam powstrzymać okrzyku, na szczęście bez pełnej treści, z „o, kurwa!” pozostało tylko „o...!” Ksiądz się nie zgorszył, zaniepokoił tylko.

— Pani coś jest?

— Nic takiego, mam złamaną kość w stopie. Ale przejdę, byle blisko...

Blisko znajdowało się jakieś pomieszczenie gospodarcze. Proboszcz usadowił mnie na biskupim fotelu, mocno wiekowym, nadwerężonym i do celów reprezentacyjnych z pewnością już nie używanym, sam usiadł w konfesjonale bez górnych ścianek. Wzięłam głęboki oddech i po raz trzeci tego dnia opowiedziałam wszystko. Słuchacza miałam cierpliwego i uważnego.

— Nie najlepiej to pani wyszło — stwierdził z łagodnym wyrzutem, kiedy skończyłam. — Gdzie pani ma ten list świętej pamięci Heleny?

— Nigdzie. Zostawiłam księdzu wikaremu. Co się stało z księdzem, niech ja się wreszcie dowiem, bo mnie sumienie zagryzie na śmierć!

Proboszcz westchnął.

— Strzelono do niego w zakrystii. Ktoś musiał tam czekać, drzwi były otwarte. Z tłumikiem, nie głośno, księża też, proszę pani, oglądają czasem telewizję... Nie został zabity, jest ciężko ranny, ale doktor Piotrkiewicz suponuje, że uda się go uratować. To doskonały chirurg. Szczęśliwie się złożyło, że w momencie strzału drugimi drzwiami weszła penitentka, więc napastnik strzelił tylko raz i nie poprawił, uciekł. Penitentka, niestety, raczej wiekowa, nie zachowała się rozsądnie i na ucieczkę zyskał dużo czasu. No, zaraz potem, oczywiście, wezwaliśmy pomoc.

Moje westchnienie ulgi mogłoby wydać żagle Daru Pomorza.

— Uklęknąć nie zdołam, ale Bogu niech będą dzięki! Do końca życia bym sobie nie darowała... Strasznie głupio wypadło, ale powiem księdzu, że ten list Heleny... Czy ja wiem, jakoś mnie zobligował. Mogę mniej więcej powtórzyć treść. Poza tym, wozic po obcych krajach ludzką głowę, do tego w końcu ukradzioną, to nie jest coś, o czym się łatwo zapomina. Leży w tym jakiś potężny szwindel, nie wiem, co ja mam z tym wspólnego, nic nie rozumiem i chcę wykryć sens. Byłam na policji, wierzą mi średnio, pojęcia nie mam, co zrobią, a że nic mi nie powiedzą, to pewne. Do księdza wikarego pchnęło mnie siłą rozpędu.

— Możliwe, że była pani śledzona...?

— A właśnie nie wiem. Helena, zanim umarła, mogła dużo powiedzieć. Czy ten złoczyńca nie zabrał księdzu wikaremu listu? Bo może o to mu chodziło?

— Raczej o wiedzę księdza wikarego. Ksiądz wikary dużo wiedział, a on, ten zbrodniarz, może nie wierzyć ani w ludzką uczciwość, ani w tajemnicę spowiedzi.

Patrzyłam pytająco, bo ksiądz proboszcz wyraźnie dawał mi coś do zrozumienia.

— Księża się też spowiadają — zauważyłam ostrożnie. — U kogo spowiadał się ksiądz wikary?

— Jakże niesłuszne jest mniemanie o niższości umysłowej kobiet! — westchnął ksiądz proboszcz. — U mnie, moja córko. U mnie.

— Znaczy, ksiądz proboszcz też wszystko wie?

— Wszystkiego na pewno nie. A nie powiem nic. Poczekam, aż ksiądz wikary odzyska przytomność. Mam nadzieję, że nikt nie spróbuje mnie zabić.

— Daj Boże, amen. Mam tu przyjeżdżać co drugi dzień czy uda się może porozumieć z księdzem przez telefon?

— Przez telefon wystarczy, ludzkie wynalazki też są dziełem boskim. Dam pani nasz numer, a pani zostawi swój...

Już się podniosłam z tego fotela biskupiego i zamierzałam wyjść, kiedy coś mi przyszło do głowy. Grójec nie Londyn, ludzie się tam znają.

— Tu ona musiała bywać, ta Helena, skoro jako miejsce spotkania wymyśliła kościół — powiedziałam, odwracając się do księdza proboszcza. — Czy nie miała jakiejś rodziny? Kogoś znajomego? Trudno stanąć na rynku i ryczeć „uwaga, proszę państwa, kto znał Helenę Wystrasz?”, ale może dałoby się dowiedzieć jakoś inaczej?

Ksiądz odczepił sutannę od drzazgi w konfesjonale.

— Tak — przyświadczył. — Nazwisko łatwe do zapamiętania i ja sam mam wrażenie, że coś wiem o jej krewnych. Niejasno mi się majaczy muszę sprawdzić. Zawiadomię panią, jak się czegoś dowiem.

Podziękowałam grzecznie, wyszłam, do domu dojechałam szczęśliwie i wreszcie potraktowałam moją nogę tak jak powinnam...

Grzegorz zadzwonił późnym popołudniem, tuż przed końcem dnia pracy. Przezornie siedziałam przy telefonie.

— Renuś znikł z horyzontu razem z Miziutkiem — powiedział na wstępie. — Przypomniałaś mi go i zaciekałem się lekko. Jak wiesz, po drugiej stronie oceanu mam liczne znajomości, podzwoniłem trochę, okazuje się, że już od paru lat zrywał kontakty towarzyskie, po czym zmył się radykalnie. Ogólnie jest obecnie uważany za świnię. Padały supozycje na temat Południowej Afryki, szejkanatów, Hong Kongu i tak dalej, wszyscy przypuszczają, że wił sobie ciepłe gniazdko, nie wiadomo z czego, bo o dużych kantach napomykano bardzo niejasno. Podobno dostał spadek. Mówię ci to w charakterze plotek, plotkować wszyscy lubią.

— Niektórzy się z tym ukrywają. Ciekawe, mnie też się jakoś ten Renuś czepia... Jeszcze wchodzi w grę Południowa Ameryka, ale nie umiem sobie wyobrazić, po co byłaby mu potrzebna. Znależiska po Inkach i Aztekach...?

— A wiesz, że to jest myśl! Szczególnie przy Miziutku... Ale w gruncie rzeczy to stało gównem mnie obchodzi, co u ciebie?

— Dużo i okropne. Powiem ci, chociaż węższą podsłuch na telefonie. Jeśli jednak drukują coś w prasie, nie może to być sekretem. Kuruję nogę... nie, o mojej nodze w prasie nie było, ale przez nogę właśnie niewiele zrobiłam, poza wypadem do Grójca. Spuchła mi, wlałam na kamień...

Powiedziałam o księdzu wikarym, na wszelki wypadek omijając księdza proboszcza. Grzegorz wywęszył drugie dno, bo przy księdzu wikarym nie dostrzegł tego kamienia, na który wlałam.

— Mniej więcej rozumiem — powiedział i powstrzymał się od dalszych komentarzy.

Znów doznałam przyływu szczęścia i ulgi, że rozmawiam z kimś, kto rozumie mnie w pół słowa.

Skorupka Jasia wciąż się za mną wlokła. Inteligencja u mężczyzny to jednak najważniejsze, no dobrze, nie tylko inteligencja, sama w sobie nie wystarczy, musi mieć podkład. Tę chęć współmyślenia z kobietą, zainteresowanie jej sprawami, nawet gdyby chodziło tylko o fason spódnicy, coś w rodzaju uczuć. Musi mu na niej w ogóle zależeć i nie tylko w łóżku. I nie koniec na tym, ta baba musi mieć w głowie też nie same trociny...

— Teraz poczekam jako tako grzecznie, bo może gliny będą miały do mnie jakieś interesy — powiedziałam smętnie i była to nawet prawie sama prawda.

O tym, jak ciężką zgryzotę miała policja, dowiedziałam się znacznie później. W gruncie rzeczy moja wizyta z głową, która przemieniła się w ananasa, była dla nich czystym błogosławieństwem i w pewnym stopniu nawet mnie polubili, nie posunęli się jednakże tak daleko, żeby od razu udzielać mi informacji. Z informacjami zgłosił się do

mnie ksiądz proboszcz i też nie od razu, a dopiero po trzech dniach. Te trzy dni, przesiedziane z konieczności spokojnie, doskonale zrobiły mi na nogę i fatalnie na samopoczucie. Pozbawiona tak wiedzy, jak i możliwości działania, napęczniałam nie zużyтым wigorem wręcz do wypęku.

Jasne było zatem, że podniosło mnie z miejsca natychmiast po telefonie proboszcza.

Otóż odbył się właśnie pogrzeb niejakiej Heleny Wystrasza. Pochowana została o wczesnym poranku na grójeckim cmentarzu w grobie rodzinnym niejakich Ostaszków. Była ich krewną. Jakies sensacyjne plotki krążyły wokół nieboszczki i ze względu na mnie ksiądz słuchał ich chciwie, ale takie były głupie, że nawet ich nie umie powtórzyć. Dał mi adres owych Ostaszków, mieszkali na ulicy Poświętnej.

Kwadrans po piątej po południu poczułam dla państwa Ostaszków szczerą sympatię, ponieważ mieszkali na parterze i nie musiałam chodzić po schodach. Pozwoliłam się poczęstować kawą.

— Taka dalsza krewna, wie pani — wyznała pani Ostaszkowa, nieco zakłopotana. — Ale wie pani, nasz grób, nasza rzecz, kogo tam pochowamy, a jej się coś od nas należało, bo pani prywatnie...?

Zapewniłam ją z ręką na sercu, że absolutnie prywatnie.

— Swoje pieniądze nam oddała. Więcej rodziny nie ma, dużo to tam tego nie było, ale zawsze. U nas trzymała i zawsze mówiła, że jakby co, to to jest nasze, znaczy jakby spadek, no to jakże by to było, żeby jej do grobu nie wpuścić...?

Z zapałem pochwaliłam jej poczucie elementarnej sprawiedliwości. Pani Ostaszkowa ciągle jeszcze była zdenerwowana śmiercią i pogrzebem Heleny, przepełniało ją, musiała z siebie wypchnąć, zwierzała mi się wręcz z zapałem, nie musiałam zadawać żadnych pytań.

— A i tak okropieństwo to było jakieś, w katastrofie zginęła i niech pani sama powie, dopiero co nas zawiadomili, a to już było ze dwa tygodnie temu! Podobnież dokumenty przepadły, czy coś takiego, trafić nie mogli, ale trafili nareszcie, bo ona u nas miała stały meldunek i w urzędzie znaleźli. Tylko ciała oddać nie chcieli...

— Sekcję musieli robić — podsunęłam ze współczuciem.

Pani Ostaszkowa wzruszyła ramionami, rozejrzała się dookoła jakby nieco podejrzliwie i zniżyła głos, chociaż dzieci już wcześniej przepędziła na świeże powietrze, a mąż, nie interesując się mną, poszedł do komórki rąbać drzewo.

— Sekcję to może, ale podobnież, proszę pani, coś tam z jej głową było. Zawsze ktoś coś powie i tak wychodziło, że tę głowę miała odrąbaną czy co, no w katastrofie to różnie bywa... Wcale nam jej od razu nie pokazali, nawet dla rozpoznania, aż dopiero dzisiaj rano, w ostatniej chwili, już w trumnie, bo trumna czekała, myśmy wszystko załatwili, z miasta Łodzi ją wieźliśmy karawanem... Znaczą rano, ja sama tam byłam, w kostnicy szpitalnej leżała i miała głowę jak należy, ale na szyi takie coś. Aż bym zajrzała, ale

mąż nie dał, co cię obchodzi, mówił, jest Helena? Jest. Wszystko ma, co plotek słuchasz, głupia babo. No to dałam spokój, ale może i co prawdy w tym było, w katastrofie różnie się zdarza, ale i na rękę popatrzyłam, taką myszkę miała, no więc Helena bez żadnej zmyłki...

Pomyślałam, że ozłociłaby mnie chyba, gdybym jej powiedziała całą prawdę, taka sensacja przytrafia się człowiekowi raz na stulecie. Zastanowiłam się, uściśliłam daty. Pogrzeb Heleny odbył się dopiero dzisiaj, ale na rodzinę trafili trzy dni temu, zaraz po mojej wizycie... Głowę miała, ciekawe skąd, złoczyńcy podrzucili...? Rąbnęli mi suvenir co najmniej w Stuttgarcie, a kto wie, czy nie w Paryżu, Grzegorz do torby-lodówki nie zaglądał, stwierdził tylko, że jest, mogła już w sobie zawierać ananasa... Ładne parę osób musiało w tej makabrycznej imprezie brać udział, patolog zapewne milczał służbowo, właściwego ciecica w kostnicy wystarczyło przekupić, a może tylko zdrowo urznąć... Nie, jadę do Łodzi, pazurami wydrę szczegóły z glin...

— Co ta pani kuzynka w ogóle robiła? — spytałam. — Gdzie mieszkała? Tu, u państwa?

— E tam — odparła pani Ostaszkowa z rozpędu i nagle zreflektowała się. — A pani właściwie co? Pani ją знаła?

Zdecydowałam się błyskawicznie.

— Nie. Ale powiem pani prawdę. Dostałam od niej list, chciała się ze mną zobaczyć, miała jakieś kłopoty. Nie wiem jakie. I najgorsze ze wszystkiego, to mnie właśnie gnębi, tego listu nie przeczytałam od razu, tylko z opóźnieniem. Moja wina. Dlatego... no, wie pani, jak to jest, człowiek chciałby coś nadrobić, coś załatwić... To trochę tak, jakby ostatnia wola, polecenie na łożu śmierci...

Łoże śmierci przemówiło do pani Ostaszkowej wielkim głosem, przejęła się niebotycznie i dostała wypieków. Prawie sama gotowa była spełniać ostatnią wolę Heleny.

— Jakie kłopoty? — spytała zachłannie.

— To właśnie od pani próbuję się dowiedzieć. Niech mi pani powie coś o niej. Co się z nią działo, jak jeszcze była żywa?

— No, jak to co, ona pracowała. Może i miała co w tej pracy, ale to przecież... Zaraz, ja powiem porządnie. Ona była u takich jednych, sprzątała tam i gotowała, bogaci ludzie, gdzieś w Warszawie, ale to tak na skraju. Prawie pod miastem, to wiem, bo mówiła, że tam duży ogród. I pani ma rację, jakiś czas temu taka niezadowolona była i chyba stamtąd odeszła. Naraiło się jej mieszkanie, ktoś tam wyjechał i ona tego mieszkania miała pilnować, znaczy mieszkała tam. A co do pani napisała?

— Tyle co pani mówię. Że ma duże kłopoty i chce się ze mną zobaczyć, bo może jej zdołam pomóc. Umówiła się ze mną w kościele w Grójcu i tyle. No i ja do tego kościoła za jej życia nie zdążyłam.



Zemocjonowana pani Ostaszkowa nie zwróciła uwagi na kompletny brak logiki w moim gadaniu. Bez względu na wielkość i rodzaj kłopotów Heleny, nikt jej już nie mógł pomóc i sprawa zrobiła się nieaktualna. Na rozum rzecz biorąc, powinnam była dać spokój i nie zawracać głowy, list zza grobu jednakże robił swoje.

— A no tak, no właśnie, ostatnimi czasy to co tydzień przyjeżdżała — podjęła żywo. — W każdy piątek rano, tak na dzień-dwa, bo przedtem to góra, jak trzy razy w roku była. Ale zaraz. To mieszkanie, co go pilnowała, to mnie się tak widzi, że już dawna sprawa. Raz pilnowała, raz nie, teraz całkiem mieszkała, a tam był jakiś taki, co jej pomagał.

— Gdzie był?

— Obok mieszkał. Gdzie tego mieszkania pilnowała, tak prawie drzwi w drzwi.

— Zna pani adres?

— A skąd! Adresu to ani raz jeden nie podała. Dużo to ona w ogóle nie gadała, skryta była taka, tajemna, czasem tylko tam coś. No i mnie tak wyszło, że to jakiś, co się nią niby opiekuje, no, może i dorwała chłopca... Ale...! A może z nim te kłopoty?

Zgodziłam się chętnie, że kłopoty z chłopem przytrafiają się najczęściej i wiek nie ma tu nic do rzeczy. Przez chwilę toczyłyśmy głębokie rozważania filozoficzno-życiowe, po czym wróciłam do zasadniczego tematu prawie na siłę. Intrygowało mnie, skąd się tej Helenie wzięłam i dlaczego wystosowała korespondencję akurat do mnie, nikła wzmianka o ukradzeniu czegoś temu swojemu napełniała mnie mglistymi podejrzeniami, kłopotliwy chłop nawet mi do tego nieźle pasował, ale głębszego sensu złapać nie mogłam. Tyle odgadłam, że małomówność i tajemniczość Heleny tolerowana była przez panią Ostaszkową ze względów materialnych, musiała baba nieźle zarabiać i hojnie płacić za swoje fanaberie, szkoda... Wolałabym, żeby więcej gadała...

— A tamta praca... Ta z dużym ogrodem. Wspominała pani, że kuzynka była niezadowolona. Nie wie pani, dlaczego odeszła?

— Wiedzieć, to całkiem nie wiem, ale mnie się zdaje, że coś tam państwo takiego robili, co ona na to kręciła nosem. Bogaci. A kto to wie w dzisiejszych czasach, od czego kto bogaty? Jak się pytałam, ramionami tylko ruszała, tyle wiem, że ta jej pani jakieś głupie imię miała, jakby dla kota. Micia chyba. Albo Mizia. Dorosła kobieta, niech pani popatrzy, żeby chociaż młoda...!

Nie podzieliłam zgorszenia pani Ostaszkowej, bo zabrakło we mnie miejsca na doznania uboczne. Po krzyżu przeleciał mi jakby prąd elektryczny. Micia. Mizia... Nie, niemożliwe, zbieg okoliczności... Zaraz, ale przecież Helena napisała do mnie, o czymś to świadczy! I ta jakaś ona, która mnie nienawidzi... Rany boskie!

Opanowałam emocję z wielkim wysiłkiem i już po paru sekundach znów zaczęłam słyszeć dźwięki zewnętrzne.

— ...a może i jeździła tam jeszcze do tego sprzątanania, bo mnie się widzi, że dobrze płacili, mówić, nie mówiła, ale pieniądze miała, to dzieciom co kupiła, to prezent jaki, to tego... — mówiła pani Ostaszkową w wyraźnym rozpędzie. — Ale nie wiem, bo może i nie. Więcej to powinna wiedzieć taka jej przyjaciółka, Heleny znaczy przyjaciółka, w życiu jej nawet nie widziałam, wcale nie wiem, jak się nazywa, ale wiem, że ją miała. O, ile to lat! Ze szkoły chyba jeszcze, bo myśmy różnie do szkoły chodziły i koleżanek to się żadnych nie znało, ale nie raz jeden mówiła, że ma do kogo gębę otworzyć i całkiem jej to starczy. No, nie do mnie, to chyba do niej...

Przyjaciółkę na usta pani Ostaszkowej wypchnęła wyraźna uraza, spróbowałam uściślić tę nową postać, bez rezultatu. Ukrywała ją ta Helena czy co...? Można było jedynie wydedukować, że mieszkała gdzieś w pobliżu owych państwa z ogrodem i, niestety, nic więcej, nie miałam pewności, czy naprawdę istniała.

Wracając do Warszawy, zastanawiałam się, czy to całe przesłuchanie równie łatwo poszłoby glinom. Chyba nie, małżonek pani Ostaszkowej mnie zlekceważył, ale policję potraktowałby poważniej. Obecny przy boku żony, pohamowałby może jej dedukcje i wnioski i o głupstwach gadania by nie było. Tymczasem właśnie te głupstwa...

Gwałtownie zabrakło mi Grzegorza.

\* \* \*

Gliny owszem, zdecydowały się pogawędzić ze mną zaraz nazajutrz w południe. Pan pułkownik osobiście zadzwonił i zapytał, czy może mi złożyć wizytę, ja z tą nogą, nie chce mnie ciągać po piętach i korytarzach, wpadnie do mnie z jednym podwładnym. Ależ proszę, niech wpada, nie mam nic przeciwko miłym gościom. Z wielką przyjemnością włożyłam perukę, bo ekscesy, które mogłyby ją naruszyć, nie wchodziły w rachubę. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pewnie, że wołałabym zobaczyć Grzegorza, ale przed jego wizytą poleciałabym do fryzjera. Nie, żadnego fryzjera, zrobiłabym uczesanie sama, fryzjer wystarcza mi na jedno popołudnie, spod kranu wychodzi lepiej. I znów przeżyłabym udręki, cholernie trudno pochylać się nad wanną, mając do podparcia tylko jedną nogę, a w umywalce za ciasno, do diabła z tymi głowami!

Coś się zmieniło. Pułkownik odniósł się do mnie jakoś życzliwiej, z kurtuazją i bez żadnej niechęci. Polubił mnie znienacka...?

— To teraz, mam nadzieję, usłyszę od pani całą prawdę — powiedział, zagłębiwszy się w fotelu ze szklaneczką piwa w dłoni. — To jest wizyta prawie prywatna, bo kapitan Borkowski, który mi towarzyszy, koniecznie chciał panią poznać osobiście. Zainteresował się nadzwyczajnie pani osobliwymi przygodami.

Kapitan Borkowski przy odrobinie uporu mógłby być moim synem. Dwadzieścia lat temu, kiedy Mizia niszczyła moje życie uczuciowe, chodził do szkoły i zapewne kopał piłkę na wybetonowanym placu zabaw. Wyrósł na atrakcyjnego chłopaka i robił doskonałe wrażenie.

— Ta Helena Wystrasz musiała powiedzieć pani coś więcej — kontynuował pułkownik. — Sprawa wikarego z grójeckiego kościoła już do nas dotarła. Pani u niego była i chyba nie bez powodu?

Wszystkie przemyślenia, jakich zdołałam dokonać od wczorajszego wieczoru, kazały mi znów zełgać chociaż trochę. Za dużo miałam domysłów i wątpliwości, a za mało konkretów.

— Zgadza się — przyznałam. — Trudno to nazwać wypowiedzią, raczej wyszemrała, że wie o zbrodni i że wypowiedziała się księdzu w Grójcu. Wcale nie wiedziałam o wikarym, trafiłam na niego przypadkiem. Tyle mojego.

— A co powiedział wikary?

— Nic, poza tym, że się zastanowi. Helenę pamiętał, niejasno, przy spowiedzi o nazwisko nie pytał, ale skojarzyła mu się jakoś. Na tym koniec. Zaraz potem ktoś go rąbnął, a ja nie ośmieliłabym się szarpać pazurami ciężko rannego człowieka, obojętne, księdza czy hycla. No, może hycla prędzej...

— Jeśli w grę wchodzi spowiedź, nawet i zdrowy nic nam nie powie — mruknął kapitan Borkowski.

Z miejsca postanowiłam przy tym ogniu upiec własną pieczeń.

— Wyznam panom, że gdyby nie ta kretyńska kość, już bym wróciła z Łodzi z pełną wiedzą o katastrofie. Nic z tego, łódzki bruk może i ma tradycje rewolucyjne, ale dla mnie się chwilowo nie nadaje. Intryguje mnie, jak to się tam odbyło, czy ja dobrze zgadłam, że tę Helenę wypchnięto albo sama wyskoczyła? To jest kwestia praw fizyki, nie paskudźmy wszechświata.

— Nie zamierzamy — zapewnił pułkownik. — Pokaż pani, Taziu...

W skupieniu obejrzałam kopię pełnej dokumentacji kraksy pod Łodzią. Wynikało z niej, że miałam rację, Helena znalazła się na poboczu przed zderzeniem, a nie po, ani nawet w trakcie. Szarpała się może i przez walkę z nią kierowca stracił na moment panowanie nad kierownicą, akurat w trudniejszej sytuacji na drodze.

— Porwali ją — orzekłam, zanim się zdążyłam zastanowić, co mówię. — Usiłowała uciec...

— Też nam się tak wydaje — przyznał pułkownik. — I podejrzewam, że pani wie dlaczego.

— Chwałę wiem. Za to pan wie, kto. Kto ją porwał, tych, co ją wieźli, też niezłe wykołowało. Znacie ich, oni gęby nie mają?

— Tak jakby nie mieli. Kierowca nie żyje. Reszta, o ile było ich więcej, uciekła. Co pani na to?

— O mój Boże, nic. Nie rozumiem sprawy. Jak oni załatwili z tą głową, kiedy i gdzie jej odrabali?

Obaj panowie popatrzyli na siebie, w okno i na mnie.

— No dobrze, powiem pani prawdę — zdecydował się pułkownik. — To wcale nie było tak, tylko zupełnie inaczej i cała ta historia zakrawa na makabryczny dowcip. Rozmawiamy prywatnie, o ile się orientuję, nie nagrywa pani rozmowy, i od razu mówię, że w razie czego wyprę się każdego słowa. Otóż...

Chłonełam każde jego słowo do wyparcia niczym gąbka morską wodę. Dowiedziałam się, co następuje: Obecność w katastrofie Heleny jako ofiary stwierdzono od razu, ale ofiar było więcej i bardziej poszkodowanych, chętnie powitano zatem pomoc społeczeństwa. Ktoś przypadkowy, jakiś nie tknięty krakną kierowca, zaofiarował się, że sam ją zawiezie do szpitala, będzie jechał za karetką, sanitariusz pomógł wepchnąć ją do samochodu marki Mercedes, tyle pamiętał i cześć. Na tym skończył się kontakt z ofiarą.

Mercedes do szpitala w ogóle nie dotarł, czym nikt się specjalnie nie przejął, uznano bowiem, że zapewne lepiej się czuła, niż można było mniemać, i pojechała do domu leczyć siniaki we własnym zakresie. Po kilku dniach jednakże...

Wścibskość dzieci w różnym wieku przekracza wszelkie granice. Chłopak jeden, na wrotkach, podejrzwał, jak z mercedesa wyciągnięto pakunek, dwóch facetów to robiło, a rzecz miała miejsce na drodze przez Modrzew w odludnym akuracie lasku, pakunek zawleczono w głąb zieleni i zakopano pośpiesznie i płytko. Przyjrzał się temu ciekawie, po czym udał się z donosem do glin. Trzy godziny nie przeszły, jak we wskazanym miejscu odkopano ludzkie zwłoki płci żeńskiej bez głowy. Numeru mercedesa chłopak nie pamiętał, co nie miało wielkiego znaczenia, bo z pewnością był fałszywy. Zwłoki przez czysty przypadek trafiły do tego samego szpitala, który nieco wcześniej przyjmował i leczył ofiary kraksy i rozpoznał je ten sam sanitariusz. — A rozpoznał je, proszę pani, tylko dlatego, że facetka miała na sobie jako... czy ja wiem, jak to nazwać, serdaczek...? Takie coś na górnej części... Co uparła się kupić jego żona, a drogie to było, więc utkwilo mu w pamięci. Twierdził, że o mało się przez to nie rozwiedli, przez ten szczegół garderoby zapamiętał ofiarę, po czym rozpoznał te zwłoki bez głowy. Osobiście wpychał poszkodowaną do mercedesa, ten serdaczek bił go po oczach, to jego określenie, nie moje, zwłoki miały to na sobie, reszta się zgadzała. Wzrost, tusza... Nawet w pośpiechu i zamieszaniu takie rzeczy się pamięta, w ten sposób wyszło, że jedna z ofiar kraksy nie dojechała do szpitala, a za to postradała głowę. Powiedzmy szczerze, pojawił się kłopot, dotarło do nas, po czym pojawiła się pani z komunikatem o głowie i Helenie Wystrasz. Udało nam się te rzeczy skojarzyć. Z nie znanych nam na razie powodów Helena Wystrasz padła ofiarą jakichś zbrodniczych machinacji...

— Ale później miała głowę! — wyrwało mi się. — Skąd...?!

— Podrzuciono ją. Do kostnicy. Czy ja muszę pani dokładnie tłumaczyć, co się dzieje w szpitalach...?

— Nie, wcale pan nie musi. Z tego wynika, że beze mnie nadal panowie mieliby ten kłopot?

— Zgadza się i dlatego tu jesteśmy. Dziwaczna sprawa. Nie zostawia się takich rzeczy odłogiem. Uczciwie pani wyznam, nie umiem sobie wyobrazić, jaki to może mieć związek z panią, może czysty przypadek, ale odjechała pani przecież natychmiast...?

Ponownie, z detalami, z wyliczeniem czasu co do sekundy, opisałam wypadek pod Łodzią. Do listu Heleny uparcie postanowiłam się nie przyznawać, miałam zatem trudności z włączeniem siebie w całą aferę. Gdyby tę głowę odrąbali jej natychmiast i wepchnęli do bagażnika najbliższego samochodu, proszę bardzo, byłby to zwykły przypadek, ktoś musiał stać najbliżej, ale nazajutrz...? Czy po dwóch dniach...? Dlaczego ja, do ciężkiej, nieprzemakalnej, wyjątkowo złośliwej cholery...?!

— Ja myślę... — powiedziałam niepewnie. — W Zgorzelcu... Okazja była, może chcieli pozbyć się jej... Jak by tu... Zwłoki nieznane, dokumentów panowie nie znaleźli, głowa odjedzie razem ze mną...

— A pani ją wyrzuci do zagranicznego śmietnika?

— Nie ukrywam, że miałam taką myśl...

— O Jezu — powiedział ze zgrozą kapitan Borkowski.

— Całe szczęście, nie wyrzuciła jej pani. Pani chyba zdaje sobie sprawę, że mamy pewne doświadczenie? Wiemy, że pani coś ukrywa, wiemy o pani dużo, nie bierze pani na ogół udziału w przestępstwach, ale nic straconego. Może zaczęła pani miesiąc temu? Może bezwiednie? Niechże pani, do pioruna ciężkiego, pomyśli logicznie, nie bez powodu przysłała pani do nas, mogła pani ukryć to idiotyczne wydarzenie...

— Myślałam, że ciągle ją mam — wyznałam żałośnie.

— Czy jest pani zupełnie pewna, że w Paryżu pani ją miała?

— Wcale nie jestem pewna, to znaczy pierwszego dnia owszem, a później diabli wiedzą. Ale gdyby nie, po jaką ciężką grypcę czepialiby się mnie w Stuttgarcie? W ogóle najrozsądniej byłoby przyjąć, że w odniesieniu do mnie nastąpiła pomyłka, dlatego podrzuciwszy, od razu chcieli mi ją odebrać. Chociaż z drugiej strony, za dużo tych przypadków, moja noga też coś mówi. O Jezu, tu głowa, tu noga, przerażający nadmiar kończyn!

Nagle okazało się, że szczegółów mojego złamania nie znają, nie wyjawiałam ich. Jakoś nie było kiedy. Zrelacjonowałam je teraz, obaj się zainteresowali, wypytywali zachłannie i natrętnie o wszystkie okoliczności, przysięgłam, że przed bankiem było czysto, żadne śmieci tam nie leżały, słoneczko z płaskowników dookoła drzewka musiałam narysować. Musiałam im pokazać tę nogę, oglądali ją przez lupę dokładniej niż ortopeda. Jakies wnioski z tego, być może, wyciągnęli, ale do mnie tylko pokiwali głowami.

— Zapewne powinnam się cieszyć, że panowie nie odrzynają mi nogi, żeby ją zostawić u siebie jako dowód rzeczowy — zauważyłam zgryźliwie. — No owszem, cieszę się. I co teraz?

— Nic. Pani się jeszcze zastanowi, a to jest numer kapitana...

Poszli sobie. Mogłam się założyć o wszystkie pieniądze świata, że najsilniejsze podej-  
rzenia zgrupowały im się na mnie...

Grzegorz zadzwonił tuż przed końcem pracy i niecierpliwość nie pozwoliła mi za-  
chować żadnego umiaru.

— Mizia, Grzesiu, ta jakaś mnie nienawidzi, słuchaj, czy możliwe, żeby to był przy-  
padek? Gdzie ona w ogóle jest, siedzi w tych Stanach? I do tego ten jakiś, co się Heleną  
opiekował, do mojego kretyna pasuje, mnie się wiąże...

— Opanuj się — poprosił Grzegorz. — Powiedz to jakoś po kolei, bo ja też mam tro-  
chę materiału do przemyśleń. Skąd ci się wziął Miziutek?

Odetchnęłam głęboko i spełniłam jego życzenie, powstrzymując się na razie od ko-  
mentarzy z ogromnym wysiłkiem. Informacje od niego też mogły coś dać i lepiej było  
rozważać wszystko hurtem. Wysłuchał cierpliwie.

— No to teraz ci powiem, że nabiłaś mi głowę tym Renuś i nie mogłem się od  
niego odczepić — rzekł, kiedy wreszcie zamknęłam gębę. — Obchodził mnie on tyle co  
umarłego kadzidło, ale widzę, że chyba niesłusznie. Z Andrzejem jestem w kontakcie,  
on siedzi w Bostonie, nie wytrzymałem i zadzwoniłem.

— I co? Miło było usłyszeć, że zbankrutował. Ze względu na Miziutka.

— Przeciwnie, wzbogacił się. W Stanach go nie ma. Mam nadzieję, że siedzisz na  
czymś wygodnym?

— Pewnie, że siedzę, a co mam innego robić z tą nogą...

— Renuś jest w Polsce.

— A Miziutek?

— Też.

— No to słusznie było siedzieć — powiedziałam po chwili milczenia. — Mów dalej,  
bo może wiesz coś jeszcze.

— Wiem niejasno. Ogólnie Andrzeja Renuś też gównie obchodzi, więc nie wnikał  
w detale. Podobno pojechał do Polski parę lat temu, jak tam u was zaczęły się dobre in-  
teresy. Zaraz potem odziedziczył tutaj niezły spadek, ale nie wrócił, przysłał Miziutka  
z plenipotencją, teraz mu konta puchną. Co ty możesz mieć z tym wspólnego, nie mam  
pojęcia i nie umiem odgadnąć.

— Ja też nie. Ale czekaj. List, gadanie kuzynki, Renuś, wszystko razem kojarzy mi się,  
jak następuje. Dwukropek. Renuś z Miziutkiem są w Polsce, Renuś robi śliskie biznesy,  
ta Helena coś wykryła. Zarazem skojarzyła się z moim eks. Co on do niej naglądził, Bóg  
raczy wiedzieć, ale za wielkiego wywiadowcę robił, to pewne, wykombinowała sobie, że  
zaraziłam się od niego tą wszechwiedzą, a może i do Miziutka dotarło. Najłatwiej zgad-  
nąć przyczyny, dla których ta głupia suka mnie nienawidzi. Nabrała obaw, że Helena  
mnie włączyła w ten szwindel, a ja zaraz polecę z pyskiem gdzie trzeba albo w prasie  
opublikuję, co pewien sens posiada. Ostrzeżono mnie, Helena chciała za dużo gadać

i proszę, jak teraz wygląda, niech się lepiej zastanowię, zanim słowo z pyska wypuszczę, bo będę wyglądać tak samo. Tyle mogę sobie wyobrazić ze wszystkich wydarzeń razem wziętych, drobiazgi uboczne mogą być wynikiem pośpiechu w działaniu i braku przemyśleń. Ich przemyśleń, nie moich. Co ty na to? Grzegorz musiał myśleć w trakcie mojego expose, bo nie wahał się ani chwili.

— Popieram. Taka kombinacja jest możliwa, chociaż, o ile pamiętam opinie o Renu-siu... Przypominam ci, że osobiście go prawie nie znałem, ale ogólnie było wiadomo, że jest to dobroduszny kretyn, który każdej bystrzejszej świni da się wykantować. Jeśli sam robi za świnię, to z głupoty.

— Ale w grę wchodzi Miziutek. Jeśli napisał testament na jej korzyść, mogła go na przykład zabić — podsunęłam z nadzieją.

— Owszem, myśl przyjemna. Nie, jednak trzeba więcej o Renu-siu. Podpuszczę Andrzeja. Czekaj, bo mnie tu się załagał nowy pomysł. Może zdołałbym przyjechać do Polski, wy tam macie podobno znachora-cudotwórcę?

Zakłopotalam się. Wiedzy o kręgach medycznych nie posiadałam prawie żadnej.

— Nic nie wiem...

— Bioterapeuta. Trudno osiągalny. Czy może radiesteta.

Coś mi się zaczęło majaczyć.

— A...! Zaraz, owszem, słyszałam, podobno jest taki. Ktoś o nim piał hymny. Spróbuję się dowiedzieć porządnie, podzwonię po ludziach.

— Podzwoń. I uważaj na siebie. Zdaję sobie sprawę z głupoty takiej rady, ale jednak. Odezwę się jutro...

Odłożyłam słuchawkę, dziko przejęta pod każdym względem. Myśl o przyjeździe Grzegorza poruszyła mnie bardziej, niż było to wskazane w tak skomplikowanej sytuacji. Napawałam się nią dostatecznie długo, żeby u niego skończyły się godziny pracy.

Wówczas dopiero zaczęły mi przychodzić do głowy spostrzeżenia racjonalne. Grzegorz miał rację, jeśli istotnie Renuś z Miziutkiem siedzieli w Polsce, zakres wiedzy o nich należało rozszerzyć. Jak się ten Renuś właściwie nazywał? Renuś i Renuś, jego nazwisko wyleciało mi z pamięci, a możliwe, że go w ogóle nigdy nie znałam. Albo słyszałam, nie kojarząc z osobą. Że też nie spytałam Grzegorza...!

Już po godzinie znalazłam stare kalendarze i notatniki z numerami telefonów. Zaczęłam je przeglądać. Mnóstwo osób przeprowadziło się, wyjechało albo zmieniło numery telefonów w wyniku udoskonaleń telekomunikacji. Tu powinnam dołożyć szóstkę, tu siódmkę, tu zrobili kompletnie co innego...

Może i nie ugrzęzłabym przy telefonie tak porządnie, gdyby nie noga, która protestowała przeciwko ruchliwości z wielką energią. Charakter mnie pchał, noga hamowała, od takich sprzecznych bodźców nerwicy można dostać. Zaczęłam kręcić jak popadło.

— O rany, kopę lat! — wykrzyknął radośnie pierwszy z dawnych przyjaciół. — Co się z tobą dzieje, co słyhać? Kto? Renuś? Taki mały, tusty, co był w naszej grupie? A nie, innego sobie nie przypominam...

— Renuś? Jaki Renuś? — spytał z niesmakiem drugi. — Żadnego Renusia nie znam.

— Hej, też sobie porę wybrałaś! — wykrzyknęła osoba trzecia. — Właśnie odbywa się wesele mojej córki, może wpadniesz...?

— Cześć, jak się masz? — ucieszył się kumpel czwarty. — To naprawdę ty? Cud, że na mnie trafiłaś, prawie mnie nie ma, od wieków siedzę w Szwecji! Piękny kraj! Renuś? A właśnie, co z Renuśkiem? Jak on się nazywał...? A diabli wiedzą, nie pamiętam, jakiś Wypłosz czy coś podobnego...

I dopiero dziewiąta kolejna osoba, jednostka płci żeńskiej, powiedziała coś sensownego.

— Renuś? Ach, Boże drogi, Renuś już dawno pograżył się w Miziutku, jak to, nie wiesz o tym? Ta zdzira była podobno twoją przyjaciółką?

— Słusznie zauważyłaś, że była...

— No tak, rozumiem. Widziałam ją. Podobno zasadniczo mieszka na Florydzie, a ja ją widziałam w Warszawie. Przelotnie. Aż mnie to zaciekało. Wyobraź sobie, podobno Renuś wziął się za biznesy, podobno doskonale mu idzie, podobno stanowią żyłą złotą, podobno wszystko pod wpływem Miziutka, nie powiem, co o niej myślę, bo nie będę się wyrażać, moje dzieci słuchają...

W tle usłyszałam męski okrzyk: „Matka, nie wygłupiaj się!”

— O, sama widzisz. Wnukom na razie wszystko jedno. Podobno Renuś nie poznaje znajomych, półgębkiem gada, mordę okręca o kąt pełny do tyłu i nie słyszy, co się do niego mówi. A szmal chapie. Podobno zważniał jak świnia i tylko w Miziutka patrzy jak w obraz święty, słuchaj, jak ty myślisz, czy ta suka naprawdę go nie zdradza? Nie mogę w to uwierzyć!

— Nawet jeśli zdradza, to i cóż takiego — odparłam trzeźwo. — On zaraz musi o tym wiedzieć? A przypominam ci, że ja ją znam, dla niej pieniądze od łóżka o ileż ważniejsze!

— No tak, forsa. Może masz rację. Głupia nigdy nie była, to jej trzeba przyznać, tylko wredna. Zdumiewające jest natomiast, że Renuśowi tak świetnie idzie, to znaczy, wiesz, nie przy mnie pisane, tak słyszałam.

— Jak on się nazywa?

— Kto?

— Renuś.

— A diabli go wiedzą. Nie pamiętam. Czy w ogóle ktokolwiek kiedykolwiek mówił o nim po nazwisku...? Podobno bliżej kontaktuje się z nim taki jeden, zaraz, może go pamiętasz, jak mu było... Nowakowski.



— Nowakowski to był taki z MSW — odparłam, zanim zdążyłam pomyśleć.  
— Próbował mnie poderwać w jednej delegacji służbowej. Wtyczka w naszym biurze. Jak to, Nowakowski z Renuśkiem...?

— Głowy nie dam Podobno a'propos, co z Grzegorzem? Słyszałaś coś o nim?

Udało mi się odpowiedzieć jako tako naturalnie i ze szczerym zdziwieniem.

— Grzegorz? Oczywiście! Zrobił karierę we Francji, w prasie o nim piszą. Dlaczego a'propos?

— Jak to dlaczego, przecież ten Nowakowski podkładał mu świnie. Proste skojarzenie.

— Nowakowski? Mnie się o uszy obilo, że jakiś Sprzęgieł.

— Sprzęgieł był gachem jego żony. A po co ci w ogóle ten Renuś?

Na to pytanie odpowiedzieć należało bezwzględnie. Umiałam.

— A bo wyobraź sobie... Szukam cholernika, ponieważ kiedyś, potwornie dawno temu, pożyczył ode mnie książkę, którą chciałabym odzyskać.. Pożyczył pośrednio. Na żadne wznowienia nie ma nadziei, bo nie było to wielkie dzieło, tylko takie byle co, ale ja ją lubiłam. Ty wiesz, że ja jestem maniaczka... A kto wie, może przez jakieś niedopatrzenie jeszcze mu ocalała? Dotarło do mnie, że poniewiera się po tym kraju...

— Książka...?

— Nie, Renuś.

— A, Renuś owszem. Podobno czasami można go spotkać w eleganckich barach. Z Miziutkiem...

Na dalsze plotki niższego autoramentu zabrakło już nam czasu, umówiłyśmy się na telefon w wolniejszej chwili. Zadzwoiłam do osoby dziesiątej.

— Czyś zgłupiała? — spytał ze zgrozą mój dawny kumpel. — Już się nie masz czym zajmować?

— A co...?

— Z Renuśkiem coś mi nie gra. Jeden taki, Nowakowski się wabi...

Zamilkł nagle i milczał strasznie długo.

— Renuś szukam w celach prywatnych — powiedziałam z naciskiem, bo ta książka mi się spodobała, nastawiłam się na nią i nie wymyśliłam jeszcze tylko tytułu i autora. — Może jednak, mimo wszystko, mogłabym go jakoś dopaść?

Kumpel pomilczał jeszcze trochę.

— Chyba nie — rzekł wreszcie. — O ile nie jesteś bizneslumen i nie dokonujesz hurtowych zakupów import-eksport. On się jakoś zręcznie miga, ciągnie szmal i do spotkań towarzyskich z byle kim serca nie ma. Razem z tym Nowakowskim w geszeftach siedzą, osobiście podejrzewam śmierdzące kanty na szczeblu, a bezpośrednich kontaktów z tą grupą społeczną nie uprawiam. Renuś w ogóle odskoczył od ludzi i na innych płaszczyznach prosperuje. Daj sobie z nim spokój, po cholere ci to?

Czym prędzej powiedziałam o książce.

— Spisz ją na straty — poradził kumpel i włączył się z tematu.

Poczułam się zarazem ogłuszona i zaintrygowana. Zaczęło mi się wydawać, że teraz powinnam zająć się Nowakowskim. Nie miałam na to najmniejszej ochoty, wątpliwe było, czy w ogóle poznałabym go po tylu latach, ale pamiętałam, że mi się nie podobał. Ani z wierzchu, ani w środku, kiedy podrywał mnie w tej delegacji, można powiedzieć wprost i bez żadnych zabiegów dyplomatycznych, już wiedziałam, że został nam nasłany, ostrzeżono mnie. Podkładał świnię Grzegorzowi, zaraz, a gdzie Sprzęgieł...? Czyżby Grzegorz nie wiedział wszystkiego...?

Różne tajemnice wychodziły na jaw dopiero po latach...

\* \* \*

O dziesiątej rano zadzwonił ksiądz proboszcz.

— Ksiądz wikary już odzyskał przytomność, ale jeszcze nie należy go męczyć — powiedział, błyskawicznie doprowadzając mnie do pełnej sprawności umysłowej. — Sądzę, mógłbym, a może nawet powinienem, z panią porozmawiać. Jak pani się czuje?

— Doskonale — zapewniłam go bez sekundy zastanowienia. — Mogę przyjechać bez problemu. O której?

— O pierwszej może? Do kościoła...

Znalazłam się pod tym kościołem nawet przed pierwszą, bo gnała mnie niecierpliwość. Poprzedniego wieczoru, nie uzyskawszy nazwiska Renusia, zakończyłam akcję telefoniczną, dwie kolejne pomyłki bowiem, w których wyrwałam ze snu obcych ludzi, dały mi do zrozumienia, że zrobiło się trochę późno. Nawet przyjaciół i znajomych po północy głupimi pytaniami nie powinno się nękać, mogą bardzo ochłonać w przyjaźni. Ksiądz proboszcz stworzył mi nowe nadzieje.

Ksiądz już na mnie czekał.

— Ten list zapamiętała pani bardzo dokładnie — pochwalił. — Nie zabrał go złoczyńca, ocalał. Ja go mam. Pani się nazywa Chmielewska?

Przyświadczyłam.

— Judyta?

— Nie. Joanna.

— A koperta była zaadresowana do kogo? Do Judyty czy do Joanny?

Zdenerwowałam się natychmiast. W pośpiechu trzęsącymi się rękami wyrzuciłam wszystko z torebki, znalazłam kopertę, jak psu z gardła wyjętą.

— Do żadnej — powiedziałam, nie wiadomo dlaczego z ulgą, bo zysku z tego nie było. — Tylko pierwsza litera. J. Chmielewska.

Ksiądz proboszcz obejrzał kopertę, popatrzył na mnie ze współczuciem i westchnął.

— No właśnie...

Coś mi się nagle miotnęło w umyśle.

— Zaraz, ale na liście było... Z drugiej strony...

Sutanna posiadała kieszenie, z jednej proboszcz wyciągnął list w nie najlepszym stanie. Odwrócił.

— To samo. Pierwsza litera. J. Chmielewska.

— Co to znaczy siła sugestii — powiedziałam, niemal ze zgrozą. — Niech ksiądz popatrzy, gotowa byłam przysięgać, że tam jest imię! Tak uwierzyłam, że to do mnie! Tak to odczytałam!

— Otóż to — przyświadczył ksiądz, kiwając głową. — A tymczasem nie wiadomo, czy nie nastąpiła pomyłka. Mogło wcale nie o panią chodzić, tylko o tę drugą. O Judytę.

Gapiłam się na niego, ogłupiała i pełna rozterki. A może i rzeczywiście pomyłka, a te wszystkie kombinacje z Miziutkiem i Renusiem stanowią kretyński wymysł, czystą fantazję, idiotyzm, którego słusznie nie rozumiem. Judycie zamierzali podrzucić głowę Heleny, a nie mnie! Nic dziwnego, że próbowali odebrać... Zaraz, a noga...? Niechby, psiarew, ta Judyta kulała! Z jakiej racji to świństwo spadło na mnie...?!

— I co? — spytałam ze śmiertelnym oburzeniem. — Co ta Judyta?

Ksiądz znów ciężko westchnął z wielkim zakłopotaniem.

— Judyta Chmielewska to była przyjaciółka nieboszczki Heleny Wystrasz. Tyle ksiądz wikary mógł mi powiedzieć. Może do niej ten list napisała, chociaż z drugiej strony, treść trochę nie pasuje...

— I gdzie ona jest, ta Judyta, do pioruna ciężkiego, może trzeba ją znaleźć, może ona coś wyjaśni...?!

Ksiądz proboszcz zachował spokój kamienny, nie poddał się moim emocjom.

— Adresu jej nie znamy. Kim jest, nie wiemy. Może pani powinna rozważyć, czy sprawa dotyczy pani, czy jej.

Wbrew wszystkiemu, oszołomieniu, oburzeniu, sprzecznym chęciom i wewnętrznym protestom, spełniłam jego życzenie.

— Nie wiem — powiedziałam po długiej chwili. — Nie jestem pewna. Coś mi się zaczęło rysować w odniesieniu do mnie, a w dodatku wiem, że Helena miała przyjaciółkę, która powinna dużo wiedzieć. Helena, jak sam ksiądz widzi, chciała mi coś tam powiedzieć, możliwe, że przyjaciółka wie co. Jak by ją znaleźć? Żadnej Judyty Chmielewskiej nie znam i w ogóle o takiej nie słyszałam.

Ksiądz proboszcz zmartwił się i zakłopotał na nowo.

— Jedyne, co ksiądz wikary mógł powiedzieć, to to, że one mieszkały gdzieś blisko siebie. Tam, gdzie nieboszczka Helena pracowała. Nic więcej. Ogłoszenie...? A może policja by ją znalazła?

Poczułam się trochę nieswojo.

— Policja owszem, zapewne bez trudu. Ale ja, proszę księdza, do policji zełgałam, nie powiedziałam o liście.

— Dlaczego? — zdziwił się proboszcz.

— Nie wiem. Na zdrowy rozum trudno wyjaśnić. Ale zaczęło mi wychodzić, że istnieje jakaś afera, która dotyczy mnie osobiście i prywatnie, mam na myśli tę babę z listu, która mnie nienawidzi. Jest taka. Żeby to rozwikłać, trzeba by cofać się w przeszłość, nie każdy zrozumie, szczególnie powody tej nienawiści. To nie ja jej zrobiłam coś złego, tylko ona mnie. Ogólnie biorąc, coś tu nie gra, chciałam najpierw sama się czegoś dokończyć, a potem dopiero uszczęśliwiać gliny. Ksiądz już z nimi rozmawiał?

— Tak. O wypadku księdza wikarego. Tego listu jeszcze wtedy nie miałem.

— To może ja go zabiorę. I dam im. Przyznam się do łgarstwa, na Sybir mnie za to nie wyślą. I powiem o Judycie.

Ksiądz proboszcz zgodził się ze mną bez namysłów i wahań.

— Tak istotnie będzie lepiej. Zaraz, muszę pani więcej powiedzieć. Ksiądz wikary bardzo jest zatroskany, ja zresztą również, ale pewne prawa nas obowiązują i są sprawy, które należy zostawić sprawiedliwości boskiej. Ksiądz wikary jeszcze się waha i rozważa, no, nie w tej chwili, bo się źle czuje, ale być może później powie coś więcej. Coś, co pomoże sprawiedliwości ludzkiej. Otóż świętej pamięci Helena wykryła, że niewinny człowiek został zamordowany, i bała się, jak widać słusznie, o siebie. Zabójca ciągnie zyski ze swojej zbrodni. Nie powinno się tego zostawić bez żadnego przeciwdziałania.

— Ksiądz wie, kto to jest? — spytałam, nieco wstrząśnięta.

— Ksiądz wikary wie. Ale to jest właśnie to, co usłyszał w konfesjonale.

— Znaczący umrze, ale nie powie. Ale wspominał, w rozmowie ze mną, że coś wydedukował samodzielnie...?

— Owszem. Chociaż niewiele zdążył. Myślę, że będzie chciał porozmawiać z panią, jak tylko poczuje się lepiej.

— Przyjadę na pierwszy sygnał — obiecałam płomiennie. — Wolalabym najpierw rozmawiać z księdzem wikarym, a potem z glinami, ale mam obawy, że mi to źle wyjdzie. No dobrze, niech będzie, przyznam się im do łgarstwa...

Ksiądz proboszcz całym sobą zaakceptował moje postanowienie. Z całej rozmowy wyniosłam jedną konkretną korzyść, mianowicie nazwisko owej tajemniczej przyjaciółki Heleny...

\* \* \*

Za to uparcie nie miałam nazwiska Renusia. Siedziałam przy telefonie i zastanawiałam się, gdzie dzwonić, nadal po znajomych czy jednak do policji. List od Heleny gryzł mnie w sumienie. Dodatkowo miotał się po mnie kler, ksiądz proboszcz i ksiądz wikary, informacje o zyskowej zbrodni jałowiły mi umysł, zamiast dodawać mu wigoru. Czułam wyraźnie, że powinnam odczekać i dopiero po jakimś odpoczynku nakłonić zwoje mózgowo do racjonalnej pracy.

Telefon załatwił sprawę sam z siebie, bez mojego udziału. Zadzwoił.

— Czy pani Chmielewska Joanna? — spytał damski głos.

Potwierdziłam

— Ja się nazywam Chmielewska Judyta — powiadomiła mnie baba z drugiej strony i równie dobrze mogła walnąć mnie tasakiem w ciemię. — Helena Wystrasż to była moja przyjaciółka. Ja do pani dzwonię z lotniska i zaraz wyjeżdżam, bo ja się, proszę pani, boję, a oni wszyscy niech się wymordują beze mnie. Helena podsłuchiwała i widziała te papiery, a teraz dopiero wszystko zgadła. Podobnież taka czarna teczka była, znać takie okładki plastikowe, oni myślą, że pani to ma. Albo ten panin mąż gdzie zatrzymał. I niech pani lepiej też wyjedzie i w ogólności w nic się nie wtrąca.

Udało mi się opanować oszołomienie.

— Zaraz, proszę pani, chwileczkę! — wrzasnęłam gorączkowo. — O co tu w ogóle chodzi, ja nic z tego nie rozumiem! Niechże mi pani cokolwiek wyjaśni! Po co oni mi podrzucili tę głowę Heleny i kto to jest...

Przerwała mi.

— A, to jednak! A ja od razu mówiłam, że jej tę głowę odcięli. On się nazywa Libasz, ten gość, a jak naprawdę, to nie wiem. Oni tak panią ostrzegają, bo się boją panią zabić, żeby za dużo szumu nie było, a jakby pani miała te papiery, to by je kto znalazł, policja albo co. Oni zabili tego drugiego. A teraz to ja już muszę iść, bo do samolotu wołają. Do rodziny jadę. A do pani list wysłałam.

Rozłączyła się. Pociemniało mi w oczach. Gdybym miała obie nogi w porządku, za dziesięć minut znalazłabym się na lotnisku. Zanim wepchną pasażerów do samolotu, upłynie jeszcze trochę czasu, zdążyłabym złapać tę cholerną Judytę. Kretyńska kość mnie hamuje, samo złączenie ze schodów po jednym stopniu zabierze z kwadrans, a jeszcze tam, przemarsz z parkingu... Mogłabym zadzwonić na lotnisko, żeby ją zatrzymali, ale nie będę przecież robić babie koło pióra, Helena nie żyje, a kto wie, zabiliby może i ją...

Na lotnisko jednakże zadzwoniłam i spytałam, dokąd leci najbliższy samolot, ten, który właśnie bierze pasażerów. Okazało się, że do Montrealu. No tak, ta facetka wie, co robi, odgradza się od złoczyńców oceanem. Bardzo rozsądnie.

Odłożyłam słuchawkę i znów spróbowałam pomyśleć, co wychodziło mi jeszcze gorzej niż przed tym telefonem Judyty. Facet nazywa się Libasz, No świetnie i co mi z tego? Libasz... Zaraz...

Żadnego Libasza nie znałam, ale nazwisko plątało mi się mętnie po zakamarkach pamięci. Musiałam je słyszeć. Ciekawe od kogo...? Nie kojarzyło mi się z nikim i z niczym, ale ktoś je chyba wymienił. Mam się nie wtrącać. W co się wtrącam, o rany?! No owszem, roztrąbiłam potężną aferę i wetknęłam kij w mrowisko, ale nic z tego nie wynikało, aferzyści prosperują nadal. Nie lubią mnie, to pewne...

Zaraz, ona wysłała do mnie list, może z niego się czegoś dowiem? O Libasza zaczęłam pytać wszystkich znajomych, ale nie jest wykluczone, że napomknął o nim jakiś obcy człowiek i ze znajomych pożytku nie będzie. Diabli nadali i szlag jasny żeby to trafił.

Opanowałam myślopląs, sięgnęłam po długopis i porządnie zapisałam cały komunikat owej Judyty. Co ona powiedziała...? Libasz, papiery i czarna teczka...

Czarną teczkę oczyma duszy ujrzałam jak żywą. Posiadał coś takiego mój ostatni chłop, widziałam ją, nadwerżona już była nieco i nadgryziona zębem czasu, pękato wypchana papierami. Plątała mi się po mieszkaniu chyba jeszcze i później, po zerwaniu wszelkich kontaktów, ale bez papierów, pusta. Prawdopodobnie wyrzuciłam ją do piwnicy, pchałam tam wszystko co niepotrzebne, w tym pozostałości po trzech mężach, dziada z babą w tej piwnicy brakowało, nogi nie było gdzie postawić...

Westchnęłam ciężko i zadzwoniłam do policji.

Na kapitana Borkowskiego trafiłam prawie od razu. Nie czynił mi żadnych wyrzutów, może dlatego, że zaczęłam od uroczystej obietnicy, iż teraz wreszcie powiem prawdę.

— My od początku wiemy, że pani coś ukrywa — rzekł beztrasko. — Jeśli pani pozwoli, to ja wpadnę za godzinę...

Pozwoliłam bardzo chętnie. Był to ostatni telefon, jaki udało mi się załatwić, ponieważ zaczął padać deszcz. Nasza instalacja telefoniczna mokrej pogody nie lubi, przestała normalnie łączyć i nie zdołałam się dodzwonić do nikogo. Kiedy zabrzączał gong u drzwi, ze szczerą ulgą odczepiłam się od urządzenia i poszłam otworzyć, przekonana, że to kapitan.

Za drzwiami stał obcy facet z wielką paką w objęciach.

— Przesyłka dla pani Chmielewskiej — powiedział.

Zdziwiłam się.

— Przesyłka? Skąd?

— Z poczty.

— A, z poczty...

Żadnej przesyłki nie oczekiwałam, ale nie był to powód, żeby odmawiać przyjęcia. Poza tym, mogli mi przysłać książki, zdarzało się. Pokwitowałam na podetkniętym formularzu, facet położył pakę na stoliku, dałam mu dwa złote, podziękował i poszedł.

Zawartość pakunku ciekawiła mnie, spróbowałam go podnieść. Nic z tego, ważył dwie tony, takie ciężary to nie na moją nogę. Rozejrzałam się w poszukiwaniu nożyczek, znalazłam akurat największe, półmetrowej długości, ale pogodziłam się z nimi, bo spacer, nawet tylko po mieszkaniu, żadnej przyjemności mi nie sprawiały. Rozciąłam sznurek i taśmę klejącą, po czym nagle przyszło mi do głowy, że jak na książki ciężar jest zbyt wielki. Co może być takie ciężkie? Bomba...?

Wątpiąc w bombę, na wszelki wypadek przytknęłam do paki ucho i posłuchałam. Nie cykało. Zatem, jeśli nawet bomba, to nie zegarowa i z mieszkania w pośpiechu wybiegać nie muszę. Zdejmując papier z tekturowego pudła, zdążyłam się zastanowić, co zabrałabym ze sobą, żeby nie uległo zniszczeniu, wyszło mi, że książki, dwa tysiące książek wynieść z domu w minutę, no nie, tego nawet zły duch nie dokona...

Kapitan zadzwonił w momencie, kiedy przecięłam narożniki i rozchylałam boki pudła, wypełnionego uszczelniającą gąbką i czymś dużym w folii. Otworzyłam mu drzwi.

— Nie wiem, czy nie naraża się pan na niebezpieczeństwo — powiedziałam z troską.  
— Dostałam tajemniczą przesyłkę i właśnie ją zamierzam obejrzeć. Nie tyka.

Kapitan odwrócił się do mnie, potem spojrzął na zaśmiecony stolik i uczynił krok ku niemu.

— Ma pani jakieś obawy? Może lepiej, żebym ja to rozpakował?

Mój hol odbiegał rozmiarami od placu Defilad. Zdążyłam zamknąć drzwi i uczynić dwa kroki, dzięki czemu znalazłam się przed nim.

— Już niewiele zostało, jak pan widzi. Co do pana natomiast...

Chciałam powiedzieć, że spadł mi jak z nieba, bo niewątpliwie zdoła podnieść ten ciężar, ale nie dokończyłam zdania. Rozchyliłam folię i ujrzałam pod nią zawartość zasadniczą.

Na bardzo długą chwilę odjęło mi mowę i zaparło dech.

Żeby chociaż ta cholerna głowa z gipsu była biała, robiłaby może mniejsze wrażenie, to nie, pomalowali ją. Wyglądała jak żywa. Helena Wystrasz oczywiście, rozpoznałam ją w mgnieniu oka.

Trwałam w odrętwieniu, kurczowo ściskając w dłoni nożyczki. Kapitan z wielkim zainteresowaniem oglądał, na zmianę, to Helene, to mnie.

— To ona? — spytał.

— A kto? — wyrwało mi się. — Elizabeth Taylor? Czy może Lenin...?

— Ciekawa rzecz...

Uniósł ją z pewnym wysiłkiem, obejrzał od spodu, wygarnął opakowanie i ładnie ustawił dekorację na środku stolika.

— Nieźle zrobiona — pochwalił.

— I nadzwyczajnie podobna — potwierdziłam zgryźliwe. — Rzeźbił Benvenuto Cellini...? Nie, to odlew, maska pośmiertna... Przy świadku stwierdzam, jest to niejaka Helena Wystrasz, która przejechała ze mną prawie pół Europy, z tym że żywa... To znaczy nie, żywa już raczej nie była...

— Może powinna pani napić się trochę koniaku? — podsunął kapitan z wyraźnym współczuciem.

Zgodziłam się.

— Koniaku mogę. Kuchnia jest tam. Poszłabym sama, ale pan będzie szybszy.

Pudło, papier, gąbkę i sznurek sprzątnął osobiście, myślałam, że to ze względu na moją nogę, ale okazało się, że nie tylko. Postanowił zabrać to ze sobą. Wyjął aparat fotograficzny rozmiaru pudełka zapalek, pstryknął parę razy i uszczęśliwił mnie informacją, że głowę może mi zostawić. Nie był to podarunek, o którym marzyłabym całe życie.

— A nie mógłby pan zabrać jej także? — spytałam zachęcająco. — Może panowie nie wiedzą dokładnie, jak wyglądała, właśnie tak, tyle że była jakby mniej różowa, kiedy ją ostatni raz widziałam. Kolorystycznie wprowadziłabym korektę. Na co mi to memento?

— A otóż, proszę pani, jeszcze nie wiem — odparł grzecznie. — Na wszelki wypadek niech postoi u pani. Przecież do pani ją przysłano? Mogło to mieć jakiś cel, zobaczymy, co z tego wyniknie.

Przełamując w sobie silny i zdecydowany opór, pogodziłam się z jego decyzją. Postanowiłam zakodować w pamięci, żeby w holu nie zapalać światła. Nagły rzut oka na głowę nieboszczki mógłby i mnie wpędzić do grobu, dość miałam własnej, nawet mimo peruki, ta druga stanowiła nadmiar nie do zniesienia. Wpadłam na pomysł.

— Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym ją zasłoniła jakąś szmatą?

— Dlaczego nie? Można. Nie będzie się kurzyła.

Błyskawicznie wyobraziłam sobie, jak odmiatam kurz z cholernej głowy, przejeżdżam ją odkurzaczem albo czyszczę pędzelkiem i coś mi się w środku zrobiło. Pośpiesznie podetknęłam kapitanowi kieliszek, nie żałował mi, w końcu ten koniak był mój własny.

Pomyślałam, że trudno, jakoś dam sobie radę z tym szczątkiem zwłok we własnym domu.

Przeszliśmy wreszcie do pokoju i przystąpiliśmy do tematu zasadniczego.

— No dobrze, przyznam się — powiedziała, podając mu list od Heleny razem z kopertą. — Zbiegło mi się na francuskiej autostradzie, korespondencja i prezent. Ona nic do mnie nie powiedziała, poza „uciekaj” i „ja jestem Helena”. Resztę, z nazwiskiem włącznie, wydedukowałam. Ponadto dzwoniła do mnie jej przyjaciółka, niejaka Judyta Chmielewska, i potwierdziła, że w grę wchodzi jakaś zbrodnia. Oni go zabili, rzekła do mnie, ale, niestety, nie wiem kogo. Ponadto widzi mi się, że odgadłam babę, która mnie nienawidzi, jest to moja niegdyś przyjaciółka, a obecnie chyba wróg, nie wiem nawet, jak się teraz nazywa, bo poślubiła faceta, którego znam tylko z imienia. Renuś niejaki i do widzenia. A tej Judyty już pan nie złapie, bo dwie godziny temu odleciała do Kanady i właśnie znajduje się nad Amsterdamem. Dzwoniła do mnie z lotniska.

Kapitan cierpliwie wysłuchał mojego zeznania. Na komunikat o wojażu Judyty nieco jakby sposepniał, ale nie czynił mi wyrzutów. Informację o liście od niej ukryłam, bo miałam obawy, że będą chcieli przeczytać go wcześniej niż ja. Ominęłam także nazwisko Libasza, wyłącznie dlatego, że nie wytrzymał konkurencji z podarunkiem, wyleciał mi z głowy i zapomniałam o nim na śmierć.



Ledwo zostałam sama, rzuciłam się ku szufladzie, w której spoczywały płachty. Foliowe wykluczyłam, nie nęciła mnie przezroczystość. Znalazłam stary obrus na dwanaście osób, w moim holu pojawiło się coś w rodzaju piramidy, spływającej ku podłodze łagodnymi fałdami. Zakrywszy prezent, ochłonęłam.

Libasz wrócił na swoje miejsce. Znów usiadłam przy telefonie. Deszcz przestał padać, telefony miały szansę odzyskać nieco równowagi. A była mowa, że ta francuska instalacja jest delikatna do obrzydliwości, styki codziennie przemywać spirytusem, cha cha, polski naród spirytus wypije, a styki niech się powieszą, Ericsson był solidniejszy, kto do cholery, wymyślił zamianę...?! A, prawda, Gierek! Całą duszą mu życzę, żeby musiał żyć z telefonu!

Pozgrzytałam zębami, przyniosłam sobie herbatę i ugrzęzłam przy tym parszywym ustrojstwie na mur. Dodzwaniałam się do ludzi z częstotliwością dwie sztuki na godzinę. Z miejsca przy telefonie miałam doskonały widok na tekstylną piramidę w holu, denerwowała mnie, odwróciłam się tyłem, przyjmując pozycję bardzo niewygodną. Libasza, jak dotąd, nikt nie znał. Po drodze dostałam kołowaczny, zapomniałam, co mówię i zamieniłam go na Libusza, Libusz był mi znany jakoś podwójnie, uświadomiłam sobie wreszcie, że operuję imieniem woja z jedenastego albo nawet dziesiątego wieku, ogarnęła go Ruś, Mieszko albo Chrobry nie zdołał mu przyjść z pomocą i Libusza diabli wzięli, a z nim razem przepadły Grody Czerwieńskie. Zgniewało mnie, że nie pamiętam dokładnie, zajrzałam do encyklopedii, bez skutku, wyciągnęłam Bunsza i sprawdziłam. Okazało się, że był to Lubor, za Mieszka, i nie stracił Grodów Czerwieńskich, tylko przeciwnie, zdobył je, zatem pomyliłam wszystko, ciągle jednak plątał się po mnie jakiś dramat tego Lubora i strata terytorialna. Nie miałam teraz czasu czytać wszystkich tomów, odczepiłam się wreszcie od historii, ale i tak to potrało.

W ten sposób do właściwej osoby udało mi się dodzwonić dopiero o dziesiątej wieczorem.

— No jak to, kto to jest, ode mnie o nim słyszałaś, to jest ten od REBASU. Pozornie spółka akcyjna, a naprawdę własność prywatna, właśnie tego Libasza — powiedział trochę gniewnie Jurek, poniekąd mój współnik we wtrącaniu się tam, gdzie nie trzeba. — Zdaje się, że już pertraktuje o powiększenie terenu, ty wiesz, że byli u mnie z propozycjami? To ja mam wydać opinię, mają w kieszeni Ministerstwo Rolnictwa i Ministerstwo Finansów, nie będą im stawiali przeszkód, ale ja i tak się dziwię. Przecież w końcu nawet ostatni złób połapie się w tych kantach, wygruzi im się wszystko. Nie rozumiem, co im za korzyść z tego?

— Bo nie jesteś hochsztaplerem — wyjaśniłam. — Od premiera przyszło wyciszenie afery. Zmyją się we właściwej chwili, a co mają, to mają, potem się okaże, że legalnie i nic im nie można zrobić. Ja też się na tym nie znam i nie wiem, jak to wykombinują, podejrzewam tylko, że na byle kogo padnie, a ten byle kto już się będzie opalał na plaży w Kalifornii. A oni swój zysk zabezpieczą.

— Może i tak. Ja im tej opinii nie dam. A naciskają, jakby się śpieszyli. Zdaje się, że napaskudziłaś im koło nogi całkiem niezłe...

— I z przyjemnością napaskudzę więcej...

Odwrociłam się, mściwie spojrzałam na obrus w holu i odczepiłam się wreszcie od telefonu. Osiągnęłam cel, znalazłam Libasza. Tyle mi to dało, że ostatecznie uwierzyłam we własny związek z aferą, owszem, to ja właśnie nie miałam nic lepszego do roboty, jak tylko rozdmuchać podejrzany biznes. Przedtem działał, sobie cichutko i kame-ralnie, dziennikarze ich nie tykali, każdy zapewne miał żonę i dzieci. Ja jedna ich ruszyłam, nie zdając sobie sprawy z rozmiaru i zasięgu świństwa, w rezultacie zabiłam Helenę Wystrasz i postrzeliłam księdza wikarego. Te upiorne głowy mają mi wyraźnie powiedzieć, że dosyć tego, teraz powinnam przyschnąć i zaniemieć...

A chała.

Pięć po jedenastej zadzwonił telefon. Pogratulowałam sobie, że nie zdążyłam wejść do wanny, wyłączenie potrwałoby dość długo.

— Cześć — powiedział ktoś. — Andrzej Boberski. Może mnie przypadkiem pamię-tasz?

Poczułam się dokładnie wstrząśnięta. Jak butelka z lekarstwem, wstrząsnąć przed użyciem. Wydałam z siebie dziki krzyk.

— Andrzej...! Jezus Mario! Jak to, przecież sam nie chciałeś...? Skąd dzwonisz?!

— Z Bostonu. Poniechaj okrzyków, ja zrobiłem się skąpy, a telefon kosztuje. Grzegorz mnie prosił, żebym powiedział ci wszystko o Renuciu bezpośrednio, niekiedy spełniam prośby przyjaciół. Słuchasz?

— Jak zwierzę w puszczy. Z wytężeniem.

— Ireneusz Libasz. Ugrzązł tu już dawno, bo miał krewnego, stryja ściśle biorąc. Innej rodziny nie było. Prosperował. Dwadzieścia lat temu przywiózł sobie z Francji Miziutka w charakterze ślubnej małżonki, co mnie dziwi, bo Miziutek był zamężny, ale nie wnikam w perturbacje matrymonialne. We właściwej chwili rozeszło się o intere-sach w byłych demoludach, Renuś na to poszedł, przeniósł się z powrotem za Atlantyck, podobno pod wpływem Miziutka. Ja bym się z nią nie ożenił za żadne skarby świata, z dwojga złego już prędzej z tobą, więc sama rozumiesz. Chociaż może wybrałbym stry-czek. Krótco po ich wyjeździe stryj, człowiek przyzwoity, umarł i Renuś, acz w tym mo-mencie nieobecny, to jednak odziedziczył około piętnastu milionów w tutejszej walucie i trzy firmy w średnim stanie. Mógł owocować z wysiłkiem lub też więdnąć w dobroby-cie, wybrał to pierwsze, niewątpliwie również pod wpływem Miziutka. Mienie podob-no zaczyna ostro dopływać, chociaż nie, źle mówię, słowo „podobno” można usunąć. Kontakty z ludźmi zostały zerwane, dla objęcia spadku przyjechał Miziutek z plenipo-tencją. Baby twierdzą, że ona ukrywa Renucia, żeby jej go nikt nie poderwał, bo nie wie-rzą w nagły zanik skłonności rozrywkowych. Z niechęcią to powtarzam i przez ostatnie

kilka godzin poświęcałem się wręcz nad siły, więc proszę więcej ode mnie nie wymagać. Nazwiska prawników i tak dalej przesłałem Grzegorzowi faxem. To wszystko. Teraz możesz coś powiedzieć.

Ciężko mi przyszło skorzystać z zezwolenia, ponieważ ogłuszyło mnie i odebrało mi mowę. Przemogłam się.

— Dziękuję, Andrzejku — powiedziałam ciepło. — Serdeczne ucałowania.

— Chyba pomyślę nad tym stryczkiem — odparł Andrzej jakby z lekkim zdziwieniem i wyłączył się.

Długą chwilę siedziałam nieruchomo, starając się odzyskać nieco równowagi. Boże jedyny, Andrzej znikł z horyzontu ćwierć wieku temu, lubiłam go bardzo i doskonale rozumiałam, chciał pracować jak człowiek, a nie jak przydeptane bydło. Jeszcze na studiach i we wspólnym biurze unikał mnie jak ognia, czemu trudno się dziwić, bo byłam wówczas agresywna i nietaktowna, Andrzeja zaś te cechy dziabaly ostrym sztyłem. Nie, nie leciałam na niego nigdy, lubiłam go jak człowieka, a nie jak mężczyznę, aczkolwiek wyglądem zewnętrznym w pełni zaspokajał moje poczucie estetyki. Miał jakieś trudne przypadłości w życiu prywatnym i odsunął się od znajomej ludzkości, ukrywając swój adres i numer telefonu między innymi przede mną. Fakt, że się teraz przełamał, wręcz mnie roztkliwił.

Z czułością popatrzyłam na głowę pod obrusem, uświadomiłam sobie, na co patrzę, i szarpnęło mną tak, że równowaga wróciła mi sama prawie w całości. Tylko po to, żeby za chwilę znów się zachwiać. Libasz...! Renuś...! Renuś Libasz...!!!. Jaki znowu Renuś, Ireneusz. Wszystko we mnie, z umysłem na czele, doznało wstrząsu potężnego.

\* \* \*

Interesy. Wielki biznes. Szlag ciężki żeby go trafił, jakieś coś, obce mojej duszy. Wielki kant.

Gdyby chociaż chodziło o zwyczajną giełdę! Początki giełdjarstwa były mi doskonale znane, dalszy ciąg już mniej, ale też miałam o nim pojęcie. Rozumiałam nawet machinacje oszukańcze, sztuczne hossy i bessy, gdybym była bogata, być może, sama umiałabym je powodować. To jednakże, co nastąpiło w moim ojczystym kraju, przekraczało możliwości jednostki mniej więcej normalnej, przynajmniej z punktu widzenia prawa i elementarnej ludzkiej uczciwości.

Kilka osób usiłowało mi wytłumaczyć, na czym polega działalność wykorzystująca luki prawne naszego kodeksu. Dawano mi także do zrozumienia, kto bierze łapówki i jaką korzyść dawca łapówek osiąga. Gdzieś w połowę wyjaśnień przestawałam słuchać, a jeśli nawet dźwięk wpadał mi w ucho, treść umykała uwadze. Pożałowałam tego teraz z całego serca.

Gdybym zdołała słuchać i rozumieć, tego całego cholernego Libasza miałabym obecnie w małym palcu. Nic z tego, słyszeć słyszałam, głuchota mnie nie dotknęła, ale opór szarych komórek, o ile została we mnie jeszcze bodaj z jedna, nie dał się zwalczyć. Pozostał instynkt, zgoła zwierzęcy, który wyraźnie mówił, że facet idzie podstępny przebojem... Zaraz, czy to nie sprzeczność, albo przebojem, albo podstępnie, a jednak nie, zgadza się, taki cichy taran. Nie warczy. Chce osiągnąć coś dużego...

Gdyby nie dotyczyło to koni bezpośrednio, zapewne nie zwróciłabym uwagi. Dotyczyło jednak, klepnęło, można powiedzieć, w lśniący zad, spętało te cudowne, sprężyste nogi, objawiło się na torze. Zdenerwowało mnie. Tylko dlatego uczepliłam się jawnych kantów, które przekraczały już ludzkie pojęcie...

Za skarby świata nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie i od kogo to słyszałam, może czytałam, może widziałam... Był jakiś konkurs rysunków dziecięcych, jedno dziecko narysowało most, widać było, że to most, dziecko miało zdolności rysunkowe. Po moście toczyło się coś, jakby kłęb kłaków. Na pytanie, co obrazek przedstawia, dziecko odpowiedziało: „Przechodzi ludzkie pojęcie”...

Kłęb kłaków tkwił mi przed oczami, zasłaniając wszechświat.

Do głowy mi nie przyszło, że, czepiając się zwyczajnych kantów wyścigowych, wtrącam się w wielki biznes. Delikatnie i stopniowo z mgły wyłonił się Libasz. Podobno mu zaszkodziłam, podobno zahaczyły o niego moje lekkomyślne awantury, podobno ktoś tam się przestraszył. Wielkie mecyje, przestraszeni powinni być wszyscy hochsztaplerzy, zbijanie forsy wymaga wysiłku i niekoniecznie tym wysiłkiem jest machanie łopata.

Ponownie, mając już nieco więcej danych, spróbowałam przestawić się na tę drugą stronę. Założmy, że to ja jestem utalentowanym aferzystą...

Wyciągnęłam z lodówki puszkę zimnego piwa, usiadłam w fotelu, zapaliłam papierosa i zagapiłam się w okno. Podstawę całej kołomyi stanowiła Helena Wystrasza. Robię wielkie kanty. Moja sprzątaczką, czy może gosposia, połapała się... Bzdura, gdzie ona się mogła połapać w tych skomplikowanych geszefach! Musiałam zrobić coś grubszego i prostsze, zabiłam kogoś, ona to wykryła, jakimś sposobem dała mi do zrozumienia, że wie o mojej zbrodni, stała się dla mnie niebezpieczna. Zdecydowałam się wobec tego też ją zamordować, ona zaś uciekła. Złapałam ją. Wyjawiała mi, że już zdążyła wplątać w ten cały pasztet następną osobę, osoba naraziła mi się wcześniej, nie mam pojęcia, ile wie, ale wolałabym jej zamknąć gębę. Też ją utłukę? Nie przesadzajmy, ile tych morderstw będę w końcu musiała popełnić?! Nie utłukę zatem, tylko przestraszę. Pozbędę się jej, narobię kłopotów, niech się zajmie sobą, a nie mną. Zaraz, co ta Helena napisała...? Wszystko wiem i coś mam, ale sama nie wie, co wiem. Wobec tego byłoby dobrze zabrać mi to coś, co mam, pytanie, gdzie to mam, bo jeśli w domu, noga musi stanowić przypadek, trzyma mnie w tym domu, zamiast z niego usunąć, zmiłuj się Panie, jedno kłóci się z drugim...

Zrezygnowałam z roli hochsztaplera, wyraźnie czując, że od konstruktywnego myślenia dostaję zwyczajnej kołowaczyny. Dałam spokój aferze i postanowiłam wrócić do niej jutro. Albo pojutrze. Albo kiedykolwiek, jak już przestanę być kompletnie ogłuszona i przywyknę do aktualnego stanu posiadania. Dotychczas użerałam się z jedną głową, własną, teraz mam dwie...

Na dobrą sprawę te dwie głowy stanowiły główną przyczynę mojego otumanienia...

\* \* \*

— Może nareszcie coś nam zacznie sprzyjać — powiedział Grzegorz nazajutrz przed południem. — Znalazłem doskok do tego waszego cudotwórcy. Mam jechać do niego i nakłonić go do przyjazdu. Tyle jeszcze przyzwoitości we mnie zostało, że będę się starał, dostałem na to trzy dni wolne i lecę pojutrze.

— I słusznie — pochwaliłam, bo w tych wszystkich rozmowach telefonicznych zdążyłam zamienić z ludźmi parę słów na tematy niewinne. — On jeździ i uzdrawia głów nie koronowane głowy. Zwykłych ludzi też leczy, podobno skutecznie, tyle że trudno się do niego dostać.

— Dobra, zostawmy go na razie, musimy się umówić. Byłoby chyba lepiej, żebym nie przychodził do ciebie, spotkajmy się tam, gdzie będę mieszkał. Willa mojego kumpla w Konstancinie, stoi pusta, bo kumpel z żoną jest akurat tu. Zjawimy się tam równocześnie, przylatuję o wpół do dwunastej, w tym Konstancinie mogę być...

— O wpół do pierwszej — odpowiedziałam.

— Niech będzie. Co ty na to?

Nie miałam zastrzeżeń.

— Tu się dużo wykryło — zauważyłam. — To rzeczywiście Renuś straszy mnie głowami, a poza tym podobno kombinuje z Nowakowskim...

— Z Nowakowskim? Czekaj, to była taka jawna szuja z UB, za plecami miał Sprzęgieła...

Zamilkł i przez chwilę myślał.

— Za dużo gadania na telefon — zdecydował wreszcie. — Wytrzymamy chyba do pojutrze? Zaraz, podam ci adres...

Odłożyłam słuchawkę i zastanowiłam się, co powinnam teraz zrobić. No jak to co, głowę oczywiście... Nie, to nie dziś, głowę jutro.

Prawie trudno mi było uwierzyć w przyjazd Grzegorza. Usiadłam na chwilę spokojnie, usiłując przystosować się jakoś do sytuacji, za dużo rozrywek gromadziło mi się na kupie, jeszcze nie przyszłam do siebie po informacji, że ten cały Libasz, któremu spaskudziłam interes, to właśnie Renuś. Interesu nadal nie rozumiałam kompletnie, ale potężne kanty w nim aż były w oczy, widział je każdy, tyle że nikt nie reagował, górna warstwa ochronna była nie do przebiccia. Mógł sobie Renuś robić, co chciał, tak samo jak

inni aferzyści, bezkarność miał zapewnioną. Czepianie się mnie stanowiło zatem idio-  
tyzm i musiało w nim tkwić coś więcej niż podejrzany biznes. Może Miziutek zwario-  
wał...? Tu Renuś z Miziutkiem, tu noga, tu dwie głowy, jedna na karku, a druga w holu,  
tu Grzegorz... Stanowczo wolałabym Grzegorza w spokojniejszej atmosferze!

Przebijał moje wszystkie próby myślenia. Nim byłam zajęta, a nie tą całą obłąkaną  
imprezą. Jakoś przecież powinnam wyglądać, do licha, no, jedno, co mi odpadło, to strój.  
Żadnych pończoch z pewnością nie włożę, prowadzić samochód w klapkach można  
tylko boso, na pończochach klapki się ślizgają, a jedyne obuwie dla parszywej nogi to  
właśnie te paryskie klapki. Wszystkie pozostałe pantofle urażały mnie akurat w złamane  
miejsce, czysty niefart, gdybym chociaż obcasy miała, Grzegorz lubił wysokie obcasy...

Oderwałam się od marzeń o wytwornym obuwiu, bo zadzwonił ksiądz proboszcz.

— Ksiądz wikary czuje się lepiej — powiedział. — Jutro będzie można z nim poroz-  
mawiać. Bardzo nieprzyjemna i skomplikowana sprawa, wahamy się obaj, ale może mo-  
głaby pani przyjechać?

— Niech szlag trafi moją nogę — odparłam bez wahania. — Poza wszystkim, uwa-  
żam, że mi się poprawia. Oczywiście, że przyjadę. O której?

— Tak na czwartą. Żeby pani nie musiała dużo chodzić, umówmy się przed szpita-  
lem. Wie pani, gdzie to jest?

— Wiem. Trafię.

— O czwartej godzinie będę na panią czekał przy wejściu. Tam jest miejsce do par-  
kowania i chodnik dosyć równy...

Pomyślałam, że ten proboszcz to wyjątkowo przyzwoity człowiek. O niczym nie za-  
pomniał, potrzeby mojej kretyńskiej nogi także wziął pod uwagę. Za skarby świata nie  
zrobię mu żadnego świństwa!

Odłożyłam słuchawkę, wzrokiem zahaczyłam o dekorację w holu i nagle podjęłam  
męską decyzję. Postanowiłam tę upiorną głowę wyrzucić do piwnicy. Nie zaraz, rzecz  
jasna, i nie osobiście, nie udźwignę jej i w żaden sposób nie zejdzę z nią po schodach,  
ale zaproszę kogoś silnego albo może namówię sąsiada. Nie będzie mnie tu straszyl ten  
koszmar!

Własną głowę zaplanowałam na jutrzejszy wieczór. Gdybym umyła ją wcześniej,  
przed wyjazdem do Grójca, mur beton zacząłby padać deszcz. Mój pech do włosów za-  
wierał w sobie także przeciwności atmosferyczne i prawie mogłabym sama regulować  
pogodę za pomocą zabiegów fryzjerskich. Miałam już pod tym względem ogromne do-  
świadczenie i nie żywiłam złudzeń.

Za pięć czwarta znalazłam się przed wejściem do grójeckiego szpitala. Ksiądz pro-  
boszcz już czekał.

— Ksiądz wikary przytomność odzyskał całkowicie już przedwczoraj — powiado-  
mił mnie w drodze na oddział — ale jednak, przeżywszy wstrząs, może zdradzić pewne  
nieopanowanie. Ze względu na osoby zagrożone... Obliguję panią, a mam wrażenie, że  
mogę pani zaufać, do umiaru. Pani przecież jest wierząca?

Zdaje się, że wzruszyłam ramionami, co niekoniecznie stanowiło grzeczność.

— No pewnie. Ateizm uważam za kretynstwo. Jedno, o czym jestem głęboko przekonana, to fakt inteligencji Pana Boga, który wszystko potrafi zrozumieć.

— Interesujący pogląd... — mruknął proboszcz.

Zatrzymałam się nagle.

— Wykładnikiem inteligencji jest, między innymi, poczucie humoru — powiedziałam stanowczo. — Jeżeli ksiądz chciałby twierdzić, że Pan Bóg nie ma poczucia humoru...

Proboszcz pociągnął mnie dalej i zaczął się śmiać.

— Możliwe, że pani sama mogłaby rozweselić Pana Boga. No nic, w tej atmosferze zapewne ksiądz wikary łatwiej zbierze myśli.

Ksiądz wikary w zbieraniu myśli nie miał już żadnych trudności, brakowało mu tylko sił fizycznych. Denerwował się jednak tak bardzo, że, zdaniem lekarzy, mogło mu to zaszkodzić bardziej niż odrobina wysiłku. Upierał się przy rozmowie.

— Rozważyłem — powiedział zdecydowanie, aczkolwiek głosem nieco słabym. — Moja świętej pamięci penitentka była świadkiem dziwnych wydarzeń, ale dopiero ostatnio zdała sobie sprawę, że chodziło o zabójstwo. Bała się o siebie, bo nie umiała ukryć swojej wiedzy. Czyniła nieudolne wysiłki. Sprawy jej ducha i sumienia pozostawmy Bogu, ja sam... wyciągnąłem własny wniosek. Człowiek, który zabił drugiego człowieka, żyje teraz pod jego nazwiskiem i nie zawaha się przed zabiciem każdego, kto mógłby to ujawnić. Możliwe, że pani posiada dowody...

Nieco mnie ksiądz oszołomił, ale usiłowałam myśleć.

— Nic o tym nie wiem — wyrwało mi się. — Jakie dowody, na litość boską?!

— Zapewne dokumenty. Przeszypca ostrzega panią. Chce panią uciszyć, nie zabijając, żeby nie wywołać zbytniego zamieszania. Tak ja to rozumiem. Pani za dużo wie. Drugą osobą zagrożoną jest przyjaciółka penitentki...

Przerwałam, żeby się ksiądz wikary niepotrzebnie nie męczył.

— Nie chcę księdzu przyczyniać zgryzoty, więc od razu powiem, że ta przyjaciółka imieniem Judyta uciekła i już jej chyba nic nie grozi. W ostatniej chwili ostrzegła mnie przez telefon.

— Dzięki Bogu!

— Ja zaś już teraz mnóstwo wiem... No, nie tyle wiem, ile zaczynam się domyślać. Nie mam, co prawda, bladego pojęcia, kto kogo zabił i dlaczego, ale afery istnieje, jedna z licznych. Fakt, sama ją rozgłosiłam, a od przedwczoraj znam nawet nazwisko aferyzisty...

— Może je pani wymienić?

— Ireneusz Libasz.

Ksiądz wikary nagle zamknął oczy i twarz mu znieruchomiała. Przestraszyłam się, ale zaraz uniósł powieki i obaj z proboszczem popatrzyli na siebie wzrokiem bez wyrazu. Milczeli. Tknęło mnie i zaczęłam coś węszyć.

— Mówić dalej?

— Tak. Bardzo proszę.

— Możliwe, że im trochę zaszkodziłam, ale chyba nie bardzo. Kretynstwem pełnym było ostrzegać mnie głowami, kto, na Boga, nie zareaguje w obliczu tru...

Omiał nie rąbnęłam „trupiego łba”, bo się trochę zdenerwowałam, sformułowanie może nie najszcześniejsze pod każdym względem. Ugryzłam się w język.

— Ludzkich szczątków — skorygowałam. — Z drugiej strony jednakże nie byli pewni, co ta Helena do mnie powiedziała i napisała, mieli nadzieję, że się przestraszę. Więc w zasadzie wszystko rozumiem, mnóstwo wiem i nic mi z tego.

Proboszcz z wikarym znów się porozumieli wzrokiem. Jakies sedno rzeczy w tej zbrodniczej imprezie musiało stanowe tajemnicę spowiedzi i nie mogli mi go wyjawić. Powinnam odgadnąć je sama.

Zaczęłam głośno myśleć.

— Renuś przez posty rąbnął stryja dla spadku — powiedziałam na chybił-trafił. — Albo pierwszego męża swojej żony. Nie pasuje to do niego. Kombinuje z byłym ubowcem, też dziwne, to jego chcą wykończyć, żeby ciągnąć zyski, bo on za głupi. Kochająca małżonka w pełni aprobuje... nie, niemożliwe, na Nowakowskiego polecieć nie mogła, są granice... Ktoś trzeci tam się płacze, a Nowakowski może robić za szantazystę...

Obaj księża słuchali z uwagą, nie zmieniając wyrazu twarzy. Nie zauważyłam nawet, że wymieniam imiona i nazwiska, które wcale nie musiały padać przy spowiedzi. Jakis błysk w samej głębi oka księdza wikarego powiedział mi, że jestem na dobrej drodze. Z pewnością ksiądz wikary z tego błysku nie zdawał sobie sprawy, bo opuściłby powieki. Zastanowiłam się.

— Wezmę to wszystko pod uwagę — obiecałam. — Pogadam z normalnymi ludźmi. Uciec, nigdzie nie ucieknę, bo nie mogę jeszcze chodzić po nierównym gruncie, ale zachowam ostrożność i wtrącanie się jawne nieco pohamuję. Zadzwonię do policji, może mnie zaczną pilnować, z nadzieją, że stanowią przynętę...

I równocześnie już zaczęłam planować na bieżąco. Zadzwonię, akurat, już się rozpedziłam, jutro przyjeżdża Grzegorz, tylko mi tego brakuje, żeby się za mną pętali. Za trzy dni owszem, po jego wyjeździe. No dobrze, mogę zakładać łańcuch u drzwi...

— Byłoby może wskazane, żeby pani pomyślała o troszeczkę dawniejszych czasach — podsunął zachęcająco ksiądz proboszcz. — I o tych jakichś dokumentach, o które jest pani podejrzana. Zdarza się, że czasem ktoś sam nie wie, co ma...

Obręczana czarna teczka... Zmiłuj się Panie, nie przystąpię teraz przecież do przeszukiwań piwnicy! Końskich sił do tego potrzeba i ze stu zdrowych nóg! Jeśli przypuszczenia, tak Grzegorza, jak i glin, są słuszne i rzeczywiście dostałam rykoszetem z broni palnej, złoczyńcy wiedzieli, co robią. Znaleźli na mnie niezły sposób.



— Ja już więcej nie mogę powiedzieć — oznajmił ksiądz wikary słabo i żałośnie.

— Sam chciałeś, synu — wytknął mu ksiądz proboszcz bardzo łagodnie. — Ale wystarczy, pani ma już o tym wszystkim jakieś pojęcie? Zdoła pani uniknąć nieszczęścia...

— A, właśnie! — przypomniałam sobie nagle. — Ta Judyta, przyjaciółka, powiedziała, że wysłała list do mnie. Może z niego dowiem się jeszcze więcej.

Wyglądało na to, że informacją o liście sprawiłam wikaremu ulgę niewymowną. Odetchnął głęboko i popatrzył na proboszcza, który też się wyraźnie ucieszył.

— Miejmy wielką nadzieję, że nie musiała w nim niczego ukrywać!

Podziękowałam księdzu wikaremu i zgodziłam się wyjść.

Wykluczwszy chwilowo kontakt z policją i nie przewidując już żadnych obowiązków na dziś, pozwoliłam sobie na pewien luz. Przerzuciłam się na doznania całkiem prywatne.

Moje myślenie z miejsca poszło dwutorowo. Jeden tor ściśle dotyczył Grzegorza, bo w rozmowach telefonicznych przeoczyłam drobnostkę, mianowicie komunikację. Czym on przyjedzie z tego lotniska? Mafią? Mafia ciągle tam stoi, miliony bierze za każdy kurs, zapomniałam go o tym uprzedzić. A nawet gdybym pamiętała, to i co z tego, autobusem przecież jechał nie będzie, a prawda, mogłam mu zamówić radio-taxi, sam sobie mógł zamówić. Teraz już za późno, nie zdołam się z nim porozumieć, ale może mu przyjdzie do głowy pożyczyć samochód, tam jest wypożyczalnia...

Drugi tor, rzecz jasna, rzucił mi się na głowę. Uczesanie...!!! Wreszcie należało potraktować sprawę poważnie, fryzjer czy kraa...? Dziś czy jutro rano...? Do dwunastej bym zdążyła, świeżutkie, prosto od krowy, fryzjerskie trzech dni nie wytrzyma, tylko ta noga cholerna... W paryskim hotelu było mi łatwiej, umywalka na odpowiedniej wysokości, u siebie zapewne wlecę głową do wanny. Niby można prysznicem, ale brakuje mi trzeciej ręki. Diabli nadali...

Znając życie, zdecydowałam się jednakże na dziś. Zależy mi specjalnie, zatem jutro rano może się na przykład okazać, że nie ma wody. Coś tam robią i zamknęli na trzy godziny, akurat te, decydujące dla mnie. U fryzjera będzie kolejka, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają i tak dalej. O nie, żadnych głupich lekkomyślności, tylko dziś!

Z serca pożałowałam pończoch, niechby już miał, skoro lubi. No tak, gdybym została jego żoną, garderoba zatrułaby mi życie... Ale może bym się zdołała przyzwyczaić, przyzwyczajenie jest drugą naturą, w końcu kiedyś bywałam elegancka nawet w najdziwszy upał. Jednak spróbuję kłapek na wysokim obcasie, sprawdzę od razu...

W obliczu takich problemów nic więcej już się we mnie nie mieściło. W nosie miałam Renuś, Miziutka, zbrodnie, afery, policję, cały ten konglomerat odsuwając w przyszłość. Niech mi teraz nie trują, zajęta jestem.

Dojechałam do domu, wysiadłam, weszłam na parter i ni z tego, ni z owego, zamiast iść dalej po schodach do góry, wyszłam na drugą stronę budynku.

Fryzjer znajdował się na zapleczu. Na tych pięciu parterowych schodkach przyszło mi na myśl, że mogę umyć ten piekielny czerep u fryzjera dzisiaj, a jutro rano tylko poprawić. Rozpylić Vittel w sprayu, wysuszyć na elektrycznej lokówce i lepiej się będzie trzymało, niż normalne uczesanie, a woda sobie może być albo nie być. Uniknę przy tym nocnych katuszy.

W ten sposób głowa uratowała mi życie, a co najmniej zdrowie.

Żadnego wybuchu nie usłyszałam, u fryzjera grało radio. Sąsiedzi również zachowali umiar, podzwonili do drzwi i powęszyli pod nimi, podejrzewając gaz, ale nic nie śmierdziało, więc dali spokój. Głupio, bo mogłam leżeć w środku nie dobita, nie leżałam jednak i byłam im później szczerze wdzięczna, że nie zdewastowali mi ani drzwi, ani zamka.

Nie czekali nawet na mnie na schodach, bez żadnych złych przeczuć zatem dotarłam do własnych drzwi, przekręciłam klucz, nacisnęłam klamkę i weszłam do holu, odruchowo przytkając kontaktem. Światło się nie zapaliło. Zdążyłam pomyśleć, że nawaliła żarówka, uczyniłam krok, włożyłam na coś lewą nogą, zakląłam bardzo porządnie i zniechęciłam się.

Nie było ciemno. Na zewnątrz jeszcze dzień biały, a wszystkie drzwi z holu miałam oszklone, padało przez nie światło dostateczne, żebym uświadomiła sobie, co widzę. Dość długo stałam, przyglądając się wnętrzu, i powolutku ogarniał mnie podziw.

Co w tym holu wybuchło, rzecz jasna nie miałam pojęcia. Pewno bomba. Raczej nieduża, bo nawet nie powyrywała drzwi z zawiasów i nie przeniosła impetu do innych pomieszczeń. Za to sam hol wyglądał dziwnie, kwadratowy był, różne szczątki upstrzyły go symetrycznie, głowa Heleny, w drobnych kawałkach, poniewierała się wszędzie, na jej fragment właśnie włożyłam. Wieszak częściowo zleciał, a częściowo wbił się w ścianę, okruchy rozbitego żyrandola dekorowały głównie podłogę, stolik i dwa krzesła nie nadawały się do żadnego użytku, chyba że do kominka. Ucieszyłam się, że nigdy nie trzymałam w holu na przykład telefonu, też by się rozleciał. Pod kuchennymi drzwiami ujrzałam poszarpaną parasolkę.

Najmniej ucierpiał obrus, wisiał na klamce drzwi do łazienki. Buty też prawie ocalały, stały w niskiej szafce, połamane drzwiczki szafki wpadły do wnętrza i zdemolowały nieco tylko jedną parę, pozostałe poprzewracały się i ugniotły, ale bez wielkiej szkody dla zdrowia. Za to w strzępy poszła stara, nieprzemakalna kurtka z ortalionu, która i tak już wyglądała okropnie, ale wciąż mi było szkoda wyrzucić ją definitywnie. Teraz wreszcie mogłam pozbyć się jej z czystym sumieniem. Dostrzegłam w tej ruinie elementy pocieszające.

Przestałam podziwiać widoki, odnalazłam miękkie ranne pantofle, każdy w innym miejscu, prawie nie uszkodzone, wytrząsnęłam z nich tynk, zmieniłam obuwie i udałam się na zwiedzanie reszty pomieszczeń. Poza drobinami szkła, które poleciało najdalej, nie ujrzałam w nich nic ciekawego, eksplozja nie miała wielkich ambicji, poprzestała na dewastacji holu.

Ktoś zadzwonił do drzwi, uchyliłam je, nie otwierając szeroko. Okazało się, że sąsiad. Wyraził niepokój i zaciekawienie, coś chyba u mnie wybuchło, wszyscy słyszeli, co to było?

— Kineskop — odparłam smutnie, bo prawdy mówić nie zamierzałam, a żadnego innego łgarstwa nie zdążyłam wymyślić. — I to w dodatku nie mój, znajomy zostawił, żeby z nim nie latać po mieście. Był chyba uszkodzony. Miałam zamiar wynieść go do piwnicy, ale ciągle zapomniałam, może to i lepiej.

— Do piwnicy! — podchwycił sąsiad z rozgoryczeniem. — Jak to, jeszcze się pani nie włamali?

— Gdzie? Do piwnicy? Kto?!

— Nie wiem. Złodzieje chyba? Do mnie się włamali już dwa razy. Raz, muszę przyznać, nawet dość kulturalnie, ale drugi raz na chama. Ja tam zrobiłem sobie warsztat, nic nie ukradli, to mnie dziwi, za to poprzewracali wszystko. Jak trąba powietrzna, jakby ktoś czegoś szukał w ataku furii. Bili się czy co?

Zainteresowałam się z uprzejmości.

— Dawno to było?

— A skąd! Parę tygodni...

Złożyłam mu wyrazy współczucia. Co do mojej piwnicy, mogli się tam włamać nawet dwadzieścia razy, nie miałabym o tym pojęcia. Jeszcze raz zapewniłam, że nic wielkiego się nie stało, i sąsiad poszedł. Postanowiłam trochę pomyśleć. Zrobiłam herbatę i usiadłam w kuchni.

Gliny. W pierwszej kolejności powinnam ich zawiadomić. Żywa jestem, drzwi mam zamknięte, mogą uznać, że nikt ich nie goni, i zamówić się na jutro. Nie wyjdę z tego ulgowo, zatrują mi albo nawet uniemożliwią spotkanie z Grzegorzem, jeszcze czego...! Gdybym była ministrem, wicepremierem, prezesem spółki akcyjnej, właścicielem banku czy też innym przestępcą na wysokim szczeblu, albo chociażby tym parszywym Renusiem, mogłabym liczyć na duże względy. Dom niechby nawet cały wyleciał w powietrze, ja bym swobodnie pojechała na polowanie do Białowieży, ale jako zwyczajna jednostka, nic z tego, zostanę przyduszona. Gdybym miała pewność, że przyjadą dzisiaj, od razu...

Nad glinami postanowiłam jeszcze się zastanowić.

Jak to się mogło stać...? Podrzucili mi chyba coś, sama tego nie przyniosłam, ostatnio unikam dźwigania ciężarów. Drzwi otworzyli wytrychem, żadna sztuka, nie ma na świecie takiego zamka, którego porządny fachowiec nie otworzy. I co dalej? Nie zgadnę, nie znam się na bombach, tyle wiem na ten temat, ile na filmach widywałam, a jeśli nawet oprócz tego jeszcze trochę, do niczego mi się to chwilowo nie przydaje.

Zgniewało mnie nagle. Dlaczego ja mam się z tym szarpać umyślowo, od czego jest policja?! W mgnieniu oka wymyśliłam dla nich argument, jutro rano przyjdzie moja sprzątaczką i nie strzyma, żeby natychmiast nie zrobić porządku, a oni lubią wszak

miejsca przestępstwa ludzką ręką nie tknięte. Że ja nie tknęłam i nie tknę, to pewne, i charakter mnie od tego odrzuca, i noga, mają zatem rzadką okazję, byle szybko. Na jutro wykombinuję sobie wizytę u ortopedy, nie, u kardiologa, na serce umarłam, ujrzawszy mój hol. Mogło mi przecież coś takiego zaszkodzić...?

Kapitana Borkowskiego złapałam od pierwszego kopa.

— Zaraz u pani będziemy — zdecydował energicznie. — Proszę niczego nie ruszać!

Już się rozpędziłam...

W pół godziny później siedziałam z nim w pokoju, a ekipie trzeszczało pod nogami cały mój tynk, wymieszany z miałem szklanym. Kapitan symulował opanowanie, był jednakże zdenerwowany. Na razie jeszcze nie wiedziałam dlaczego, ale przyczyna rychło wyszła na jaw.

Nie krępując się specjalnie moją obecnością, ekspert od tych rzeczy zakomunikował nam suchym głosem, że ładunek wybuchowy znajdował się w gipsie. Zdetonowany został zdalacznym. Nie zabiłby mnie, nawet gdybym znajdowała się w środku, chyba że jakimś zupełnie wyjątkowym przypadkiem: Siła wybuchu tak została obliczona, żeby mnie tylko poraniło rzetelnie, niekoniecznie na śmierć. Zapewne miało to brzmieć pocieszająco.

Kapitan, acz glina, posiadał cechy ludzkie, nie wytrzymał, wyrwało mu się.

— W tej cholernej głowie — powiedział, tak jakby przez zaciśnięte zęby, widać mu było skurcz mięśni na policzkach. — Nie daruję sobie... Należało ją zabrać. Jak to się mogło stać, zaraz, niech pomyśle...

Prawie zgadłam już sama, ale czekałam, co powie.

— Od przyniesienia tej głowy jak często wychodziła pani z domu? — spytał po chwili, już całkiem opanowany.

— Wcale. Dopiero dzisiaj.

— No tak. To już rozumiem.

— Ja też...

Uzgodniliśmy poglądy. Oczywiście, gdybym chciała załatwić pojedynczą osobę ściśle wyliczoną eksplozją, najlepiej dokonać tego w zamkniętej przestrzeni, możliwie pustej. W pokojach mogą przeszkodzić rozmaite meble, osoba akurat utkwi w łazience albo w jakim kącie, a w moim holu wieszak, szafeczka, stolik, dwa krzesła i głowa Heleny pod obrusem. Nawet lustro nie było, dopiero zamierzałam kupić tremo z półeczką, dobrze, że nie zdążyłam.

— Pewność, że znajdzie się pani w przedpokoju, można mieć tylko w chwili pani powrotu do domu — rzekł kapitan stanowczo. — Zatem, wyczekali takiej chwili...

— Jasne. Musieli mnie pilnować, skąd inaczej mieli wiedzieć, kiedy wrócę, a nie o parasolkę im przecież chodziło, musieli widzieć, jak wysiadłam i weszłam do bramy, wyli-

czyli sobie, jak długo będę szła po schodach, zaraz, kawałki schodów widać z zewnątrz przez okno, wchodzącą osobę widać również, no, nie w całości, fragmentami, ale jeśli nikt nie wchodzi, schody są puste... A otóż wcale nie były puste!

Przypomniałam sobie nagle. W chwili kiedy zdecydowałam się na tego fryzjera, od drugiej strony weszła do bramy sąsiadka z ciężkimi torbami i to ona wchodziła po schodach, a nie ja! Z ciężarami nie leciała galopem po trzy stopnie, tempem bezwiednie przystosowała się do mnie. Myśleli, że ja. Wyliczyli, kiedy dotrę do mieszkania, ona moje mieszkanie oczywiście ominęła i poszła wyżej, przyjęli jeszcze jakiś czas na gmeranie kluczem w zamku, na zamknięcie drzwi, po czym zdetonowali ładunek. Gdybym nie poszła do tego fryzjera, tylko od razu wróciła do domu, teraz leżałabym w miejscu znacznie mniej sympatycznym niż mój salon, pomijając to, że w salonie nie leżę. Kostnica albo co najmniej szpital. Co za świństwo mi robią, Renuś z Miziutkiem!

— Ciekawe, skąd ten upór? — mruknął kapitan.

— Zasadniczą korzyść widzę w tym, że pozbyłam się drugiej głowy — powiadomiłam go jadownicę. — Mam nadzieję, że nie podrzucą mi trzeciej.

— Trzecią zabierzemy do siebie, nie popełnię drugi raz tego samego błędu. Muszę panią przeprosić, chyba zlekceważyłem sprawę i jest to moja wina. Jak zareagowali sąsiedzi?

— Łagodnie i bez hysterii — odparłam i zniechęta, dopiero w tym momencie, uprzytomniłam sobie, co sąsiad do mnie mówił.

Sugestie księdza proboszcza i słowa sąsiada zbiegły mi się razem do tego stopnia, że nie zdołałam się powstrzymać. Słowa wybiegły ze mnie razem z błyskami w umyśle.

— O rany boskie, przecież ja się z nim zamieniłam na piwnice! Moja jest jego, a jego moja! Do niego się włamywali! To miało być do mnie.

— Niech pani to powie jakoś porządnie — poprosił kapitan z wielkim naciskiem.

Zdenerwowałam się i chyba przejęłam. Nie wybierałam się dzisiaj już nigdzie. Wstałam z fotela, pokulałam do kuchni, przyniosłam różne napoje, w tym ten koniak cholerny, którego właściwie nigdy nie lubiłam, ale który dobrze robił na różne stresy. Poza tym, musiałam pohamować spontaniczne gadanie, bo nie byłam pewna, czy chcę wyjawić wszystko.

O piwnicy zdecydowałam się powiedzieć.

— Od razu na samym początku zamieniliśmy się piwnicami. Jego była większa i bez okna, moja mniejsza, ale za to z oknem. On, ten sąsiad, chciał sobie tam zrobić warsztat hobbystyczny, lubi dłużyć, na oknie mu zależało. Mnie nie, za to przydała mi się przestrzeń. Czatował na mnie z propozycją, zgodziłam się chętnie, dokonaliśmy zamiany w praktyce, ale nie przyszło nam do głowy, żeby pozmienić także numery. W ten sposób jego piwnica ma numer mojego mieszkania i odwrotnie. Nikt o tym nie wie, bo co kogo obchodzi. Jeśli wymyślili sobie włamanie do mojej piwnicy, rzecz jasna, on ucierpiał...

— A do pani piwnicy, uważa pani, że po co się chcieli włamać?  
— Po obręczaną, starą, czarną, plastikową teczkę — wyznałam smętnie.  
No i teraz już, chciał nie chciał, musiałam powiedzieć mu więcej...

\* \* \*

W okolicy końca muru wyścigowego dotarło do mnie w pełni, że znów jadę na spotkanie z mężczyzną życia.

Teraz wyglądało to już trochę inaczej. Wiedziałam, jak spojrzymy na siebie wzajemnie, pozbyłam się niektórych obaw, wróciły mi za to uczucia z dawnych lat. Były przyjemne i mocno zbliżone do upojenia.

Dopadłam go wreszcie po długim czasie, czy może on mnie dopadł, ganc pomada, dopadliśmy się wzajemnie. Istniała pomiędzy nami odległość, ale istniał także kontakt, pojawił się na nowo, trwał przez te wszystkie lata. Miałam go znów zobaczyć z bliska, dotknąć nawet, podzielić się całością doznań, coś tam znów mieliśmy wspólne, czort bierz, niechby nawet przestępstwo i tego parszywego Renusia. Miziutek, rozdzieliwszy nas niegdyś, teraz łączył ściśle w poglądach na siebie. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że Grzegorz też chętnie by jej zrobił coś złego.

Przy dużej dozie uporu moglibyśmy się jeszcze skojarzyć. Wykluczone! Jego praca, moja praca, musielibyśmy się jej wyrzec, a co najmniej utrudnić straszliwie. Stanowiła jakąś najważniejszą część nas, równie dobrze moglibyśmy umrzeć od razu. Gdzie sens, gdzie logika, nie o to przecież chodziło. Gdyby ta jego żona... No nie, głupio tańczyć polkę na czyimś grobie, nawet nie miałam chęci źle jej życzyć. Na jej miejscu zrobiłabym to samo, kazałabym mu odczepić się ode mnie na wieki wieków. Kazała. Odczepił się. I co jej z tego przyszło? Nie ma żadnego sensu walczyć z przeznaczeniem...

Wyjechałam z domu nieco wcześniej, bo zamierzałam zgubić obstawę w razie gdyby kapitan postanowił mnie pilnować. Ogólnie nie miałam nic przeciwko towarzystwu, ale przecież nie w tej chwili! Nie sprowadzę Grzegorzowi na kark całej warszawskiej policji, nawet jej drobna część, to też byłby niepożądany nadmiar.

Uciec obstawie można albo na licznych, źle widocznych skrzyżowaniach, rozwidle- niach i zakrętach, albo w potężnym tłoku. Trasa do Piaseczna niczym takim nie dysponuje. Wykonałam zatem jedyny dostępny mi numer, wysoce naganny, mianowicie trzy razy przejechałam na czerwonym świetle, tuż przed nosem tych w poprzek. Nikt za mną nie mógł już tego powtórzyć, nie powodując katastrofy. Nikt też mnie nie naśladował, nie złapała mnie drogówka i w rezultacie nikt za mną nie jechał, a nie byłam w końcu przestępcą do tego stopnia groźnym, żeby marnować na mnie więcej niż dwa samochody. W ogóle najwyżej jeden. Na wszelki wypadek jednakże skręciłam do serwisu toyoty, gdzie stało zatrzymanie pojazdów takich samych jak mój, i odczekałam dziesięć minut. Nikt za mną nie skręcił, nikt się nie zatrzymał, nikt nie udawał, że jedzie na Mysiadło. Znaczący, miałam spokój.

Znacznie później dowiedziałam się, że już przy tym pierwszym czerwonym świetle przestali mnie lubić i rozważali nawet ewentualność odebrania mi prawa jazdy, potem jednak machnęli ręką i czyhały już na mnie tylko radiowozy w Piasecznie. Nie dotarłam do nich.

Dojechałam na miejsce przed czasem i znalazłam podany mi przez Grzegorza adres. Grzegorz nadjechał po kwadransie. Dobrze zgadłam, pożyczył samochód na lotnisku.

Przez ten kwadrans czekanie na niego wypełniło mnie już całkowicie i zdążyłam nawet dokonać licznych porównań. Boże mój, ileż razy w życiu tak się czekało na mężczyznę i jak różne były te czekania! W napięciu, w niepokoju, w błogiej pewności, w dzikich nerwach, w zaciętej furii, w nieprzytomnej panice, że coś mu się stało, że śmiertelną urazą i wśród rozszalałych podejrzeń, w obawie, że się samej nie zdąży zrobić twarzy, spojrzeć w lustro, z niechęcią, niechby wcale nie przyszedł, na diabła mi to spotkanie, nie mam czasu na głupoty, we łzach i rozpacz, a jak rzadko, jak okropnie rzadko w szczęściu niczym nie zmąconym...

Niekiedy należało nie czekać wcale. Miałam takiego, który spóźniał się specjalnie przeciwko mnie i z satysfakcją czyhał na awanturę. Zamiast w udręce zaciskać zęby i ze szkodliwym dla zdrowia wysiłkiem symulować opanowanie, trzeba było w ogóle oddalić się z umówionego miejsca, nawet gdyby wiązało się to z uciążliwym opuszczeniem własnego domu, nawet w nocy...! Mignęło mi w głowie, że w tamtych czasach nie było to łatwe, dokąd, u licha, miała pójść nocą samotna kobieta, jeśli nie chciała straszyc rodziny, znajomych i przyjaciół...? Na dworzec Główny...? Teraz byłoby łatwiej, można iść do byle którego kasyna i jeszcze mieć dodatkową rozrywkę...

Różnie mi przychodzili i różnie się spóźniali. Wszystkie kobiety świata doskonale wiedzą, ile kosztuje, po paru godzinach szaleństwa, powitać takiego cholernika radosnym uśmiechem i czułymi słowami: „Jak to dobrze, kochanie, że już jesteś!” Jak trudno jest zrobić słuszną awanturę, jeśli przedtem oczyma duszy widziało się jego zwłoki w kostnicy, a co gorsza, skąd można zdobyć pewność, że awantura jest słuszną...? Krzyż pański i skrzypce.

Tego wszystkiego, tajemniczym sposobem, Grzegorz mi zaoszczędził. Jak to w ogóle było możliwe? Zakłopsowany w żonie, w obliczu rozmaitych trudności życiowych, pogrążony w ukochanej pracy, może i spóźniał się czasem, ale jakoś inaczej. Nigdy nie czekałam na niego wśród koszmarnych doznań, jeśli w ogóle czekałam, to z przyjemnością. Co to było, fluidy...? Z wiatrem leciały...? Co to właściwie jest, te fluidy, przecież nie plazma, wyłażąca z gęby medium, a, może telepatia...? Bez znaczenia, istotne było to, że mogłam na niego nawet czekać, tak jak teraz...

Przekręciłam lusterko, z uwagą obejrzałam uczesanie i właśnie Grzegorz nadjechał.

Bramę otworzyć umiał, obydwójce wjechaliśmy do środka, na trawiasty parking. Na wdzięczne przejście po nieidealnie równym terenie ku alejce, na szczęście niezbyt daleko, cztery kroki, wykorzystałam chwilę, kiedy mocował się z licznymi kluczami do drzwi.

— Uprzedzili mnie, że górny zamek się zacina — powiedział melancholijne w moją stronę, nie oglądając się. — Mieli rację. Bardzo cię przepraszam.

— Nie szkodzi — odparłam szczerze. — Mili ludzie.

Zważywszy iż zdążyłam pograć się we wspomnieniach, jego widok wydał mi się nagle nierealny. Jeszcze w Paryżu pół biedy, mógł istnieć naprawdę, ale tu...? Przez wszystkie minione lata tyle razy wyobrażałam go sobie, wymyślałam spotkanie, cholerne tango Noturno brzęczało mi w uszach, tyle razy traciłam wszelkie nadzieje i popadałam w rzewny smutek, że teraz ni z tego, ni z owego przestałam wierzyć własnym oczom. Podeszłam bliżej akurat, jak otworzył drzwi.

— Czy pozwolisz, że cię pomagam? — spytałam, zanim zdążyłam pomyśleć, co mówię.

— I wzajemnie — odparł natychmiast.

No tak. Zupełnie jak w dawnych czasach. Miejmy z głowy najważniejsze, żeby spokojnie zająć się czymś innym. Zdaje się, że nawet tych drzwi porządnie nie zamknął...

Grzegorz oglądał nieco później barek z napojami, a mój umysł, niegdyś zadziwiająco chłonny i wielofunkcyjny, co mu z czasem przeszło, jakby nagle odmłodniał. Swobodnie ruszył w dwie strony równocześnie, jedna tkwiła w terażniejszości, druga znów stanowiła gąszcz porównań. Mój pierwszy mąż na pomocanie zgodziłby się chętnie, kiedy jeszcze mnie kochał, potem zaprotestowałby ponuro i wzniosie. Drugi przez przekorę powiedziałby „nie” i wywołał duże piekło, trzeci zaczęłby dociekać przyczyn tak niezwyklej chęci, po czym naukowo udowadniałby mi szkodliwość spontanicznych odruchów. Gdzie ci mężczyźni mają jakiś rozum i po cholerę oni mi w ogóle byli...? A, prawda, nie miałam Grzegorza...

— Tu podobno gdzieś blisko jest niezła knajpa — powiedział Grzegorz. — Później skoczmy na obiad, a teraz co pijemy?

— Coś bardzo łagodnego. Mamy do omówienia skomplikowane sprawy i będzie nam potrzebna pełna sprawność intelektu.

— Powiem ci szczerze, tylko fakt, że ty w tym tkwisz, pozwala mi wdać się w to dziwne bagno bez wielkiego stresu. Siedź, mnie działają obie nogi...

Przy maksymalnie delikatnym trunku, białym winie w dwóch trzecich dopełnionym wodą mineralną, przekazałam mu wszystkie zdobyte informacje, zarazem precyzując rozmaite wnioski. Największe wątpliwości budził sam Renuś jako taki, bo niechęć do mnie, po utrudnieniu im biznesu, mogłam łatwo zrozumieć, myśl o tajemniczych papierach również wydawała się uzasadniona, chęć wyciszenia Heleny świeciła własnym światłem, osoba Renucia jednakże nie pasowała do tego wszystkiego. Znać go, co prawda, nie znałam, ale obito mi się o uszy, że do roli porządnego hochsztaplera i aferzysty nadawał się jak zdechła koza do złoconej karety. Może i był zakamieniałym zbrodniarzem, co umknęło powszechnej uwadze i wszelkim plotkom, a może zmienił mu się charakter, niemniej błysk w oku księdza wikarego...



— Otóż powiem ci, że coś mi z nim nie gra zgoła przeraźliwie — kontynuowałam sprawozdanie. — Rozumiem, że kombinuje z Nowakowskim, co zapewne ma swój wpływ, ale znowu Nowakowski takim orłem nigdy nie był. Zwykła wesz. Zaczynam nabierać przekonania, że to nie on kogoś zabił, tylko jego zabito, rozumiesz, jak z tym zegarkiem. Ale czy ja wiem, a może Renuś jest po prostu ofiarą Miziutka? Ona bystra dziewczyna, czego z twarzy nie widać...

— Na mnie kolej — przerwał Grzegorz. — Majątek zapłacę za rozmowy telefoniczne, które udało mi się odbyć. Po kolei. Stryj odpada, Renuś go nie trzasnął, bo go już nie było. Od chwili kiedy wyruszył z powrotem do Polski po trzydziestu latach, nikt go na oczy nie widział. Między kontynentami krążył tylko Miziutek, z upoważnieniem na wszystko. Na Renusia nadział się tu raz jeden kumpel z dawnych czasów, chyba go nie znałaś, Władzio Jagiełko niejaki...

— Znałam. Władzio był dystrakt.

— Ale z Renusem studiował. W jednej grupie. Twierdzi, że rozpoznał go z łatwością, bo Renuś wrócił do dawnej twarzy, na nowo zapuścił uwłosienie na pysku. Charakterologicznie natomiast zmienił się bardzo, kiedyś był gadatliwy, teraz przeciwnie, kiedyś sympatyczny, teraz odpychający i tak dalej. Miziutek bez zmian, jeśli nie liczyć nadgryzienia zębem czasu. Z dawnych znajomych nie kontaktują się z nikim, jakby ich nie było. I teraz powiem ci, nawet ryzykując, że robię z siebie idiotę, że wcale nie jestem pewien, czy Renuś to jest naprawdę Renuś.

Ucieszyłam się, że powiedział to pierwszy.

— A otóż właśnie taka myśl załęgła się we mnie obok łóżka księdza wikarego. Złoczyńcą jest Ireneusz Libasz, ja to wymyśliłam, a księża zamienili się w kamień. Nie jest. To nie on. Znaczy, jakby co, idiotyzm uprawiamy wspólnie.

— Chętnie pouprawiam wspólnie z tobą także wszystko inne. Za chwilę. Nie rozumiem tej całej draki z papierami, jakie papiery i o co tu chodzi? Masz cokolwiek...?

Westchnęłam.

— Nic nie mam. To znaczy owszem, papierów jako takich mam chyba więcej niż w składnicy makulatury, ale tajemnicy w nich nie uświadczysz. Natomiast nie mogę ręczyć za piwnicę. Wyznam ci, może nawet z satysfakcją, że ten eks-mój półgłówek gubił wszystko, a poufne dokumenty gromadził maniacko. Miał doskok, zdobywał i z rąk mu leciało. Nie zliczę, ile razy jego święty notes poniewierał się u mnie pod kanapą, miałam obowiązek pilnować, na schody za nim wylatywałam, bo coś zostało przy telefonie, a już pieniądze to była zgryzota śmiertelna. Godzinami potrafił się gmatwać, czy on mnie jest winien dwadzieścia złotych, czy ja jemu, a może to nie dwadzieścia, tylko dwieście czterdzieści, a w ogóle sto złotych gdzieś mu zginęło, a jak mu to odebrałam, żeby się odczepił od problemów, obraził się śmiertelnie...

— Co ty w nim, na litość boską, w ogóle widziałaś?!

— Miał swoje zalety. Chociaż, czy ja wiem, te zalety też mi jakoś wychodziły wadliwie. Wyobraź sobie, chcesz swojego mężczyznę...

— Nie chcę — powiedział Grzegorz bardzo stanowczo.

— No dobrze, chcesz swoją kobietę mieć do pogadania, do łóżka. A ona ci twardo stoi przy zlewie i brzęka naczyńiami, każdy talerz myje tak, jakby od tego wasze życie zależało...

— Zabiorę jej ten talerz i wywlokę ją z kuchni.

— Może. Ale ona nie ma metra osiemdziesięciu wzrostu i barów jak u zapaśnika. Starczy ci siły, żeby ją zawlec nawet do tego łóżka i popchnąć nieco. A wyobraź sobie, że z tymi metrami i barami stoi jak ten słup na środku pokoju i pchaj teraz taki pomnik. Zmywał, sam z siebie, dobrowolnie, a we mnie cierpło. No, ciężary nosił swobodnie... I piękny był po wierzchu. I przesadnie czysty. Nie śmierdział.

— Czekaj, wróćmy może lepiej do kryminału, bo coś mi się robi. Już chyba wolę zbrodnię.

— Ja też. Reasumując, diabli wiedzą, jakie jego szpargały mogły się u mnie zaplątać, ale chyba rychło wyjdzie to na jaw, bo powiedziałam glinom o zamianie piwnic i nawet dałam im moje klucze. Może właśnie teraz odwalają robotę, a zapewniam cię, że wesoło im nie jest.

— A co ty tam właściwie trzymasz?

— Ja nie trzymam, to jest. Dębowa dwucalówka cztery metry długości, płyta pilśniowa twarda laminowana, trzy metry kwadratowe, drabina malarska, całkiem nowy zagłówek tapicerski z rozbitego statku pasażerskiego chyba, morze wyrzuciło na plażę, potworna ilość butelek, części karoserii samochodowej, mnóstwo drewna meblowego i opałowego, książki, których nikt nigdy nie czyta, resztki kredensu z mojej dawnej kuchni, stary piecyk gazowy zepsuty, rura z kolankiem, dwa koła od roweru, tyle pamiętam, a co więcej, to już nie wiem, ale tego więcej jest znacznie więcej. Może z ciekawości ich zapytam, co znaleźli, ale boję się, że nie będą chcieli ze mną rozmawiać. A, jeszcze ze trzy skrzynki na ryby, takie plastikowe, też z morza...

Grzegorz opanował atak śmiechu i przyrządził drugi, równie łagodny koktajlik.

— Czekaj, nie skończyłem jeszcze relacji. Pozwalam sobie na daleko idące skojarzenia, biegają mi skokami, a między nimi widzę głębokie luki. W tej rozrzutności telefonicznej znalazła się Hania, dopadłem jej, siedzi, jak wiesz, w Kanadzie...

Można powiedzieć, zastrzygłam uszami. Hania była niegdyś najlepszą przyjaciółką Miziutka, piknęło mnie tajemnicze przecucie.

— ...roztkliwiła się i rozgadała obłądnie — kontynuował Grzegorz. — Na pierwsze słowo o Rensiu rzuciły się na nią wspomnienia. Aktualnego nie było w tym nic, za to dowiedziałem się, że Miziutek przeżył wielką miłość, która mu złamała serce, amant ją rzucił, ale jej nie przeszło i cierpi całe życie. Za mąż wyszła z rozpacz, Rensia zaś dostrzegła, bo podobny był do niewiernego. Zdaniem Hani, poślubiła go jako namiastkę...

— I kiedy to było? — przerwałam z niesmakiem. — Za moich czasów żadne cierpienia z niej nie były, a do starości dosyć dużo nam brakowało.

— Miała podobno siedemnaście lat.

— A, to może. Poznałyśmy się, jak już miała osiemnaście.

— Zauważ, że sama mi przypomniałaś o tej scenie przed lustrem w kawami. Renuś i jakiś drugi, podobny. Bez komentarzy na razie. Renuś, mówisz, kombinuje z Nowakowskim, otóż może o tym nie wiesz, ale Nowakowski stanowił niejako warstwę wierzchnią, jawną, za plecami miał Sprzęgieła. Sprzęgieł robił swoje świństwa jako tajemnicza twarz, nigdy osobiście, zawsze przez posły. Mnie niszczył przeważnie Nowakowskim, dlatego ugruntowało się mniemanie, że to Nowakowski świni, a ja wołałam nie demontować z hukiem. Ze Sprzęgiełem rozmawiałem ze dwa razy przez telefon, niechętnie te konwersacje wspominam, a na własne oczy w życiu go nie widziałem.

— I nawet nie wiesz, jak wygląda?

— Pojęcia nie mam. Chyba sama rozumiesz, że nie rwałam się do oglądania wrednej mordy? Podejrzewam, że jedyną osobą, która z pewnością zna go z aparycji bardzo dokładnie, jest Halina. Nie sądzę, żeby ją pieprzył wyłącznie w ciemnościach.

— I siedział w MSW — wtrąciłam w zadumie. — O ile wiem, oni sobie nie wybierali panienek jak popadnie, musieli się ograniczać do takich specjalnie przydzielanych. No owszem, eks-twoja Halusia miała prawo budzić wielkie namiętności...

Grzegorz spojrział na mnie z niedowierzaniem i wzruszył ramionami.

— W duchy wierzysz? Namiętnościom nie przeczę, tym bardziej, jaki normalny facet nie potrafi wyskoczyć z przepisów? Musiał trąbić na rynku, że za Halusią lata?

— A jednak przyjaciółki wiedziały. Co najmniej jedna.

— Z donosem do UB nie poleciała. Może Halusia była jedynym wypaczeniem Sprzęgieła. Słuchaj, czy musimy akurat to rozważyć? Sprzęgieł stanowi w tej chwili tylko jedno ogniwo z łańcucha moich skojarzeń. Na wszelki wypadek chciałbym wiedzieć, co się z nim dzieje obecnie?

— Tego ci powiedzieć nie potrafię. Ale może doszłabym jakoś drogą zmudnych dociekań i znęcania się nad ludźmi.

— Spróbuj.

— A pewnie, że spróbuję. Też mnie to ciekawi.

— Wracając do baranów... Skąd właściwie ty w tej imprezie?

Skupiłam się i postarałam powtórzyć wszystko, co od początku głądziłam do niego nieco chaotycznie. Nie musiał w końcu pamiętać każdego mojego słowa, szczególnie w sytuacji nietypowo skomplikowanej.

— Z dwóch źródeł. Jedno oficjalne, mówiłam ci, w prasie spaskudziłam im parszywy biznes, nie wiedząc wcale, o kim piszę. Kontynuują, zatem spaskudziłam bardzo mierznie, ale mogą się obawiać dalszego ciągu. Może ktoś tam z tej całej odgórnjej sitwy wy-

straszył się i zaczął stwarzać trudności, co podwyższyło koszty. Były kontrole, mogły nieco nabrudzić, należało zamknąć mi gębę. Drugie źródło, chyba raczej prywatne, to ta cholerna Helena, świeć Panie nad jej duszą. Ciągłe słyszę gadanie o zbrodni, wiąże się ściśle z Renusem i Miziutkiem, a Helena, na moje oko, weszła w komitewę z tym eks-moim, może wysnuła własne wnioski, kłapnęła gębą i wystawiła mnie na strzał. Tak to widzę. Papiery... Papiery mogą przybrać rozmałą postać, na przykład zdjęcie, na którym Renuś podrzyna komuś gardło, albo odwrotnie, a to zdjęcie, ich zdaniem, powinienam trzymać przy piersi. Sypiam na nim. Leży u mnie w piwnicy. A może zeznanie, podpisane przez wiarygodnych świadków. W każdym razie ja to mam i coś z tym fantem muszą zrobić. Możliwość jest zatręsenie, chociażby takie coś, facet z kliki chce się zwinąć z majątkiem, ktoś tam nabrał podejrzeń, utrudni mu przez zwykłą zawiść, ktoś coś odgadł i wystartował z szantażem. Do interesów nadaję się jak szafa gdańska do roweru.

— Sprzęgieł ma za sobą wesołe wydarzenia — mruknął Grzegorz z lekką irytacją.  
— O ile wiem, rąbnął ze trzy osoby w ramach obowiązków służbowych. Jak one były służbowe, to ja jestem kardynał.

— Może by warto dociec...?

— Nie rozśmieszaj mnie. Coś tu się działo dużego z aktami MSW i UB...? Kto to odnajdzie? A w ogóle oszalałaś chyba, masz zamiar wdawać się w takie rzeczy?! Mam cię przemocą wywlec z tego kraju i ulokować we Francji? W zamknięciu? Nie wygłupiaj się, nie mam jeszcze zamku z wieżą i lochami!

— Jeśli już, to raczej na wieży — poprosiłam z roztargnieniem — W lochach źle się czuję. Czekaj, to może być właśnie to. Mam na myśli dokumenty, mogą sobie głupio wyobrazić, że ten eks-mój dopadł czegoś tam z tych zniszczonych czy ukrytych rzeczy... Zaraz, ale to by dotyczyło ewentualnie Sprzęgieła, bo Nowakowski nie zdradza objawów nerwicy, co ma Sprzęgieł do Renuśa z Miziutkiem?! A, może biznes... Ty masz rację, trzeba znaleźć Sprzęgieła!

— Jeżeli z moich subtelnych rozważań wysnułaś taki wniosek... — powiedział Grzegorz ze zgrozą.

— No jak to, sam mówiłeś przed chwilą...

— Miałem na myśli dyplomatyczne uzyskanie wiedzy. Gdyby w grę miały wchodzić czyny energiczne, wolałbym raczej spotkać się z Renuśem, najlepiej przypadkowo. Szczerze mówiąc, żywiłem taki zamiar. Nie wiesz przypadkiem, gdzie oni mieszkają?

Wypiłam resztę szprycera i poczułam, że zaczynam być głodna.

— Zdaje się, że na terenie wyścigów — wyjawiałam ponuro. — Jego ukochana centrala spółki tam się mieści, co jest dla mnie osobiście źródłem zgryzoty. Ale znów z drugiej strony, było gadanie o dużym ogrodzie na peryferiach miasta, więc do reszty przedstawę cokolwiek rozumieć. Nikt stajni i roboczego toru nie określi mianem ogrodu, coś tu... Zaraz!

Mignęło mi wspomnienie, mgliste i przywalone pokładami niechęci i braku zainteresowania. Zaczęłam w nim grzebać, ale Grzegorz mi przeszkodził, bo też myślał twórczo.

— Co oni właściwie robią, w tej jego firmie? Jak jej tam, Rebus...?

— REBAS. Zdaje się, że wszystko. Handel samochodami, import, handel końmi, aukcje, licytacje, wykupują atrakcyjne tereny dla przyszłego podziału na działki budowlane, własne banki, jakieś spółki akcyjne, kasyna, hazard w ogóle...

— Burdele też mają?

— Jeśli tak, to nieoficjalnie, o tym akurat nic nie wiem. Ale możliwe. Chcą wykupić wyścigi na własność prywatną. Czekaj, poza wszystkim, muszą być gdzieś zameldowani, gliny powinny wiedzieć gdzie, znać adres Libasza. Zapytam ich wieczorem, jak wrócę do domu.

— Można wiedzieć, po jaką cholere chcesz wracać do domu?

Zamurowało mnie nagle. Rzeczywiście, po jaką cholere miałabym wracać do domu...?

Cała afera z Renusiem w roli głównej znikła, jakby jej wcale nie było. Z trzaskiem oddzieliła ją ode mnie żelazna kurtyna. Na palcach jednej ręki mogłabym policzyć pełne doby które udało mi się spędzić z Grzegorzem, teraz, cudownym zrzędzeniem losu, miałam szansę co najmniej na dwie, a może nawet trzy, nie byłam w stanie na oczekaniu ocenić, ile to wypadnie. Kretynka skończona, nie pomyślałam o tym wcześniej, nie przygotowałam się, nie nastawiłam, nie zabrałam ze sobą podstawowych rzeczy! No, szcztokę do zębów można kupić byle gdzie...

— Nie jestem pewna, czy pani tego domu zostawiła elementarne kosmetyki — powiedziałam z wahaniem.

— Nie uwierzę, że nie masz przy sobie przedmiotów zasadniczych. Każda kobieta nosi to w torebce.

Każda kobieta może, ale nie ja. Puder mi wyszedł i zapomniałam dosypać, do oczu nie miałam niczego, perfumy mi zostały i grzebień. O mleczku kosmetycznym nie było co marzyć, uczesanie może do jutra wytrzymać... W jednym błysku postanowiłam nie przyznawać mu się do zaniedbań, zarazem wybuchł we mnie chaos myślowy. Do jakiego wieku można się prezentować mężczyźnie o poranku, prosto ze snu, bez żadnych zabiegów?! Do końca życia, jeśli jest to stały mąż, z właściwą mężczyznom tępotą nie dostrzegający powolnych zmian, do trzydziestego roku może partnerowi sporadycznemu. No, miałam szczęście, mogłam dłużej, ale teraz...? Jeszcze twarz, jak twarz, niech będzie, że zostawię makijaż, nawet nieco rozmazany bardzo mi nie szkodzi, ale te włosy cholerne...!

Gwałtownie, zgoła eksplozywnie, przypomniała mi się jedna facetka, przyjaciółka mojej ciotki, bliska pięćdziesiątka. Twarz miała niczym róży kwiat, cerę brzoskwińową, oczy przepastne, wiadomo było, że to makijaż, ale jaki! Istne чудо! Nikt jej nig-

dy nie widział au naturel, do tego stopnia, że sypiając w towarzystwie, w jakichś wyjątkowych okolicznościach, w ogóle nie myła twarzy. Kosmetyki musiała mieć znakomite, bo wstawała równie piękna, jak się kładła, leciała do łazienki i tam, w zamknięciu, na nowo odwaliała całą robotę, moja ciotka wyznała mi kiedyś, że nawet po dwutygodniowych wczasach, spędzonych we wspólnym pokoju, nie ma pojęcia, jak jej przyjaciółka naprawdę wygląda. No tak, ale włosów ta baba miała obfitość i same jej się doskonale układały... A mnie...?

Szlag jasny żeby trafił tę cholerną głowę... Całe moje myślenie trwało ułamek sekundy. Zdecydowałam się zaryzykować.

— Rzecz w tym, że nie mam przy sobie numerów telefonów — wyznałam słabo.  
— Nigdzie nie zadzwonię i niczego się nie dowiemy...

— A ty naprawdę myślisz, że mnie ten brak wiedzy spędzi sen z oczu? A jeśli ma spędzić tobie, postaram się jakoś na to zaradzić.

— Grzesiu, kto jak kto, ale ty pojęcie o kobietach posiadasz. Jak ci się wydaje, co też ujrzysz jutro przy swoim boku...?

Grzegorz przyglądał mi się przez chwilę.

— Ciebie — powiedział miękko. — Nie przychodzi ci do głowy taka prosta myśl, że nie składasz się dla mnie tylko z powłoki zewnętrznej...?

\* \* \*

Owszem, podjechaliśmy do konstancińskiej knajpy na obiad, który właściwie był już kolacją. Przedtem, wyzbyta rozterki prywatno-osobistej, rozgrzebałam zmurszałe pokłady niechęci do tematu i dokopałam się wspomnienia.

W dawnych czasach, kiedy jeszcze przyjaźń pomiędzy mną i Miziutkiem nie ujawniła swojego prawdziwego oblicza, pojechałam z tą żoną do jej posiadłości. Podróż nie była daleka, zaledwie do Placówki, na skraju Wólki Węglowej, a rozciągały się tam wówczas prawie bezludne plenery. Posiadłość Miziutek odziedziczył po przodkach. Oglądałam straszliwie zapuszczony, gęsto zadrzewiony ogród i wielką, drewnianą ruinę, w której ktoś mieszkał, rozżalona zaś Mizia skarżyła mi się na niefart. Niby to ma, ale nic jej z tego, nawet tych lokatorów nie zdoła wyrzucić, bo musiałyby im kupić mieszkania, a budowała się sypie i lada dzień przestanie się nadawać do wszelkiego remontu. W dodatku była zobligowana zapłacić podatek spadkowy, Miziutek, nie budowała. Narzekała tak, jakby co najmniej własną ręką musiała podpierać dach i wydłubywać ze ścian korniki, konając przy tym z głodu i nędzy.

Skojarzenie przyszło samo, duży ogród, o którym napomykała Helena. Być może nieco później, wzbogaciwszy się na Renusiu, Miziutek pozbył się lokatorów i uporządkował dziedzictwo. Zamieszkali tam, to było wysoce prawdopodobne.

— Mogła, oczywiście, odremontować i sprzedać — mówiłam do Grzegorza już w knajpie przy posiłku. — Ale ona niegłupia, a to jest niezła lokata kapitału. Co szkodzi potrzymać dla siebie, szczególnie jeśli ma się jakieś zapasy. A miała chyba?

— Renuś miał z pewnością. Adresu nie pamiętasz?

— Nigdy go nie znałam. Dużo mnie obchodziło, przy jakiej ulicy ten jej spadek się mieści. Co ja mówię, w ogóle nie było ulicy, jechało się taką drogą po kocich łbach. Teraz tam jest chyba zupełnie co innego.

— Moglibyśmy sprawdzić. Z bioterapeutą jestem umówiony na piątą, przedtem zdążymy tam pojechać...

Dość niemrawo rozważaliśmy kwestię miejsca zamieszkania Renuś z Miziutkiem, kiedy nagle coś się we mnie jakby odblokowało. Przyczyn po temu nie było żadnych, znieca zupelnie znikło zaćmienie umysłowe i pamięć strzeliła iskrami.

— Czekaj, Grzesiu — powiedziałam gwałtownie, chociaż Grzegorz akurat milczał.

— Ksiądz wikary powiedział takie słowa: „Człowiek, który zabił drugiego człowieka, żyje teraz pod jego nazwiskiem”. Była to jego prywatna dedukcja, jak mogłam zapamiętać, w ogóle nie pojmuję, ale musi to oznaczać coś ważnego.

— Taki wniosek wyciągnął po spowiedzi tej baby?

— Na to patrzy. Wniosek może być błędny, ona mogła nagadać głupot...

Grzegorz dolał nam wina, które świetnie pasowało do frymuśnych befsztyków, i odstawił butelkę.

— W każdym razie godne zastanowienia — rzekł z namysłem. — Jeśli grono podejrzanych mamy ograniczone, który z nich...? Majaczy mi się Sprzęgieł, Nowakowski, jak rozumiem, egzystuje jako Nowakowski, Renuś jako Renuś...

— Gdyby Renuś miał zastąpić ktoś inny, sądzę, że pierwszą osobą, która stwierdziłaby ten fakt, jest jego własna żona. Miziutek. Powinna chyba znać go nieźle?

— Dlatego dopuszczam, że w grę wchodzi osoba postronna, nie z jednego Renuś świat się składa, afery miewają szersze tło osobowe. Ktoś kogoś rąbnął, tkwi w interesie, założmy, że jest ważny, Renuś wie o zbrodni i też mu zależy na ukryciu mistyfikacji. Powiedzmy, że ujawnienie rozwaliliby im cały biznes. Coraz bardziej chcę się zetknąć z Renuś osobiście!

— Cholera z tymi telefonami — powiedziałam z irytacją. — Powinnam była zabrać notes, nosić go w ogóle przy sobie, ale primo, mało chodzę, a secundo, on duży i niewygodny. No nic, jutro też będzie dzień...

Wyszliśmy w końcu z tej knajpy. W chwili, kiedy wsiadałam do samochodu Grzegorza, podjechał i zaparkował inny wóz. Wsiadły z niego trzy osoby, jedna baba i dwóch facetów, ruszyli ku wejściu do restauracji. Widziałam ich dokładnie.

— Rany boskie! — wydyszałam. — Popatrz! Nie, nie patrz! Patrz...!

Grzegorz właśnie siadał za kierownicą. Mimo nader ograniczonego słownictwa, jakim się posługiwałam, zrozumiał, co mówię. Wychylił się i obejrzał dyskretnie.

Do knajpy wchodziło jakichś dwóch z Miziutkiem. Poznałabym ją na końcu świata i w czasie burzy piaskowej. Widziałam także dalszy ciąg, część holu z lustrem.

Jedno, co o Miziutku wiedziałam na pewno, to to, że umiała zrobić twarz. Nie należała do kobiet, które w rozmaitych szatniach rzucają się do zwierciadła i gorączkowo poprawiają urodę, była pewna swego, wystarczyło jej przelotne spojrzenie. Roześmiana i radosna od razu weszła w głąb wraz ze swoją asystą.

Grzegorz wahał się przez chwilę.

— Zaraz ich pójde obejrzeć. Któryś z tych palantów był brodaty...?

— Był. Jeden. O ile istnieje we mnie cień pamięci wzrokowej, powinien to być Renuś!

— Czekaj, muszę się zastanowić. Osoba wchodząca zawsze zwraca uwagę. Nie chcę, żeby mnie rozpoznali. Dobra, niech będzie, że minęło dwadzieścia lat, a nawet w tamtych czasach więcej ja ich widywałem, niż oni mnie, nie budziłem sensacji, a oni byli specjalnie pokazywani...

— Poza tym, mogliby się ciebie spodziewać w Paryżu, a nie w Konstancinie — podsunęłam. — Najwyżej mignie im, że jakiś podobny...

— Dobra, idę. Odczekam, aż kelner ich zajmie.

Czekałam, nie wiadomo dlaczego okropnie przejęta.

W końcu ten cały Libasz-aferzysta, nawet razem z małżonką, nie stanowił widoku, od którego mógłby się świat zawalić. Mnóstwo ludzi bez wątpienia widywało ich codziennie, razem i oddzielnie. Ani na twarzach, ani na plecach żadnych napisów nie mieli i z oglądania nic nie wynikało. Pożałowałam z całego serca, że nie kazałam Grzegorzowi obejrzeć z detalami tego trzeciego.

Wrócił po chwili, która, wedle moich odczuć, trwała jakieś dwa lata. Przez te dwa lata zdążyłam pomyśleć, że wszystko się zgadza, podobno Miziutka z Renuśkiem można było spotkać w co lepszych knajpach, ta tutaj prezentowała poziom wysoki, to jedno, a drugie, on rzeczywiście ma ulubioną siedzibę na wyścigach, ze Służewca do Konstancina bliżej niż na Żoliborz, przyjechali na kolację, przywoząc interesanta. Albo wyjątkowo eleganckiego goryla. Nowakowskim ten trzeci nie był, Nowakowskiego pamiętałam ogólnie, wpatrywałam się w niego przez dwie służbowe podróże, rysy twarzy dawno już mi się zatarły, schudnąć mógł, ale nie urósł o dziesięć centymetrów i nie wyprodukował sobie rzymskiego nosa. I wystających kości policzkowych, dół gęby można wypchać, z górą trudniej... Możliwe zatem, że ten trzeci... Nie wymyśliłam, do czego mógłby służyć ten trzeci, bo wrócił Grzegorz.

— Otóż waham się — oznajmił, wsiadając. — Może to być Renuś, ale nie musi. Wołałbym zobaczyć go bez tego uwłosienia na pysku, zarost bardzo myli, zarost jest Renuśowy, reszta gęby też pasuje, ale może pamiętasz, mówiłem ci, w Paryżu egzystował ogolony. Sam się zdziwiłem różnicą, bez brody i wąsów inna twarz. Poza tym jest w nim coś, czego nigdy nie było, może jakiś wyraz tej widocznej części, może zachowanie, może sam się zasugerowałam, ale dla mnie to jest facet podobny do Renuśa i tyle. Pewności żadnej nie mam.



Zanim zdążyłam się odezwać, przeleciało mi przez głowę, że wobec tego Libasza należy złapać, unieruchomić i ogolić przemocą. Wynająć w tym celu bandziorów, ucieszą się chyba, otrzymując szmal za tak łagodne zlecenie, z wykluczeniem mokrej roboty.

— Zatem co? — spytałam żywo. — Renuś czy nie Renuś...?

— Musiałbym z nim pogadać. Nie podoba mi się to.

Oparłam się wygodnie, Grzegorz zaś powoli ruszył.

— Stał ten Renuś przed lustrem z drugim takim samym — wspomniałam w zadumie. — Może ten tutaj to jest właśnie ten drugi taki sam? Plotki też mogą być mylące, Miziutek odnalazł amanta z młodości, może wykorzystuje podobieństwo i nikt nie wie, z kim ją widzi, z mężem czy z gachem, może ona go podstawia niekiedy dla załatwienia interesów, bo Renuś za miękki...

— Jest w tym pewien sens — przyznał Grzegorz. — Teraz, jak go już nie widzę, coraz bardziej wydaje mi się, że to jednak nie Renuś. Obraz znikł, pozostało wrażenie. Gównu mnie to wszystko razem obchodzi, z Miziutkiem niech sypia lama tybetański, ale z jednej strony wolałbym dokonać jakichś rozstrzygnięć ze względu na ciebie, a z drugiej podstawienie stołka Miziutkowi sprawa mi wyraźną przyjemność. Czekał, wymyśliłem. Jeśli to jest prawdziwy Renuś, mogę się z nim spotkać zwyczajnie przypadkiem, jestem tu chwilowo w celu, którego nie muszę ukrywać, lekarz dla żony. Zamienić parę zdań, cześć, jak się masz, co tu robisz, żadnej szkody z tego nie będzie. Jeśli to jest ten drugi, to on mnie w ogóle nie zna i mało ważne, co do niego powiem. Nawet nic nie powiem, popatrzę i posłucham.

— W takim razie dom i praca. Co nam szkodzi podjechać.

— Dobra, jutro. Chyba to jednak nie jest Renuś...

\* \* \*

Własny dom nastęcał mi problemów i komplikował życie. Z jednej strony chciałam się w nim znaleźć bodaj na chwilę ze względu na rozmaite artykuły pierwszej potrzeby, z drugiej bałam się panicznie, że dopadnie mnie uciążliwa siła wyższa w postaci, na przykład, policji. Diabli wiedzą, co znaleźli w mojej piwnicy. Ciekawiło mnie to, owszem, nie do tego stopnia jednak, żeby dla piwnicy poświęcać Grzegorza.

Sprawę przesądził zapowiedziany list od Judyty Chmielewskiej. Powinien był już dojść i należało go przeczytać.

Poszukiwanie Libasza mieliśmy z głowy. Objechawszy parę razy dookoła Wólkę Węglową z przyległościami, odnalazłam wreszcie dziedzictwo Miziutka, co wcale nie było łatwe. Na ugorach wyrosło miasto, brukowana kocimi łbami droga przeistoczyła się zapewne w którąś ulicę, cmentarz zajął duży kawałek terenu, wskazówek udzieliła wreszcie zielen. Musiały tam rosnać wysokie drzewa, bo ścinanie drzew, nawet własnych, napotyka u nas na trudności nie do przewyciężenia, Miziutek zaś musiałby upaść na głowę, żeby chcieć je usunąć. Wszystko co prawda poszło w górę, ale ogromna, stara kępa jednak się wyróżniała.

Reszta pasowała również. Posiadłość ogrodzono wysokim murem, przez pręty ażurowej bramy widać było fragmenty eleganckiej willi, a wjazdu pilnował goryl, ucharakteryzowany na ciecia, umiał mówić. Na pytanie o pana Libasza udzielił informacji, że państwa nie ma w domu.

Pojechaliśmy zatem do miejsca pracy Renusia i tam Grzegorzowi udało się obejrzeć szefa. Utwierdził się w poglądach.

— Bzdura — powiedział stanowczo. — To nie jest Renuś, podobny, owszem, ale to nie on. Miziutek mi tu śmierdzi pod niebo. Chciałbym wiedzieć, co robi ta cała wasza policja, śledcza praca nie stanowi mojego powołania i uprawiać jej nie będę, nawet z tobą. Z tobą wolę robić co innego.

— Policja zapewne nie wie, że Renuś to nie Renuś, bo nikt im tego nie powiedział — zauważyłam grzecznie. — Dopiero zamierzam udzielić im tej radosnej informacji. Ogólnie wiedzą zapewne więcej niż my, chociaż może na inny temat. Myślisz, że jednak...?

— Już nie myślę, jestem pewien. Renusia trzasnęli. Pasuje mi tu ta historia z księdzem, facet wykorzystał podobieństwo, podszył się pod niego, po trzydziestu latach wszystkim mógł się wydawać trochę zmieniony. Rozpoznać by go mogli w Stanach, dlatego do Stanów jeździł Miziutek. Podejrzewam, że ona była sprężyną afery.

Błysnęło mi.

— No to mnie z kolei pasuje ten dawny amant, co ją puścił w trąbę, do Renusia podobny, czy tam odwrotnie, Renuś podobny do niego. Kto to mógł być? Hania nie wie?

— Nie wie. Nie pamięta. Wie tylko, że był to straszny dramat i tak jej chodziło po głowie, że może gość okazał się przestępcą. Miziutek się zakochał w Kubie Rozpruwaczu.

— I do tego jeszcze ten Kuba wystawił ją do wiatru. Co za cholera z tymi głupimi dziewczynami, nie pamiętają najważniejszych rzeczy i ja teraz muszę robić z siebie kretynkę...

— Dlaczego ty? Podrzucić to zgniłe jajo glinom. Nie teraz, bo szkoda czasu. Za dwa dni.

Z tym poglądem zgodziłam się w pełni. List od Judyty jednakże nas korcił, wykorzystałam zatem wizytę Grzegorza u bioterapeuty i odwiedziłam własny dom.

Na sekretarce zastałam nagraną uprzejmą prośbę kapitana Borkowskiego, żeby skontaktować się z nim jak najszybciej. Prośba pochodziła z dzisiejszego poranka, rozsądny człowiek, podał datę i godzinę. Telefonu z domu wolałam nie ryzykować, w razie czego nie zdążyłabym uciec, postanowiłam zadzwonić z Konstancina, bez żadnej litości dla rachunków telefonicznych kumpla Grzegorza.

Chwilowe oddalenie się od mężczyzny życia nie wywarło na mój umysł pozytywnego wpływu. List od Judyty wyjęłam ze skrzynki wchodząc do domu i nawet go nie otworzyłam. Ręce mi się trzęsły z przejęcia, kiedy grzebałam w kosmetykach, zasadniczej

troski przyczyniała głowa, rozpaczliwie usiłowałam utrwalić uczesanie. Próbowałam myśleć, nie o zbrodniach, rzecz jasna, tylko o sobie. Czy ten stan zaćmienia utrzymałby się we mnie przy jego boku już na zawsze...? Niegdyś tak nie było, pozostawałam mniej więcej normalna, teraz zgłupiałam doszczętnie. Może to kwestia czasu? Tyle go mamy, co kot napłakał, nie zmarnować ani chwili, wykorzystać każdą minutę, jutro wyjedzie i cześć. Czy on w ogóle ze mną wytrzyma w tej zbrodniczo-śledczej atmosferze?

Na myśl, jak spędzam ogólnie to spotkanie po latach, sama do siebie zachichotałam nerwowo. Upuściłam zakrętkę do włosów, włożyłam na nią i natychmiast noga przypomniała o sobie. No tak, ani pójść dokądkolwiek, ani tańczyć, pień nieruchawy, a nie kobieta, ależ mi się to wszystko ułożyło...! Kłątwa, jak Boga kocham, nic innego, tylko jakaś cholerna kłątwa...

Zarazem wiedziałam doskonale, że po jego odejździe natychmiast wrócę do śledczych emocji. Dla odmiany istne błogosławieństwo. Po utracie mężczyzny nic gorszego, niż usiąść w kącie i płakać, te wszystkie baby, którym chłop się oddalił, a one łkają w samotności, to zwyczajne idiotki. A zająć się czymś, nie łaska? No, nie przepierką, nie zmywaniem, niczym w ogóle obrzydliwym, przeciwnie, przyjemnym, ulubionym maniaczkiem, namiętnością...

Mignęło mi nagle wspomnienie jakiejś jednej letniej niedzieli. Jakoś tak wychodziło, że spędzimy ją razem, tymczasem Grzegorz miał coś jeszcze i opuścił mnie wczesnym popołudniem. Przez chwilę stałam na balkonie i patrzyłam za nim ze ściśniętym sercem, a potem dźgnęło mnie ostrogą. Wypadłam z domu i pojechałam na wyścigi, doskonale mi to zrobiło...

Antidotum na brak mężczyzny... Wszystkie te antidota zwały się nagle na mnie tak, że przestałam kręcić włosy. Zamiast własnej twarzy ujrzałam w lustrze najrozmaitsze sceny, wcale do żadnej twarzy niepodobne. Zostawił mnie głupi chłop samą w karnawałową sobotę, przygnębienie trwało dwie sekundy, w trzeciej zachłannie i ze szczęściem w duszy wwaliałam do miski znaczki do odklejania, bo filatelistyka stanowiła moje rozżarte hobby. Zostałam bez podleca, nieszczęśliwa i wściekła, pięć minut nie minęło, jak usiadłam do pisania i sama siebie rozśmieszyłam bez granic. Poszedł precz upragniony osobnik, nie musiałam się długo zastanawiać, zrobiłam sobie nieopisanie skomplikowaną, a co dziwniejsze skuteczną, maseczkę kosmetyczną. Nie zliczę, ile razy, uszczęśliwiona natychmiast po ugięciu się pod ciosem, jechałam na wyścigi. Porzucona na całą sobotę i niedzielę, z miejsca leciałam grać w pokera. W gruncie rzeczy najlepsze są rozrywki naganne...

Otrzeźwił mnie telefon. Przezornie nie podniosłam słuchawki, czekałam, co będzie.

— Domyślam się, dlaczego nie podnosisz słuchawki, ale chyba jesteś? — powiedział Grzegorz przez sekretarkę i rzuciłam się na aparat zachłannie.

— Jestem, jestem. A pewnie, już mi się tu gliny nagrały, bałam się, że znów...

— To ja też już jestem. Przyjeżdżaj.

— Zaraz jadę...

Znów mi się ręce zaczęły trząść, zgarnęłam wybrane przedmioty w foliową torbę, dwoma ruchami rozczesałam włosy i już mnie nie było. Korespondencję od Judyty wtknęłam do torebki od razu po wyjęciu ze skrzynki listowej i całe szczęście, bo inaczej z pewnością bym o niej zapomniała.

— Jak załatwiłeś? — spytałam, wysiadając z samochodu.

— Pozytywnie. Facet zgodził się przyjechać w przyszłym tygodniu. Mógłbym wracać już dzisiaj, ale, chwalić Boga, zabukowany jestem na jutro, a w okresie urlopowym o miejsce niełatwo. Dostałaś list?

Z triumfem wyciągnęłam z torebki kopertę. Grzegorz ją obejrzał.;

— Jak to, nie przeczytałaś od razu...?

— Pomyślałam, że miło nam będzie mieć tę frajdę równocześnie.

No, jeżeli cokolwiek w ogóle na ten temat pomyślałam... Ale odpowiedź przyszła mi sama i w gruncie rzeczy była prawdziwa. Miło nam było mieć wszystko równocześnie...

— Pozwól, że ci złożę wyrazy podziwu. — powiedział Grzegorz z galanterią, otwierając przede mną drzwi. — Nie znam kobiety, która by wytrzymała.

— Należą mi się większe wyrazy podziwu — odparłam ponuro. — Każda normalna kobieta dokonałaby jakichś zakupów spożywczych, mnie to do głowy nie przyszło, teraz dopiero... Rychło w czas.

— Nie wygłupiaj się, czytamy list, bo jestem ciekaw.

List od owej Judyty brzmiał następująco:

„Szanowna Pani! Świętej pamięci Helena Wystrasz to była moja koleżanka, od dziecka, jeszcze ze szkoły. Myśmy były w przyjaźni i ona mi wszystko mówiła, a nikomu innemu. We mnie jak w studnię i nic bym nie powiedziała, ale ona się bała o panią, więc piszę. Ona sprzątała u tych ludzi, na stałe była, z tym że najpierw z samą panią, jak już dom był gotów, tak ze dwa tygodnie, a pan miał przyjechać podobnie z Ameryki. Raz było tak, że miała wolne i zamierowała pojechać do rodziny, pani myślała, że już poszła, a ona ledwo wyszła za kuchenne drzwi i zaraz na schodkach stłukła sobie kolano. Aż się rozkrwawiło. Więc wróciła i zrobiła sobie opatrunek i tak trochę czekała, że ją może przestanie boleć, bo do autobusu miała kawałek drogi. I zobaczyła, że jak raz pan przyjechał, więc się zdziwiła bo to jakoś za wcześnie, ale nic sobie nie myślała. Tylko jedną walizkę miał, nawet nie dużą. Pani go witała jak męża, a Helena go dobrze widziała. I tyle.

A potem na drugi dzień, jak wróciła od rodziny, pokazało się, że pana wcale jeszcze nie ma, znaczy to był ktoś inny, ale nic nie mówiła, bo nie jej rzecz i co ją obchodzi. I zaraz w dwa dni pan faktycznie przyjechał, a bagażu miał dużo, nawet mu człowiek

nosić pomagał, Helena aż się zdziwiła, bo podobny był strasznie do tamtego pierwszego, ale trochę inny. A w ogóle to znów nikt nie wiedział, że Helena jest w domu, bo pani jej dała wolne aż do wieczora i ona nawet przyszła do mnie, ale mnie nie było, więc wróciła. I siedziała w ogrodzie. Państwo zaraz odjechali pani samochodem, a pan tak jakoś obchodził ten samochód dookoła i głową kręcił i faktycznie, wtedy dopiero Helena uwagę zwróciła, że to był inny samochód, niż pani wczoraj miała, bo tamten był biały, a ten szary. No i jak wieczorem wrócili, to po pierwsze samochód znów był biały, a po drugie pan to był znowuż tamten, co pierwszy przyszedł. A tak się złożyło, że Helena jeszcze raz przyszła do mnie, a mnie ciągle nie było i jak wracała, to państwo widzieli, że wraca, więc pani pewnie myślała, że jej nie było cały czas.

No i wtenczas właśnie Helena przyszła do mnie zaraz na drugi dzień i powiedziała mi to wszystko, bo nic zrozumieć nie mogła. Jeszcze mówiła, że może jej się w oczach dwoi, bo dwa samochody i dwóch panów, a wszystko do siebie podobne i już całkiem nie wie, który to ten pan z Ameryki. Ale co to nas obchodziło, niech będzie, który chce, pani rzecz i sama chyba wie, kogo ma za męża.

Tak było najspierw parę lat temu. Potem nic nie było, tylko pan wielkie interesy robił, a pani do Ameryki co i raz to wyjeżdżała. Tyle że jakieś kłopoty mieli, pani zenerwowana chodziła i raz Helena przypadkiem podpatrzyła i podsłuchiwała, że w papierach szukali i fałszowali jakiś podpis. I pani próbowała, i pan i jakby wzór mieli, i z gadania wynikało, że fałszują. Helena ciekawa była i tak dla siebie lubiła wszystko wiedzieć, no to potem już podsłuchiwała specjalnie. Wyszło jej, że pan bał się jakiegoś człowieka i raz tak jakoś gadali, że wyszło, gdzie ten człowiek mieszka, i ona zgadła, kto to jest. Ona tego człowieka znała, bo drzwi w drzwi z nim mieszkali jedni znajomi i ona tam nawet pomieszkiwała, zanim jeszcze do tej swojej pani przyszła, a to też dawne czasy, bo jeszcze matka Heleny u matki tej pani gotowała przed wojną, ale to nie ma o czym gadać. Ten człowiek to był taki, co w dawniejszych czasach w UB siedział, czy gdzieś tam, ale porządny jak rzadko i Helena dla niego w ogień by poszła. On różne papiery zbierał, żeby mieć, jak to mówią, haka na takich różnych swołoczy. Na pana też coś miał.

Nareszcie Helena podsłuchiwała, że on miał żonę na kocią łapę, a ta żona to była pani i jej pani, panią zna. Oni myśleli, że papiery na nich pani jemu ukradła, bo coś im pani zaszkodziła. To już teraz było, w ostatnich czasach. Albo on te papiery u pani zostawił. Ale sama Helena przy sprzątanu znalazła też jakieś papiery u nich, sama ukradła i jemu zanosła. Ci jej znajomi wyjechali, a jej mieszkanie zostawili pod opieką, więc tam często jeździła i zostawała. Nie zważali na nią bardzo, więc podsłuchiwała jeszcze więcej i zobaczyła, jak raz przyszedł jakiś, tak wieczorkiem, z panem gadał cicho, ale tak, że mrowie po niej chodziło, a pan mu pieniądze płacił. Potem tamten wyszedł i pan zaraz wyłeciał za nim, a jak wrócił, zadowolony był i te same pieniądze z kieszeni wyjął. Z panią potem gadali i Helena dorozumiała się, że tamtego zabił.

O pani to mówili ciągle, że pani za dużo wie i trzeba pani, za przeproszeniem, zamknąć gębę. Helena panią znała i była jej pani jak sól w oku przez tego opiekuna, bo myślała, że co z tego będzie, a tu pani. Specjalnie poleciała panią oglądać i gryzła się, ale jakoś to się z panią rozeszło, więc już nic do pani nie miała.

A do tych państwa taki jeden przychodził, jakby pana podwładny. To mi wszystko Helena mówiła w sekrecie, bo już nie mogła wytrzymać, męczyła się, a jeszcze bała się okropnie, że do skrytki zajrzą i zobaczą, że ona im ukradła te papiery. Do księdza do spowiedzi poszła, a ksiądz jej kazał iść na policję, ale ona się bała i znów do mnie przyszła. Zamyśliła sobie, że ucieknie. Więcej nic nie wiem, ale tu nie zostanę, bo też się boję. Oni zabijają każdego, kto by im szkodził, a że ona ze mną gadała i płakała nawet, to wszyscy widzieli. Zabili ją, ksiądz też chcieli zabić, to i mnie zabijają, bo dlaczego nie. Może być, że i panią. O co tu w ogóle chodzi, to ja nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć. To i tyle. Ja już tak zaraz nie wrócę, póki takie bandziory i dranie tu mieszkają i sobie żyją, jak im się podoba. Z poważaniem. Judyta Chmielewska”.

— Dech zapiera — powiedział Grzegorz, kiedy razem skończyliśmy lekturę i popatrzyliśmy na siebie. — Może warto przetłumaczyć to jakoś...?

— W zasadzie wystarczy porozdzielać panie i panów. Szczególnie panie się nieco mylą.

— Nie mogła ta baba podać jakichś dat? Rysuje mi się tu wysoce kusząca koncepcja, ale bez dat nie razbieriesz. Bez wódki również, napijmy się czegoś. Trzeba to dzieło rozszyfrować.

Pokulałam za Grzegorzem do barku i obejrzałam zawartość, bo nie wiedziałam, co by tu wybrać delikatnego. Zdecydowaliśmy się na szalenie skomplikowany koktajlik, którego główne składniki stanowił sok pomarańczowy i woda mineralna gazowana. Można było tego spokojnie wypić litr.

— Obiad będziemy jedli?

— Chyba tak? Niezła ta knajpa. Pojedziemy po pracy.

Odczytaliśmy epistołę Judyty ponownie, teraz już komentując, dedukując i czyniąc własne notatki. Nie miałam cienia wątpliwości, że korespondencja jak najszybciej powinna się znaleźć w rękach policji, ale co nam szkodziło powyciągać z niej przedtem trochę wniosków prywatnych.

— Pierwsza sprawa się zgadza, to wiem od Andrzeja — rzekł Grzegorz. — Miziutek wyjechał wcześniej, Renuś później.

— Mnie tego wyraźnie nie powiedział — mruknęłam z lekką urazą.

— Ale mnie napomknął, a później jeszcze sprawdziłem po ludziach. Te sto dwadzieścia rozmów telefonicznych, to ci się wydaje, że z kim...? Budowę obiektu komuś zleciła i przyjechała na sam koniec, a Renuś dobił po paru tygodniach.

— No i ksiądz miał rację, wymienili go. Helena nie zrozumiała sedna rzeczy, zatem był to rzeczywiście osobisty wniosek wikarego. Tak samo jak nasz.

Grzegorz zaczął podkreślać kolejne zdania przezroczystym pisakiem.

— Interesuje mnie kombinacja z samochodami. Tu właśnie przydałaby się konkretna data, gliny te rzeczy mają w protokółach. Zakładam się, o co chcesz, że załatwili sobie kraksę z pożarem. Chciałbym wiedzieć, kto w tej kraksie zginął. Nie, nie mam zaćmień, że Renuś, to pewne, chodzi mi o zastępcę.

— No właśnie. I samochód był jego. Czeka, przybliżoną datę mamy, ktoś musi wiedzieć, kiedy Renuś wyleciał ze Stanów, zaraz, u nas też... Obce obywatelstwo, zameldowanie na pobyt stały, niechby tylko czasowy, na Wspólnej to się załatwia...

— Meldował się już chyba sobowtór...?

— Niewątpliwie. Miziutek wcześniej. Musiała załatwić formalności z domem.

— Robota dla policji. Ale ja też chciałbym wiedzieć.

— Odwaliłabym to bez problemu, po kumotersku, żeby nie ta idiotyczna noga. Tam trzeba latać po piętrach i schody cholernie niewygodne. Zaczynam rozumieć sens strzelania do mnie, o ile naprawdę ktoś strzelał.

Grzegorz uniósł nagle głowę znad listu.

— No właśnie, nie zdążyłem ci tego powiedzieć. Byłem tam i obejrzałem to drzewko dokładnie. Orientujesz się, że wyobraźnię przestrzenną muszę posiadać...? Ktoś rąbnął z góry i ciebie trafił odłupany kawałek obramowania. Można było mieć nadzieję, że pryśnie, a pocisk wbił się głębiej. Nie wydłubywałem go i może szkoda, bo już go wydłubał sprawca, ten strzelec wyborowy.

— Chciałoby mu się?

— Na jego miejscu bym to zrobił. Na wszelki wypadek.

Z niechęcią wzruszyłam ramionami.

— No w każdym razie cel osiągnęli, jeśli zamierzali mnie unieruchomić. Może w ogóle kichają na gliny i boją się tylko dochodzeń prywatnych... No jasne, prokuratura! Gliny nic nie zrobią, jeśli prokuratura na wstępie ukręci sprawie łeb, a że mają chody na wysokim szczeblu, to gwarantowane!

— Można by spróbować od drugiej strony — powiedział Grzegorz w zadumie.

— Może w Stanach zostały jakieś szczątki prawdziwego Renuś, odciski palców, grupa krwi...

— Ejże! — ożywiłam się nagle. — A może to było właśnie to, co im Helena podwędziła? Dokumenty po Renuś? Oni mieli papiery Renuś, a ten eks-mój, a później bóstwo Heleny, miał papiery zastępcy...?

— Niegłupia myśl — pochwalił Grzegorz. — Zestawienie może się okazać kłopotliwe.

— No to w zasadzie początek mamy...

— Nie, czekaj! Możliwe, że mamy więcej, i to jest właśnie moja kusząca koncepcja. Pytanie, kiedy to było, Renuś przyleciał i załatwili go od razu, a stryj umarł w parę miesięcy później. Spadkobierca zszedł ze świata wcześniej niż testator, spadek diabli biorą i dochodzi do tego ewidentne oszustwo...

— Miziutek idzie siedzieć? — ucieszyłam się.

— Nie rób sobie wielkich nadziei, po godzinie wychodzi za kaucją. Ale stracić forszę też przykro. I zdaje się, że jest tu na ten temat dość wyraźna informacja, państwo siedzieli i fałszowali podpis. Widocznie Miziutkowi zabrakło podpisów Renucia in blanco, a za to w pełni zrozumiały staje się fakt, że to ona pałętała się po kontynentach i załatwiała wszystko. Adwokaci ją znali, nie było powodów do podejrzeń i grafolog nie wchodził w rachubę.

Zastanawiałam się przez chwilę z wielkim niesmakiem.

— I czego ta idiotka się boi? Ona naprawdę myśli, że ja natychmiast polecę do ambasady z donosem?

— Podobno każdy sądzi według siebie. Mogłabyś to zrobić przez zemstę.

— Nie zrobiłabym. Ale nie zmartwię się, jeśli samo wyjdzie. Nie ukryję tej korespondencji przed glinami wyłącznie dla jej przyjemności. Coś mi się widzi, że Judyta słusznie uciekła.

— Chyba tak — zgodził się Grzegorz, odwracając kartkę. — Bo tu mamy ładny ciąg dalszy, mrowie chodziło, a pan płacił. Szantażysta, na swoim szantażu wyszedł nie najlepiej. Wynikałoby z tego, że prezes firmy osobiście odwała także ręczną robotę, ale może miał gdzieś tam goryla w zapasie. Nie będę się upierał.

Odebrałam mu trzecią kartkę.

— Za to ja się uprę. O, tu, taki jeden przychodził, zgodzę się wykonać zaraz skok w dal, jeśli to nie Nowakowski, wszystkie plotki na niego wskazują! Kombinuje z Libaszem.

Grzegorz odsunął fotel od stołu, oparł się wygodnie i popatrzył w wielkie okno, wychodzące na taras.

— A zatem brakuje mi ostatniego kawałka tej łamigłówki. Chciałbym wiedzieć, gdzie też podziewa się i co robi szanowny pan Sprzęgieł. Nowakowski, można powiedzieć, mówi sam za siebie i może idę za daleko, ale chciałbym sprawdzić, czy to przypadkiem nie Sprzęgieł zginął parę lat temu w katastrofie samochodowej...

\* \* \*

Do kapitana zdecydowałam się zadzwonić dopiero pod wieczór, kiedy już wróciliśmy z obiadu. Miałam nadzieję, że na wylapywanie połączeń telefonicznych nie jest akurat nastawiony i nie sprawdzi tak od razu, skąd dzwonię. Aż do jutra zamierzałam unikać świata. Kumpel Grzegorza posiadał w domu kilka aparatów i Grzegorz w gabinecie pana domu trzymał słuchawkę przy uchu, zanim jeszcze zaczęłam wypukiwać numer.

— Tylko nie kichnij — poprosiłam. — Bo musiałabym cię ujawnić.

— Żebyś nie wymówiła w złą godzinę...



Kapitan siedział u siebie w pracy.

— No, nareszcie! — wykrzyknął z ulgą. — Szukam pani od rana. Muszę przyznać, że z tą piwnicą nie przesadziła pani wcale, chyba nawet trochę jej pani nie doceniła. Zdaje się, że znaleźliśmy tam coś ciekawego i potrzebne jest kilka informacji od pani. Czy pani dzwoni z domu?

Na to pytanie twardo postanowiłam odpowiedzieć dopiero na końcu.

— Mam dla pana więcej informacji, niż się pan spodziewa — oznajmiłam podstępnie. — Ta Judyta, która uciekła do Kanady, przysłała list. Co prawda, wyłuszczone w nim przestępstwa mają raczej charakter prywatny, ale też dobrze. Dam go panu jutro...

— Jakie jutro, dziś...!

— Nie, jutro. Nie ma pożaru. Natomiast pan sam powiedział, że gryzą pana wyrzuty sumienia za ten gipsowy łeb, który mógł mnie zabić. Coś mi się od pana należy, niech się przynajmniej dowiem, co tam było w tej mojej piwnicy.

— Łatwiej byłoby powiedzieć, czego nie było. Czy bardzo zależało pani na niechodliwych butelkach?

— Nie. Wcale.

— To dobrze, bo poszły na śmietnik. Ale ja bym...

— Zaraz. Był kiedyś w MSW taki facet, Sprzęgieł się nazywał, imienia nie znam. Powinien był zginąć w katastrofie samochodowej parę lat temu, mniej więcej wtedy, kiedy ze Stanów przyjechał niejaki Ireneusz Libasz. Pan to może sprawdzić jakąś tam drogą służbową, mnie niedostępną, z serca radzę, niech pan sprawdzi.

Kapitana moja rada chyba zainteresowała, bo milczał przez chwilę.

— Wolałbym się z panią zobaczyć od razu. Jest pani w domu?

— W domu będę dopiero jutro od drugiej. I proszę bardzo, każda pora dobra. Teraz się leczę na nogę i nie przerwę kuracji. Doskonale wiem, że przez telefon nic pan mi nie powie, to do jutra. Do zobaczenia. — Dusza mnie zawiadomiła, że kapitan rzucił się właśnie na elektronikę i łączność, czym prędzej zatem odłożyłam słuchawkę.

Grzegorz również.

— Na jego miejscu bym cię chyba udusił — stwierdził, wchodząc do salonu. — Mam nadzieję, że zawiadomisz mnie o losach tej gnidy? Znajdą go chyba?

— Myślę, że tak, o ile ta kraksa nie stanowiła tajemnicy służbowej. Ale nawet i z tajemnicą powinni sobie dać radę...

Wróciliśmy do rozważań, których zasadniczym tematem był Miziutek. Uczyniwszy wynikłe z plotek założenie, że obecny zmiennik Renusia powinien być jej utraconym przed laty adoratorem, zawahaliśmy się teraz w obliczu ewentualnego Sprzęgieła. Gdzie Miziutkowi do ubowca? Żadnych punktów stycznych, żadnej wspólnej płaszczyzny, dwa różne światy!

— Czekaj, weźmy pod uwagę wiek — powiedziałam, ze szczerą satysfakcją patrząc na deszcz, który zaczął kropić dopiero po naszym powrocie do domu i mojej głowy nie sięgnął. — Miziutek miał wtedy siedemnaście wiosen, to ile mógł mieć chłopak? Dziewiętnaście, dwadzieścia? Może jeszcze wtedy nie wlaźł do UB? Może dopiero miał zamiar, a może właśnie wlaźł i dlatego ją musiał porzucić? Oni pod tym względem mieli dosyć trudne życie, tak słyszałam.

— A na Halinę jednak trafił — przypomniał Grzegorz. — Inna sprawa, że interesował się mną, miał zatem prosty doskok do niej. I wątpię, czy przedstawiał się jej jako tajniak. Z Miziutkiem mogło być podobnie, znała go jako zwyczajnego faceta na jakichś studiach.

— I zachwycała ją jego sprawność fizyczna. Ich szkolili.

— Później, mogę przypuszczać, że została zmuszona do rozstania z nim. Chociażby rodzina. Już widzę pana profesora filologii klasycznej, jak przyjmuje u siebie gnidę z UB...

— Może robił dobre wrażenie? Widzieliśmy go przecież, o ile to on, dżentelmen, człowiek interesu, całkiem atrakcyjny, może nawet bardziej niż Renuś. Dopadła go, jak się czasy zmieniły.

— Zatem nasz wniosek utrzymuje się w mocy. Będę trwał przy nim, aż się dowiem, że Sprzęgieł prosperuje jako Sprzęgieł i z Libaszem nie ma nic wspólnego, a sobowtór Renusia to zupełnie kto inny. Mam nadzieję, że wydoisz z policji parę szczegółów. A teraz, powiem ci szczerze, mam już dosyć Miziutka i tego całego śledztwa, zajmijmy się sobą...

Nie pojechałam nazajutrz na lotnisko i nie czekałam na odlot samolotu, bo tamtego pierwszego odlotu wystarczyło mi na całe życie. Poza tym teraz Grzegorz leciał bliżej i nic właściwie nie stało na przeszkodzie, żebym też poleciała, niekoniecznie zaraz. Nie było to już takie przygnębiająco nieodwracalne, mieliśmy pod nogami grunt środkowej Europy.

Wróciłam do domu i przystąpiłam do spełniania obowiązków społecznych.

Kapitan Borkowski zadzwonił do drzwi punktualnie o drugiej, po czym rzucił się na list Judyty niczym rozżarta harpia. Przeczytał go dwa razy. Kolorowy flamaster powiedział mu co trzeba.

— Rozumiem, że ma pani to już przemyślane — rzekł nieco podejrzliwie, podnosząc głowę znad lektury. — Ta katastrofa samochodowa rzuca się w oczy, zamiana facetów również. Oni rzeczywiście byli tacy podobni? Bracia syjamscy?

— Identyczny układ twarzy — odparłam rzeczowo. — Identyczny kształt głowy. Identyczny sposób marszczenia brwi. Podobne nosy. Identyczny zarost. Nie wiem jak z ustami i zębami, pewno w tym się różnili, skoro ten tutaj lata obrośnięty. Do tego wzrost, co do centymetra, identyczna sylwetka, szczupła, ale barczysta, o ile rozumie

pan, co to znaczy. Kolor włosów prawie ten sam, nie znam koloru oczu, nie wdzielałam. Nawet bez wielkiego uporu można ich było pomylić, no, nie z bliska... Może nawet i z bliska, ale nie żona, nie mamusia. Facetka, o której tu mowa, wyszła za Renusia właśnie dlatego, że był podobny do pierwszego amanta.

— Skąd pni wie o tym podobieństwie? Znała pani obu?

— Żadnego, ściśle biorąc. Ale raz wpadli mi w oko...

Nie miałam dla kapitana litości. Porządnie i z detalami opowiedziałam mu o babach przed paryską wystawą, o fanaberiach mojej pamięci i o dwóch brodatych przed lustrem w warszawskiej kawiarni. Słuchał cierpliwe.

— Rozumiem. A skąd się pani wziął Sprzęgieł?

— Z tego samego źródła co Nowakowski — odparłam i nadal bez miłosierdzia uszczęśliwiłam go wszystkimi plotkami z przeszłości. Władze śledcze lubią szczerą odpowiedź, proszę bardzo, niech ma, co mi szkodziło.

— Nie mogła pani tego wszystkiego powiedzieć od razu?

— A co ja jestem, Duch Święty? Dużo wiedziałam od razu! Doszłam stopniowo, kawałkami, drogą dedukcji i wciąż jeszcze nie jestem pewna, czy dobrze odgadłam. Znalazł pan tego Sprzęgieła?

— Nie żyje. Zginął w katastrofie samochodowej.

— Więc jednak...! — wykrzyknęłam z triumfem.

— No jednak — zgodził się kapitan, przyglądając mi się jakoś dziwnie. — Nie było wątpliwości, żadna tajemnica, akta dostępne... Spalił się.

Mimo emocji, coś jednak myślałam.

— Zaraz. Spalonego człowieka trudno rozpoznać z twarzy. Skąd było wiadomo, że to on? Nie sprawdzano, na przykład, po zębach?

— A jak pani myśli, gdyby ta głowa u pani rąbnęła lepiej, a pani akurat weszłaby do przedpokoju i trudno byłoby panią rozpoznać...

— Dostyc makabryczne wizje pan tu przede mną roztacza, ale może i rzeczywiście uznano by, że to ja, i nikt by się nie wygłupiał z zębami. Szczególnie gdyby nie było mnie w żadnym innym miejscu. Rozumiem, wyszło pewnie, że jego samochód, sam gdzieś tam pojechał, może jeszcze miał frymuśny zegarek...

— Papieróśnicę.

— No proszę. Żadnych współników, chyba że Nowakowski...

— W piwnicy u pani znaleźliśmy dużo rzeczy — przerwał mi kapitan. — Muszę przyznać, że załatwiła nas pani niezłe, czterech ludzi przez całą dobę... No, zmieniali się. Makulatury ma pani już trochę mniej, butelki poszły, ale reszta została. Interesują mnie trzy rodzaje dokumentów.

Zaciekawiałam się ogromnie.

— Pokaże mi je pan, czy tylko na gębę?

— Różnie. Otóż jedno, to jest ręcznie pisany jakby rejestr przestępstw. Zaczyna się od fałszowania pieniędzy, raczej stara historia, bo w grę wchodzi banknoty po pięćset złotych, dalej, wyszczególnione w punktach, kradzieże, włamania i zabójstwa...

— Czy w skład tego wchodzi zgubienie worka pocztowego? — zainteresowałam się.

— Owszem, wchodzi.

— To może pan sobie nie zawracać głowy. Jest to konspekt do scenariusza. Nie został w tej postaci zrealizowany i myślałam, że go całkiem wyrzuciłam.

— Tak mi się właśnie wydawało, ale wolałam się upewnić. Drugie, akta prokuratorskie w okropnym stanie, fragmenty właściwie, dotyczą zabójstwa, popełnionego przez dwóch braci...

— Też niech pan to wyrzuci. Należały do mojego drugiego męża, wylała się na nie kawa, oliwa i sok pomidorowy, bo stół się przewrócił, ale zostały odtworzone. Powiem panu szczerze, że te wszystkie śmieci gromadziłam w celu wymiany na papier toaletowy, nie takie to znów dawne czasy. Podejrzewam, że ci wszyscy, co krzyczą „komuno, wróć!” mają też pełne piwnice makulatury i chcieliby ją jakoś racjonalnie zużytkować.

— Moja matka za makulaturę kupiła czajnik — westchnął kapitan smętnie i zreflektował się. — No i trzecie. Wystrzępione, czarne, plastikowe okładki, pozornie puste, ale z jednej strony ta okładka się rozdzielała i tam było to.

Wyjął z kieszeni i położył na stole kilka papierków. Popatrzyłam z ciekawością. Analiza krwi, grupa, morfologia i OB, na nazwisko Jarosław Sprzęgieł. Podniosłam głowę.

— No wie pan...! Podziwiam sama siebie. Prawie zgadłam, że on coś takiego mógł mieć...

— Kto?

— Mój trzeci niech będzie, że mąż. To muszą być te papiery, o których wszyscy gładzą. Co tam jeszcze...? Niech pękne, odcisk palca...? Też Sprzęgieła? Analiza krwi NN, grupa, podgrupa... Nie wiem, czyje i do czego mu to było. Odpis przesłuchania KR w sprawie JS...

— O to chodziło! — ucieszył się kapitan. — Skąd pani wie, że to jest odpis przesłuchania w sprawie?

Rzeczywiście, ręcznie pisany tekst prezentował w tych miejscach gryzmoły do niczego niepodobne. Jakby kanciaste robaczki. Znałam je.

— Z doświadczenia — wyjaśniłam. — Jeszcze pamiętam. On sobie stworzył prywatną stenografię na własny użytek i tak te słowa pisał. Z resztą tekstu niech pan pójdzie do jakiego aptekarza, oni słyną z odczytywania lekarskich bazgrołów.

— Nie, mamy specjalistów. Ale pomyślałam, że pani to najszybciej rozszyfruje. To coś tutaj, to igrek?

— Tak. A ta ósemka z falbankami to zet. Zabił Farfocla... Nie, przepraszam, nie Farfocla. Nie wiem, kogo zabił, może Fanfara.

— Sprawdzimy. No więc to była przyczyna czepiania się pani. Chyba mogę pani wyznać prawdę. Ze starych akt Sprzęgieła parę dokumentów zginęło i to są jedyne dane. Odcisk palca i grupa krwi. Skąd on to miał, ten pani mąż?

— Nie może pan jego zapytać?

— Mogę. Nawet pytałem. I nie tylko ja.

— I co?

— A nic. Amnezja. Chociaż w pierwszej rozmowie obiecał dostarczyć dowody na różne rzeczy. Nie dostarczył i niczego nie pamięta.

Zastanawiałam się bardzo krótko.

— No to już rozumiem. Myślał, że łatwo to znajdzie dlatego obiecał. Okazało się, że chała, przyszło mu do głowy, że pogubił te śmieci u mnie i stąd kulturalne włamanie do piwnicy sąsiada, która powinna być moja. O zamianie piwnic nie mógł wiedzieć. Przepadło mu, nie przyzna się do tego za skarby świata, bo wstyd pogubić dowody rzeczowe, i choćby pan na głowie dookoła niego chodził, pamięci nie odzyska.

— A pani się nie domyśla?

— Czego?

— Skąd on to miał?

— Domyślałam się, ale moje domysły mogą nie mieć sensu. To raczej możliwości. Taka analiza, na przykład, ktoś ją przecież robił, jakaś laborantka zapewne, wykołował laborantkę i dała mu kopię. Niejedna baba dla niego głupiała. Ktoś inny coś ukradł dla niego, za jakąś przysługę, albo sam się gdzieś dostał podstępem. Powinien pan znać te rzeczy lepiej ode mnie, to przecież wszystko służby specjalne.

Kapitan starannie zgarnął cenne papierki i milczał chwilę.

— A, co ja będę pani szklił... Droga służbowa prowadzi przez zaskaki z drutu kolczastego. Więcej i prędzej się dowiem od pani. Dane Libasza chociażby, odciski palców musiałem zdobyć podstępem...

— Dane Libasza są w Ameryce — mruknęłam ponuro. — Zaraz, data! Kiedy ten rzekomym Sprzęgieł spalił się w samochodzie?

— W czerwcu, przeszło pięć lat temu. A co...?

— Nic. Libasz ma ciągle obywatelstwo amerykańskie?

— Jasne. Żona też. Zaraz, rozumiem. Libasz wyjechał na spadku po krewnym, jeśli to już nie był Libasz, tylko Sprzęgieł... Daty śmierci krewnego pani przypadkiem nie zna?

— Dziwię się, że pan nie zna — zganiłam go, zgorzona.

— W odniesieniu do prawdziwego Libasza wydawało się to nieistotne — usprawiedliwił się kapitan. — Ale nadrobię niedopatrzenie.

— Będę znała tę datę jutro w południe — obiecałam, wierząc w Grzegorza. — Mogę do pana zadzwonić. Gdyby pana nie było, podam ją byle komu.

— Będę pani bardzo wdzięczny. Łatwiej działać na bazie pewności...

— Dziwi mnie jedno, dlaczego mianowicie jeszcze mnie nie zabili. Nie uważa pan, że powinni?

Kapitan pokręcił głową.

— Nie, nie uważam. Po zabójstwie cały pani stan posiadania zostałby dokładnie przeszukany i sprawdzony, znaleziono by te papiery. Tego się musieli obawiać. To jedno, a druga przyczyna to nadzieja, że uzyskają od pani informację na ten temat, zapewne coś takiego planowali, po zastraszeniu, kontakt osobisty. Przedtem usiłowali znaleźć sami, ale, powiedzmy sobie szczerze, u pani szukać niełatwo. Gdyby zaś pani, uszkodzona, leżała w szpitalu...

— Rozumiem, w moim domu mogliby nawet zamieszkać i zrobić mi porządek w papierach...

Rozejrzałam się dookoła ze smętnym westchnieniem. Papiery zapychały całe moje mieszkanie, co najmniej połowę należało dawno wyrzucić, ale ciągle brakowało mi serca do tej strasznej pracy. Kapitan popatrzył również i taktownie powstrzymał się od dalszych uwag.

— O tej Judycie zapewne nie wiedzieli i mogli sądzić, że po likwidacji Heleny straci pani dostęp do jakichkolwiek informacji...

— Ciągle mówimy w liczbie mnogiej — przerwałam mu z niezadowoleniem. — Kto to właściwie jest, ci oni? Pseudo-Renuś z Miziutkiem, plus Nowakowski, ale zdaje się, że nikt z nich nie uczestniczył w kraksie pod Łodzią? I nikt z nich nie pętał się za mną po Europie i nie podrzucał mi głowy. To jak ja mam to rozumieć?

— Niech mnie pani nie rozśmiesza — zniecierpliwiał się kapitan. — To jest przecież cała klika, obrośnięta goryłami. Libasz ma na usługach pracowników fizycznych, którzy nawet nie wiedzą, dla kogo pracują. Pośredniczy Nowakowski, bo to jest rzeczywiście Nowakowski, niegdyś wtyczka w różnych zakładach pracy.

— Już to samo powinno wystarczyć. Wypisz wymaluj identyczne metody, jakie Sprzęgieł stosował przed laty. Ciekawe, co pan teraz robi?

— Poczekam na jutrzejszy telefon od pani.

Przyszło mi nagle do głowy ułatwienie dla niego.

Polubiłam go.

— Macie tam jakiś fax, jestem pewna. Niech mi pan da numer, o ile to nie jest straszna tajemnica służbowa. Może uda mi się zrobić panu przyjemność. Skoro woli pan mnie niż te kolczaste zasięki...

Chyba rzeczywiście wołał, bo numer faxu dał.

\* \* \*

Nie poprzestałam na pogawędkach służbowych, groziło mi bowiem spędzenie wieczoru na smętnej tęsknocie do Grzegorza. Postanowiłam, że nie dam się wpędzić w melancholię na starość. Nie daj Boże, jeszcze bym zaczęła płakać albo co.

Stare notesy i kalendarze, które odnalazłam już wcześniej, ciągle leżały na wierzchu, zapomniałam je bowiem odłożyć na miejsce. Sięgnęłam po nie.

W nastawionym na różne wysiłki umyśle zaczęło mi majaczyć kolejne wspomnienie. Na samym początku mojej znajomości z Miziutkiem właśnie u niej odbywały się andrzejki. Same dziewczyny, lanie wosku, buty wychodzące za drzwi, imiona męskie na karteczkach... I awanturujący się Miziutek... „Nie chcę Andrzeja! — jęczała z gniewem. — Niech go sobie któraś z was zabierze! Chcę Jarka, oddajcie mi Jarka!”

Jakim cudem ja to mogę pamiętać...? A, już wiem, proste, zazdrościłam jej kiecki. I tę kieckę, oczywiście, pamiętam znacznie lepiej niż wszystkie rozgrywające się tam sceny, rura z dekoltem z zielonej mory, cudowny kolor, tak zwany morski, Miziutek był rudy, świetnie pasowało, dookoła szyi cień złotej ozdoby, a ja nieszczęsna, jedyna w tym gronie młoda mężatka, byłam właśnie w ciąży i nie miałam się w co ubrać... Miziutek w zielonej kiecy, z wielkim kokiem pomiędzy ciemieniem i potylicą, z kieliszkiem wina w jednej ręce, z karteczką w drugiej, giął się w pasie i z rozpaczliwą wściekłością żądał zamiany męskich imion, przy kredensie stała, próbowała zaszachrować, bo na blacie tego kredensu leżały inne karteczki...

Twierdziła potem, że wróżby się nie sprawdzają, nieważne są w ogóle, bo skaziła je obecność jednostki zameżnej. Może zresztą nie ona to wymyśliła, tylko któraś inna dziewczyna, żeby ją pocieszyć, chętnie przyświadczyłam, bo co mi szkodziło, nie żałowałam jej tego jakiegoś Jarka...

Sama zdumiona, że mi się nagle to wszystko tak porządnie przypomniało, zorientowałam się, iż cały czas trzymam w ręku kalendarzyk sprzed trzydziestu pięciu lat, otwarty na stroniczce ze spisem wróżb andrzejkowych. Osobiście ten spis tuż przed imprezą wykonałam, żeby o niczym nie zapomnieć. No i proszę, jak cenne jest słowo pisane!

Zaczęłam sobie przypominać, kto tam wtedy był. Przyjaciółki z młodych lat rozpierzchnęły się po świecie, Hania w Kanadzie, Baśka nie żyje. Lusia podobno w Australii, Ewa... Zaraz, Ewa! Ewa Górską, jej nazwisko niedawno wpadło mi w oko, pomyślałam nawet, że cały czas używa panińskiego, projektantka strojów, film, teatr, telewizja, na oczy jej nie widziałam od skończenia studiów, ale dlaczego nie miałabym spróbować...?

Znalazłam ją w książce telefonicznej, tej nieco starszej, a nie obecnej, bo obecna została ułożona tak jakoś dziwnie, że wszelkie próby uzyskania z niej pożądaných numerów dostarczały mi wyłącznie uczucia, iż popadam w debilizm. Niczego nie umiałam znaleźć. W starszej było, Ewa Górską, artysta plastyk. Wypukałam numer i słuchawkę po drugiej stronie podniosła kobieta.

— Ewa? — powiedziałam beztróska. — Cześć, słuchaj, czy ty pamiętasz różne dziewczyny z młodości? Baśkę Boberską, Mizię Arendarską, Hanię Kostrzyk, Joannę Chmielewską...

— No nie wygłupiaj się, to ty! — wykrzyknęła Ewa z uciechą. — Widziałam cię w telewizji! Boże drogi, ileż to lat...!

- Trzydzieści. Masz wnuki?
- Wyobraź sobie, mam! Ta idiotka, moja córka, tak mnie urządziła!
- Nie przejmuj się, nie wnuki zdobią człowieka. Ja też mam i ona już doskonale umie czytać.
- Kto?!
- Moja wnuczka. Drobiazg. Przyznam ci się, po co dzwonię. Chcę poplotkować o Miziutku. Masz coś przeciwko temu?
- Ale wręcz przeciwnie! — ożywiła się Ewa. — Miziutek to postać barwna, zawsze była, o niej się świetnie plotkuje! Ona wróciła, wiesz o tym? Prosperuje w Polsce, ale nie sądzę, żeby miała zostać na zawsze.
- Że wróciła, wiem aż za dobrze. Usiłuje mnie wykończyć. Dlaczego...
- Co ty powiesz, to jeszcze jej nie przeszło? — przerwała Ewa ze zdziwieniem.
- Do tej pory?
- A co...?
- No jak to, zawsze stanowiłaś dla niej konkurencję. Nie wiedziałaś o tym? Jeszcze w tamtych czasach, czekaj, co to było, ach, pamiętam, andrzejki! Do mnie mówiła, co za szczęście dla niej, że ty jesteś w ciąży, na jakiś czas ma cię z głowy i niczym jej nie zagrażasz...
- Czym, do pioruna, miałam jej zagrażać? — spytałam ze śmiertelnym zdumieniem.
- No nie wygłupiaj się, byłaś szalenie atrakcyjną dziewczyną...
- Mogłabyś, z grzeczności, powiedzieć, że jestem — przerwałam zgrzyliwie.
- Teraz możesz być najwyżej szalenie atrakcyjną kobietą — odparła Ewa stanowczo.
- Dziewczynę wybij sobie z głowy. Znam się na tym.
- Zgodziłam się z nią.
- No dobrze, ale jej też nic nie brakowało...
- Toteż właśnie. A ty mogłaś ją przebić, bała się tego. Jeden chłopak ją rzucił, wpadła w taką malutką depresyjkę i wygrzebywała się z niej metodą zwycięstw na każdym kroku. Ty miałaś kochającego męża, gdyby mogła odbić ci tego męża, pocieszyłaby się od razu, ale ukrywałaś go starannie...
- Nie ja go ukrywałam, tylko sam się ukrywał, bo się nie miał w co ubrać — przerwałam z irytacją. — Ale nie o mnie plotkujemy, tylko o Miziutku. Dziko interesuje mnie ten chłopak, który ją wtedy rzucił, podejrzewam, że jest to jej obecny mąż...
- Jej obecny mąż podkupił moją firmę — przerwała z kolei Ewa gniewnie. Przerzywałyśmy sobie wzajemnie prawie każde zdanie. — Stąd moja wiedza o niej. Libasz się nazywa. Cudem udało mi się uniknąć kłęski, ale kochać, to ja ich nie kocham.
- A o tamtym chłopaku coś wiesz?



— Czy coś wiem... Wiesz, mętnie mi się ochapia... A nie, wiem! Ktoś mi mówił, jako gach był podobno doskonały, ale nie w tym rzecz. Podobno zażądał od Miziutka donosów na profesora... zaraz, jak mu było, już nie żyje, przyjaciel jej ojca... Wszystko jedno, Miziutek odmówił, bo wtedy jeszcze kołatała się w niej jakaś szlachetność, i przez to nastąpiło zerwanie. A, rozumiem! To dlatego...!

— Co dlatego, nie przerywaj w najciekawszych momentach! — zdenerwowałam się.

— Kłótnia była wśród dziewczyn. Miziutek upierał się, że przyzwoitość nie popłaca i cel uświęca środki, prezentowała taką wściekłą bezwzględność, że sama się do niej zraziłam. Nie wiedziałam, co ją napadło, popatrz, dopiero teraz przyszło mi do głowy, że to przez tego kochasia! Żal ją ogarnął, że się dla niego nie zeświniła! Kto to był, jakiś konfident?

— Miałam nadzieję, że właśnie tego dowiem się od ciebie — westchnęłam. — Mnie przy tych dyskusjach nie było...

— Nie było, rodziłaś dziecko.

— Ale właściwie wszystko się potwierdza. Tak przypuszczałam, że w młodości trafiła na chłopaka z UB.

— I co? — spytała Ewa ostrożnie po chwili milczenia. — To ma jakieś skutki?

— Właśnie wychodzi, że ma...

— No to czekaj. Zaraz... O rany, czekaj, mówiła mi jej szwagierka, Krystyna, siostra jej pierwszego męża, Andrzeja właśnie, ona mieszka w Szwecji, czasem przyjeżdża, trzy lata temu ją widziałam, o rrrrany...!

— No! — pogoniłam zachłannie. — Co mówiła?

— Spotkała się z Miziutkiem — powiedziała Ewa uroczyście. — Dwa lata wcześniej. Nie bardzo się lubiły, ale zawsze, wiesz jak to jest, poszły na kawę do barku naprzeciwko Grandu, tak pogadać, no owszem, pogadały i już wychodziły, kiedy Miziutek we drzwiach skamieniał. Jakiś facet wchodził, też skamieniał. Tak stali i patrzyli na siebie, Krystyna ją grzecznie pożegnała, Miziutek nawet tego nie zauważył, cofnął się do środka razem z facetem. Jeszcze przez okno widziała, jak się w siebie wpatrywali, ale gównó ją to obeszło. Słuchaj! A może to był on...? Gach z młodości?

Z chciwością bez granic wchłaniałam w siebie tę romantyczną historię.

— A otóż tak. Na moje oko rzeczywiście! I czas się zgadza, spotkała go znienacka, przygłuszone uczucia wybuchły...

— Myślisz, że to możliwe? — spytała Ewa z niedowierzaniem. — Po tylu latach i takich dramatach? O Jezusie, do rymu mi wyszło!

— Nie szkodzi. Że możliwe, gwarantuję. Jak wyglądał?

— Przystojny. Nawet bardzo. Dzentelmen w męskiej sile wieku. Tak powiedziała Krystyna, ja jej wierzę, zawsze miała dobry gust.

— Brodaty?

— Wykluczone. Krystyna brodatych nie lubiła. Jej szwedzki mąż też się musiał ogościć.

— No to brodę zapuścił później...

— Słuchaj no, ty coś wiesz? Chcesz przez to powiedzieć, że to był Libasz? On jest brodaty!

— Pogawędka z tobą stanowi dla mnie dar boży — wyznałam uczciwie. — Należy ci się coś wzajemnie. Tak jest, na moje oko to był obecny Libasz.

— Obecny...? A co? Dawniej nazywał się inaczej?

— Tak mi właśnie wychodzi i chciałam się upewnić. Ciekawa byłam, skąd jej się wziął i jak na niego trafiła, a tu proszę, zrządzenie losu u progu niewinnego barku. Nareszcie coś rozumiem.

— Ja też. On robi interesy, wiadomo, jak te interesy u nas wyglądają, nachapia się szmalu i ruszą w świat. A on z tych takich przedsiębiorczych...? No, no, no...

Przyjęłam jeszcze jej ofertę skompletowania mi wiosennego stroju i dałyśmy spokój plotkowaniu. Wykryty fragment biografii Miziutka poruszył mnie do głębi, tak między innymi wyobrażałam sobie własne spotkanie z Grzegorzem, można powiedzieć, że Miziutek mnie zastąpił. Natknęli się na siebie we właściwej chwili, porozumienie osiągnęli z łatwością, Renuś w geszeftach Sprzęgiełowi do pięt nie sięgał, Miziutek wiedział, co robi, zamieniając mężów. Ciekawe tylko, dlaczego nie zrobiła tego normalnie i legalnie, rozwodząc się na przykład, a prawda, przy rozwodzie musiałaby podzielić się majątkiem...

Kąt do siedzenia i smętnego popłakiwania oddalił się ode mnie i znikł za horyzontem. Oczekiwały mnie same przyjemności, jutro telefon Grzegorza, a później ten wiosenny strój, do wiosny będę już miała dwie normalne nogi...

\* \* \*

Z wysiłkiem opanowując niecierpliwość, czekałam, aż on zadzwoni. Był to rodzaj od-ruchu. Kiedyś, przed laty, też Grzegorz dzwonił do mnie, a nie ja do niego, bo po co go miałam narażać na podejrzenia Halusi? Mieliśmy umowę, jeśli już musiałam się z nim skontaktować w jakiejś sytuacji podbramkowej, dzwoniłam, owszem, i od razu w dużym skrócie mówiłam, o co chodzi. Grzegorz słuchał grzecznie, po czym oznajmiał, że to pomyłka. Niekiedy, jeśli nie zdołałam ograniczyć się do trzech słów, korygował numer, słowa „tak” lub „nie” zawsze udawało mu się wtrącić i w ten sposób uzyskiwałam odpowiedź. Naleciałości z tamtych czasów paraliżowały mnie teraz, chociaż dzwoniłabym do biura, a nie do domu.

Uświadomiłam sobie wreszcie odmienną sytuację, wygłosiłam pod swoim adresem kilka dużych komplementów i już sięgałam po słuchawkę, kiedy właśnie Grzegorz zadzwonił.

— Czy ja ci wyjaśniałem, dlaczego nie mogę dzwonić z domu? — zapytał.

— Nie — odparłam. — Ale zgaduję. Zapewne masz kilka aparatów i kuzynka może podnieść drugą słuchawkę.

— Moja żona też. Ma pod ręką. No, to już rozumiesz.

— Zawsze rozumiałam, a teraz ci zrobię przyjemność. Tak jest, to Sprzęgieł spalił się w samochodzie. Wedle akt personalnych nie żyje. Czy odczuwasz satysfakcję?

— Jeszcze jaką...!

— Nie koniec na tym. Zdaje się, że zszedł ze świata na parę miesięcy przed stryjem. Potrzebna jest data śmierci stryja.

— Mam tu właśnie te papiery przed sobą. Czekaj, zaraz znajdę...

Słusznie w niego wierzyłam. Powinien był wprawdzie, jadąc do Polski, od razu przywieźć ten chłam, sam to przyznał, ale sprawę Renuśa nieco zlekceważył. W ostatniej chwili wyjawiał mi, że dopiero ten wybuch w moim holu poruszył go głębiej, przedtem cały problem wydawał mu się czysto teoretyczny i bardziej zajęty był powrotem kontaktów ze mną.

Nie miałam pretensji i nie czyniłam wyrzutów. Ze mną... mój Boże, poczułam się ważna i upragniona. Nie miało znaczenia, łgał czy prawdę mówił, do łgarstw właściwie nie było powodu, przyjęłam komunikat z całym dobrodziejstwem inwentarza i reszta przestała się liczyć. Każda kobieta... więcej, każda istota ludzka musi się poczuć ważna i upragniona bodaj raz w życiu, inaczej popada w kompleksy, depresje i różne inne zwyrodnienia. Pewnie, że upragniona nie przez byle kogo...

— Jest — powiedział Grzegorz. — Szóstego listopada.

— A rzekomy Sprzęgieł sfajczył się dziewiętnastego czerwca — podchwyciłam. — Odgadliśmy wszystko, aż się niedobrze robi. Poza tym wiem, jak Miziutek na niego trafił, dalszego ciągu domyślałam się łatwo...

Przekazałam mu wszystkie, świeżo uzyskane plotki i przez chwilę wzajemnie utwierdzaliśmy się w poglądach. Grzegorz Renuśa znał lepiej niż ja, podtrzymał opinię, iż Renuś w interesach robił za pechową niedojdę, nie na dzisiejsze czasy, Sprzęgieł zaś, bez wątpienia, wręcz przeciwnie.

— Widzę tu jeszcze jedną przyjemność — rzekł Grzegorz, który najwidoczniej w trakcie rozmowy grzebał w papierach. — Renuś był jedynym spadkobiercą, testament innego nie przewiduje. Zatem cały majątek nieboszczyka stryja przechodzi na skarb państwa. Żaden kraj, nawet bogaty, nie lubi być pod tym względem kantowany, ciekawe, co zrobią. A do tego firma adwokacka, która musi zachować twarz...

— Zdaje się, że słusznie chcieli mnie zastraszyć i zatkać mi gębę! — ucieszyłam się. — Tylko metody wybrali niewłaściwe.

— Intryguje mnie jedno — ciągnął Grzegorz. — Teraz, kiedy już się przestawiłem na pracę intelektu i nie rozprasza mnie twoja obecność, widzę tu pewien idiotyzm i brak konsekwencji. Podwójny. Dlaczego policja nie uzyskała wszystkiego, informacji i dowodów, od tego twojego eks, skoro on te rzeczy zbierał i wiedział, albo dlaczego Sprzęgieł i spółka już dawno go nie zabili?

Rozumiałam te rzeczy coraz lepiej i mogłam mu odpowiedzieć.

— Pierwsze, mówiłam ci, on uwielbia milczeć, zapewne dlatego, że gówno wie. Cała jego wiedza jest przereklamowana, o co sam się postarał, jak przychodzi do konkretów okazuje się, że są to niewyraźne dedukcje. Dokumentów zaś, jeśli istotnie je zdobył i nie zgubił, w ogóle w swoim śmietniku nie potrafi znaleźć. Za tym idzie drugie, jasne się staje, dlaczego nikt nie zabił ani jego, ani mnie, on żadnych przestępstw nie popełnia i nikt nie ma podstaw do rewizji, nikt za życia nie dokona u niego przeszukania, natomiast po śmierci owszem. To samo jest ze mną, skoro wierzą, że u mnie płacze się jego makulatura, wołam, z dwojga złego, żebym raczej żyła.

— Skąd wiesz, że u niego jest śmietnik?

— Sam mi powiedział. Wyrwało mu się w nerwach, kiedy żądałam, żeby mi przyniósł i pokazał coś tam sprzed dwudziestu lat, upierałam się, co go zgniewało i oświadczył, że nie przeczuci dla mojej fanaberii dwunastu ton makulatury. Wierzę w te słowa, bo innym razem sam koniecznie chciał mi coś zademonstrować, barachło to było, ale nie szkodzi, zależało mu i dokopywał się tego u siebie przez jedenaście dni. Specjalnie wtedy policzyłam. Gliny po prostu nie mogą traktować go poważnie i zdaje się, że w ogóle co starsi unikają go jak morowej zarazy. Młodszy nie znają go tak dobrze.

— Rozumiem — powiedział Grzegorz po chwili milczenia. — Z trudem powstrzymam się od komentarzy. Zaczynam dostrzegać w sobie odrobinę współczucia dla waszej policji.

Odzyskałam poczucie aktualnej rzeczywistości, które już mi delikatnie zaczynało umykać, i przestawiłam się na kapitana.

— Możesz sobie nie żałować, oni mają same schody. Czekać, niech dotrzymam obietnic. Andrzej ci przefaksował różne dane...

— Właśnie mam je przed sobą.

— Zrób uprzejmość sympatycznemu chłopcu i przefaksuj mu ten cały nabój wzajemnie. Podam ci numer.

— To ma być zachęta...? Nie mam skłonności do chłopców, nawet sympatycznych. Ale dobrze, chętnie zrobię, co się da, na niekorzyść Miziutka, nie mogę jej darować tej przysługi sprzed dwudziestu pięciu lat... Dyktuj ten numer.

W ten sposób w pół godziny później kapitan Borkowski uzyskał pełnię wiedzy. Miałam wielką nadzieję, że odwdzięczy mi się we właściwej chwili...

\* \* \*

W nieobecności Grzegorza na głowę mogłam kichać. Bardzo wyraźnie uświadomiłam sobie, że peruka ułatwia wszelkie możliwe okoliczności oficjalne, a z nikim nie zamierzałam uprawiać kontaktów, które mogłyby ją naruszyć. Powinnam tylko żałować, że, natrafivszy na sklep ze znakomitymi perukami, nie nabyłam kilka na zapas.

Nie była to strata nieodwracalna. Wyjątkowo zupełnie zapamiętałam, gdzie ów sklep się znajduje, w Koblencji, na deptaku handlowej części starego miasta. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby tam pojechać, nie w tej chwili wprawdzie, ale nieco później. Myśl o tej możliwości stanowiła dla mnie wielką pociechę.

Noga powolutku zaczynała wracać do równowagi. Ze schodów schodziłam już prawie jak człowiek, a nie jak pokraka, tyle że nieco bokiem, do tańca jednakże jeszcze się nie nadawałam. Trzy dni przeczekałam cierpliwie, bo zajął mnie remont holu, po czym delikatnie zaczęłam się pchać do kapitana.

Cała ta okropna afery zawierała w sobie mnóstwo rozmaitych tajemnic, które chciałam wyjaśnić. Przypuszczenia własne nie wystarczały mi, wolałam pewność. Grzegorz dopingował mnie przez telefon, bo dalszy ciąg z jednej strony ciekawił go, a z drugiej niepokoił, wyrażał obawy, że Sprzęgieł z Miziutkiem spróbują się na mnie zemścić.

Byłam innego zdania.

— Na moje oko nie mają teraz głowy do mszczenia się akurat na mnie — powiedziałam stanowczo. — Nie ja to wszystko rozpętałam.

— Mają dwie głowy, z czego jedna, przypominam ci, należy do Miziutka — odparł Grzegorz równie stanowczo. — Poza tym, o ile działa moja pamięć, zdaje się, że owszem, właśnie ty ruszyłaś aferę. Najzwyczajniej w świecie boję się o ciebie.

— No dobrze, uczepię się glin...

Kapitan Borkowski nie ukrywał się przede mną, dopadłam go telefonicznie. Z jakichś tajemniczych przyczyn nie życzył sobie mojej wizyty w komendzie, wolał przyjść do mnie, aczkolwiek zapewniałam go, że już kuleję bardzo mało. Skoro jednak wolał, proszę bardzo, niech przychodzi.

— Winien pani jestem rekompensatę za ten koszmarny błąd, który popełniłem — rzekł, wręczając mi kwiaty. — I, co tu gadać, wdzięczność za informacje. Tyle pani wie, że może pani wiedzieć i resztę, a tu u pani to ja rozmawiam prywatnie. Nie napisze pani o tym, mam nadzieję?

Z przyjemnością wstawiłam do wazonu peonie w przepięknym purpurowym kolorze.

— Nie — odparłam. — To znaczy tak, napiszę oczywiście, ale nie to, co pan do mnie mówi. Nadal będę się czepiać przestępczości. Jak pan chce, mogę się złapać za inny paragraf, wybór jest szalony. Na każdym kroku afery na aferze jedzie i aferą pogania.

— Do innych afer ja się nie wtrącam, one przeważnie gospodarcze, a ja jestem z wydziału zabójstw. Kto inny niech się užera. Z Libaszem zresztą też...

— No? — spytałam nader ogólnie i zapewne trochę niecierpliwie, siadając w fotelu i podtykając mu puszkę piwa. Niech sam nalewa, co ja się tu będę miotać dookoła stołu.

Kapitan nalał odruchowo.

— Otóż coś tam udało się wygrzebać — oznajmił. — Okazało się, że słabe ogniwo to, nie zgadnie pani...

— Pewnie, że nie zgadnę, przecież nie znam ludzi!

— Tego akurat pani zna. Nowakowski. Przyznał się bezczelnie i na dobrą sprawę nic mu nie można zrobić. Umie się to ścierwo urządzać, z miejsca przeszedł na drugą stronę barykady, jak tylko wyszło na jaw, że Sprzęgieł leży. Już więcej forsy z niego nie będzie, no to niby po co Nowakowski miałby milczeć?

— A przyznanie się do winy jest, nieprawdaż, okolicznością łagodzącą?

— No właśnie. Z tym że on do żadnej własnej winy się nie przyznaje, jest świadkiem. Jako świadek kłapie pyskiem, aż echo idzie. O wszystkim dowiadywał się post factum i nic nie mógł poradzić.

— Na Helenę też nie mógł? Jak z nią właściwie było?

— Głupia baba — powiedział kapitan z irytacją i zreflektował się. — To znaczy, tego, nie chciałem być niegrzeczny w stosunku do nieboszczki. Ale ona sama się w to wrąbała. W histerię wpadła i poleciała do Libaszowej składać wymówienie, w takim domu zbrodni pracować nie będzie, no i to wystarczyło. Libaszowa, a znały się przecież w dzieciństwie... Pani wie o tym?

— Tyle co z listu Judyty. Rozumiem, że tuż przed wojną młoda wówczas matka Heleny robiła za kucharkę u młodej mamusi Miziutka. Dzieci mogły się znać.

— Zgadza się. Znały się po wojnie. No i Libaszowa wyciągnęła z niej więcej. Między innymi pani im wyszła, a trzeba trafu, że właśnie wtedy zaczęła pani publikować te swoje felietony, czy jak to tam nazwać. Sprzęgieł się zaniepokoił, bo dodatkowo dużo wiedział o pani mężu i bał się go trochę. Helena im się urwała, puścił za nią swoich chłopców, złapali ją, wykołowali i wieźli do Łodzi, żeby ją przycisnąć i wywlec z niej wszystko. Medycznie. Zastrzyki, skopolamina i tak dalej.

— Dlaczego do Łodzi? — zdziwiłam się.

— On tam ma metę, rozwija firmę i czuje się swobodniej niż tu. Jeszcze go nie znała. Helena się połapała chyba, że coś nie gra, i rzeczywiście wyskoczyła im z samochodu. Nie im, jednemu, bo dwaj jechali za nimi. Ten jeden zginął, tamtym nic się nie stało, a za to pani im się napatoczyła. Byli pewni, że pani jechała za Heleną. Zorganizowali się błyskawicznie, ofiary odwieziono do szpitala, a tam był bajzel nie z tej ziemi, Helenę bez trudu sobie zabrali, panią zaś zaczęli śledzić. Nie zauważyła pani, że ktoś za panią jedzie?

— Nie zwróciłam uwagi.

— No właśnie. Przepytali Helenę i ona im przy tym umarła. Wtedy wpadli na pomysł, żeby się jej pozbyć, a panią postraszyć, Helena panią znała, pani jej nie?

— A skąd! Na oczy jej przedtem nie widziałam. Ale z tego wynika, że gdybym nie pojechała przez cholerną Łódź, nic by mnie złego nie spotkało...

— Zgadza się. Na diabła była pani ta Łódź? Gorsza trasa i dalej.

Popatrzyłam na niego z wyrzutem, skrzywiłam się, prychnęłam i zażądałam dalszego ciągu. Kapitan podjął temat Heleny.

— Przyznała się, że napisała list do pani. Przyznała się do spowiedzi u księdza. Zorientowali się, że ona cholernie dużo wiedziała, a do tego jeszcze bredziła o dokumentach. Wie pani, co im rąbnęła? Próbki fałszowania podpisu z kosza na śmieci, a do tego zdjęcia z młodości prawdziwego Libasza. Nie byli pewni, co z tym zrobiła, mogła przekazać pani albo temu swojemu... to znaczy, temu pani...

— Swojemu, swojemu — przerwałam uspokajająco. — On już dawno nie mój. A takie baby, do Heleny podobne, wielbiły go przez całe życie.

— No to chwała Bogu. Libaszowa podobno, jak się dowiedziała o tej głowie, wpadła w furję, piekło zrobiła, wrzeszczała, że to najlepszy sposób, żeby pani się uczepliła, bo pani jest gangrena, jakiej świat nie widział, a oni wszyscy kretyńcy, ocenili panią akurat odwrotnie. Zabrać pani tę głowę! No i zabrali, jeszcze w Paryżu...

— A gdzie podrzucili?

— Na granicy. Ułatwiła im pani przez tę swoją zieloną kartę. Ogólnie mieli zamiar tę Helenę usunąć radykalnie, głowę odcięli, żeby jej nikt nie rozpoznał, wysłali z kraju z panią, zwłoki zakopali, no, to im wyszło nie najlepiej... Potem, kiedy już, dzięki pani, wyszło na jaw, czyje są te zwłoki, zmienili zdanie i złożyli ją do kupy razem z głową. Z kostnicą załatwili łapówkami, Nowakowski osobiście je wręczał. Teraz, rzecz jasna, twierdzi, że nic nie wiedział, był pewien, że Helena zginęła w katastrofie i nastąpiła tylko profanacja zwłok, a profanacji do zabójstwa daleko. Prawdy dowiedział się później, jak już pani wróciła.

— Jednak Mizutek zna mnie całkiem niezłe — rzekłam w zadumie. — Zaczynam rozumieć następne wydarzenia.

— Na ten temat Nowakowski gada chętnie, bo nie jego sprawa. Skoro już się wygłupili z głową, to Libaszowa wymyśliła, musieli panią jakoś unieruchomić. Żeby się pani zajęła sobą, a nie nimi. Rąbnął do pani snajper, a zamiar był taki, żeby pani uszkodzić stopę. Nie będzie pani mogła prowadzić samochodu, zostanie pani w Paryżu, głowę Heleny podwędzą i cała afera przyschnie. Tymczasem pani wróciła, a te papiery ich gryzły, więc wykombinowali ten cholerny wybuch. Pani w szpitalu, a oni sobie spokojnie poszukają, broń Boże tylko żeby pani nie zabić. Włamali się do piwnicy, to się zgadza, na pani sąsiada padło, niczego nie znaleźli. Księdza z Grójca owszem, chcieli zabić, bali się go śmiertelnie, bo z Kościołem żartów nie ma, gdyby ksiądz zaczął mówić...

— No i proszę, jak to na złe wychodzi nie wierzyć w ludzką uczciwość...

— Toteż właśnie — przyświadczył kapitan i wylał resztę piwa z puszki. Poszłam do lodówki po następną.

— Tożsamość Sprzęgieła już stwierdzono? — spytałam, siadając.

Kapitan zmroczniał nieco, ale zaraz się rozpromienił.

— Film pod tytułem „Ekstradycja” pani widziała?

— Widziałam. Bardzo dobry.

— No to ma pani ciąg dalszy. Sprzęgieł wszedł w posiadanie spadku nielegalnie i bezprawnie i oni już o tym wiedzą. Te firmy adwokackie, które od pani dostałem, to było samo szczęście, u nas już się zaczęło tuszowanie sprawy. Zdążyłem im podrzucić to strusie jajo w ostatniej chwili.

— Zażądamy ekstradycji? Czyjej? Sprzęgieła czy Miziutka? Znaczy, chciałam powiedzieć, pani Libaszowej?

— Chyba obydwójga. Zdaje się, że już im zablokowali konta. Tak na wsiaki słucaj, bo jeszcze prowadzą dochodzenie. Coś mi się widzi, że mają grupę krwi Libasza, wycinali mu tam wyrostek. Rozumie pani teraz, dlaczego ja siedzę tutaj, a nie pani u nas?

Zaniepokoiłam się.

— A nie wyleją pana z roboty?

— A kto wie, że tu siedzę? Poza tym, dlaczego mają wylać, dochodzenie przeprowadziłem doskonale i w niezłym tempie, za ten wybuch u pani dostałem nagane, a za dochodzenie dostałem pochwałę. Reszta już do mnie nie należy, czepiać się nie będę, bo nie upadłem na głowę i katastrofa samochodowa mi nie grozi.

Była to niewątpliwie informacja ogromnie pocieszająca.

— W rezultacie przestępstwo popełnione u nas polega na zabiciu Heleny...?

— E tam. Mówiłem przecież, że rozmawiam tu z panią prywatnie. Wedle wersji oficjalnej ta cała Helena zginęła w katastrofie, obrażenia wewnętrzne, nawet profanacji nie ma, bo głowa jej się sama oderwała. Trochę w tym brak logiki, na co jej obrażenia przy głowie i odwrotnie, ale kto tego będzie dochodził? Prawdziwy Libasz natomiast, doskonale wiemy, że sam z siebie nie umarł, ale co z tego? Zabił się na drzewie. Może koło prawe przednie, ostro leciał, pożar, co tu można stwierdzić? Guma się spaliła.

— Posługiwanie się cudzymi dokumentami... — podsunęłam z nadzieją.

— A owszem, karalne. Ale kota ogonem wykręcić zawsze można. Grzywna, zawieszenie, afekt, zakochali się w sobie na śmierć, Libaszowa i Sprzęgieł, i małego rozumu od tego dostali, pani myśli, że ja tak sam z siebie? A skąd! Pani prokurator mówiła do mnie i jej słowa powtarzam. Willę buduje.

— Kto?

— Pani prokurator. Uczucia wyższe bardzo sobie ceni.

— O Jezu...

Kapitan sposepniał mocno, wypił piwo i znów się nieco rozpogodził.

— Powiem pani szczerze, gdyby nie to, że cały kant obja się o Amerykę, wszystko by się im upiekło. A ten pani były... no, ten ostatnio Heleny... cały szwindel miał w małym palcu, wiedział o nim od początku do końca, Sprzęgieła trzymał na widelcu, na co cze-



kał, do cholery? Dobra, niech będzie, dowody pogubił, ale bodaj mógł puścić swąd. Coś by z tego wynikało, dlaczego milczał, do pioruna, dopiero teraz powiedział co wie, i też, można powiedzieć, prywatnie. Nie do protokołu i nie dał się nagrać.

— Nie taki on głupi, jak by się wydawało — mruknęłam. — Doskonale wiedział, że latanie do panów z donosem tyle by pomogło, co umarłemu kadzidło. Ja nie wiem, może on w ogóle czeka na unormowanie sytuacji przestępczej? Aż cała góra rządowa poniecha kantów, kodeks karny się zmieni, a ruską mafię całkowicie diabli wezmą?

Kapitan przyjrzał mi się z wielką uwagą.

— Pani wierzy w taki cud?

— Nic na świecie nie trwa wiecznie. Nawet sam świat ma doczekać swojego końca. Myśli pan, że koniec świata nastąpi, a mafia nadal będzie kwitła?

— A cholera ją wie...

— A otóż nie — powiedziałam uroczyście i w natchnieniu. — Ludzki żywioł to straszna siła. Ludzie się w końcu zdenerwują i tak jak niegdyś Dziki Zachód, ruszą osobiście. Bardzo liczę na młodzież spragnioną rozrywki, staruszki ze świeżo odebraną emeryturą przestaną im wystarczać, równie dobrze, a znacznie korzystniej można napadać mafiozów. Polak ma swoje ambicje, szczególnie jeśli nic, poza ambicjami, nie posiada. Trzeba się tylko do tego trochę przygotować...

Kapitan popatrzył na mnie tym razem ze zgrozą. Potem obrócił wzrok ku oknu. Musiałam przynieść trzecią puszkę piwa, żeby go wreszcie odblokowało.

— Pani już nic nie grozi — powiedział i doznałam wrażenia, że dźwięczy w tych słowach jakby odrobina żalu. — Połapali się wreszcie, że od pani powinni byli trzymać się z daleka. Teraz już pani nie zdoła im zaszkodzić, nawet gdyby napisała pani i opublikowała całą epopeję o przestępczości. No, chyba że zacznie pani agitować tę młodzież...

— Nie zacznę — zapewniłam go solennie.

Jakiś szczątek zgrozy ciągle był w nim widoczny, ale wydało mi się, że wyszedł ode mnie nie bardzo przygnębiony...

\* \* \*

Błąd policji, który zrujnował mi przedpokój, okazał się zgoła bezcenny. Oficjalnie, co prawda, nikt nie zamierzał mi niczego rekompensować, sama też się nie upierałam przy odszkodowaniu, ale kapitan Borkowski wciąż miał prywatne wyrzuty sumienia. Niepewny, na ile może im dać ujście, sprawdził moją przeszłość.

Kiedy wyszło na jaw, że ta przeszłość sprawdzana już była Bóg wie ile razy, doznałam ulgi. Zajęto się nią dawno temu nie dlatego, że popełniałam przestępstwa, ale wręcz przeciwnie, udzielono mi zezwolenia na udział w dochodzeniu i wożono mnie nawet radiowozem do trupa. Później wystarczył sam fakt, że przez parę lat wytrwałam przy boku prokuratora, też należało o mnie wszystko wiedzieć. Następnie wyskoczy-

ła kwestia paszportu, chciałam wyjeżdżać bez zaproszeń, półroczną batalię wygrałam, ale, rzecz jasna, przesiano mnie przez gęste sito. Nie było siły, okazałam się jednostką praworządną, żyjącą w zgodzie z kodeksem karnym i żadnego zagrożenia stanowić nie mogłam. Wszystko wskazywało na to, że także nie chciałam.

Zwyczajny obywatel, który ciągle mówi prawdę i nie próbuje łąć, niechby nawet z głupoty, to jest rzadki cymes. Kapitan pozwolił sobie pójść rozpędem i ujawnił przede mną różne dodatkowe szczegóły z doznaniem własnym włącznie. Nowakowski, raz rozpuściwszy gębę, nie zachował już żadnego umiaru i walił zgoła tropikalną ulewą, zuchwale i bezczelnie pewien, że nikt mu nic złego nie zrobi.

Jasne, że chciałam wiedzieć wszystko, korciły mnie przy tym rozmaite detale, w tym uczucia Miziutka. Z pewnością łatwiej mogłam zrozumieć jej wewnętrzne potrzeby niż mechanizmy kanciarskiego biznesu, podejrzewałam przy tym, że nasze losy ułożyły się podobnie co najmniej w jednej dziedzinie i myśl ta nie wydawała mi się zachwycająca.

Kapitana czujnie trzymałam pazurami, on zaś nawet bardzo nie protestował. Kontakt osobisty z przesłuchiwanym padalcem odpadał, nie miałam nań ani szans, ani chęci, na szczęście jednak istniały urządzenia techniczne. Dostałam taśmę i mogłam ją sobie użytkować do upojenia.

— Moja prywatna własność — powiadomił mnie kapitan sucho. — Materiał pomocniczy. Proszę bardzo, chce pani, niech będzie.

Oficjalne informacje o katastrofie Sprzęgieła zdobyłam już wcześniej. Jej świadkami byli jakoby państwo Libaszowie osobiście. Jechali sobie spokojnie malowniczą szosą z Rawy Mazowieckiej na Grójec i Piaseczno, kiedy znienacka wyprzedził ich szaleniak, który grzał co najmniej sto osiemdziesiąt i nie zmieścił się w zakręcie. Mokra była, wyniosło go poślizgiem, rąbnął w drzewo, kiedy nadjechali, już się palił. Gdyby to była prawda, Sprzęgieł musiałby zwariować albo jechać po pijanemu z przerwą w życiorysie, trasa z Rawy Mazowieckiej przez Grójec całkiem niezła, ale do autostrady jej daleko, wąska i dosyć kręta. Zeznania przyjęto jednakże bez żadnych podejrzeń, bo niby dlaczego dwoje eleganckich cudzoziemców w średnim wieku miałyby łąć w tak prostej kwestii. Miejscowe gliny cieszyły się głównie z tego, że obydwój mówią po polsku.

Teraz. Nowakowski wyjawiał prawdę. Jak Miziutek nakłonił Renuś do owej podróży, twierdził, że nie wie, ale wie, że Sprzęgieł go załatwił. Spotkali się, Renuś dostał w łeb, samochód z nim w środku bez wielkiego trudu udało się zepchnąć z szosy i wbić na drzewo, a podpalenie stanowiło miętę z bubrem, Miziutek osobistego udziału w tym nie brał, taktownie stał tyłem i patrzył, czy nie nadjedza niepożądany świadek. Z dokumentami kłopotu nie było, bo Renuś, na życzenie małżonki, przyjechał już obrośnięty i podobizny miał z brodą, a Sprzęgieł tę brodę zaczął zapuszczać odpowiednio wcześniej. Wymienili się bezproblemowo.

Z tąśmy dało się wywnioskować, że Nowakowski Miziutka nie lubi, a Sprzęgieła boi się panicznie. Obaw nie krył wcale, przeciwnie, nawet je podkreślał, sam niewinny jak dziecko, uczestniczył w tej machinacji ze strachu, nerwicy w ogóle dostał.

— I już sobie kombinuje wariackie papiery — powiedział w tym miejscu kapitan zaraz jadownicie i melancholijnie.

— Bystry chłopiec...

— Użyteczny był, bo przecież on z branży i pełną wiedzę o dochodzeniu posiadał na bieżąco. A co do tej brody, to wystarczy jak ją zgoli. Widziałem ich zdjęcia, bez brody Sprzęgieł i Libasz przestają być tacy podobni do siebie, inny układ szczęki, inne usta i zęby...

Przez moment wydawało mi się, że kapitan mówi o brodzie Nowakowskiego, który całe życie spędził gładko ogolony i poczułam się zaskoczona. Nie, jednak Sprzęgieł wypełniał go całkowicie.

— I myśli pani, że mu coś zrobią? Wcale nie udawał Libasza, posługiwał się jego nazwiskiem jako pseudonimem ze względu na firmę, pseudonimy nie są zakazane. Jedyne, co mu może zaszkodzić, to ten amerykański spadek, ale też forszą załatwi, nie miejmy złudzeń...

Zaczęłam mieć tego całego Sprzęgieła po dziurki w nosie. Tęsknie pomyślałam, że może go ktoś trzaśnie, tylu ludziom się ponarazał, między innymi mnie, ale sama nie pchałam się specjalnie do mokrej roboty. Wolałabym, żeby ktoś inny...

Kapitan kontynuował zwierzenia.

— Nie wyszło im najlepiej, bo jednak forszę stracą, będą musieli odbijać, a w naszej dżungli zaczyna się robić trochę ciasno. Stany im też odpadły, tyle mojego. No, z drugiej strony ja w tym interesie wyglądam najlepiej, zwłoki bez głowy zidentyfikowane, sprawy nie ma, bo oficjalnie zawiniła katastrofa, a ten, który ją spowodował, nie żyje. Sprawa rozwikłana i mówiłem pani, dostałem pochwałę. Cha, cha. Szlag żeby to trafił. A tak między nami, dobrali się jak w korcu maku, ciekaw jestem, które z nich gorsze, Sprzęgieł czy ta jego żona? Zaraz, jaka żona, wdowa po Libaszu, też jest w porządku, brali ślub, nazwisko nosi prawnie i zdaje się, że własną ręką nie zabiła nikogo...?

Jęknęłam. Zaczynałam mieć dosyć także i Miziutka. Kapitan miał rację, nie było dla niej paragrafu.

— Może chociaż karalne jest ukrycie śmierci męża? — spytałam beznadziejnie.

— Siedzieć za to nie pójdzie, najwyżej wyłoży jeszcze parę złotych. Szczerze mówiąc, nie znam dokładnie kodeksu cywilnego. Pani się z nią przyjaźniła, co...?

Popatrzyłam na niego ponuro, podniosłam się z fotela i poszłam po kolejną puszkę piwa. Mieliliśmy wielką szansę wpaść w łagodny alkoholizm...

Głupia suka. Spaskudziła mi całą drugą połowę życia, a potem jeszcze wdarła się pod koniec. Żeby ona pękła.

Z wydarzeń aktualnych darowałabym jej właściwie wszystkie, nawet te okropne pie-repały z głowami, z wyjątkiem nogi. Nogą mnie ustrzeżiła dennie, co za pomysł kretyński, zatrąła mi życie, zmarnowała wycieczkę po Francji, z dwiema nogami nie wróciłabym przecież, głowę Heleny upchnęłabym w jakimś zamrażalniku... A, prawda, głowę mi ukradli, na litość boską, czy wreszcie pozbędę się tych głów...?!

Przedawnionego świństwa darować nie mogłam.

Grzegorz nie był kretynem nigdy, nawet we wczesnej młodości. Kobiety zawsze uważał za ludzi. Inna płęć, co miało swoje powaby, ale zarazem cechy podobne męskim, jakiś umysł, ustrojstwo pod ciemieniem działające mniej więcej tak samo, gdzieś nieco niżej rozmaite uczucia, upodobania i predyspozycje, może odmienne, ale wartościowe. Gumowa lalka do łóżka byłaby chyba ostatnią rzeczą, jaką zgodziłby się zaakceptować. Oczyma duszy widziałam go po końcu świata, na bezludnej wyspie... o mój Boże, a niby jaka miałyby być ta wyspa, jeśli ludzkość diabli wzięli... ze wstrętem w taką lalkę wpatzonego. Eksperymenty mógł czynić, dlaczego nie, wynając sobie dwie kolorowe prostytutki gdzieś tam, w jakimś Hong Kongu... Nie stanowiły sensu życia, tyleż samo miały znaczenia, co chińska potrawa w knajpie, złożona głównie z pędraków. Człowiek chce spróbować, niech mu będzie.

Własną kobietę natomiast traktował jak człowieka. Partnera życiowego, nie przeciwnika, nie darmową obsługę. Przyznawał jej pełnię praw takich samych jak sobie. W gruncie rzeczy łatwo było wspólnie z nim egzystować, o ile samej nie prezentowało się poziomu umysłowego wyjątkowo głupiej krowy i charakteru wyjątkowo złośliwej małpy. Mogłam chyba spędzić z nim życie, urozmaicone i barwne...?

Miziutek mi to odebrał. O nie, nie życzyłam jej dobrze.

Jej się udało wszystko. Wyjechała na saksy, jak chciała, pracę dostała przy mojej pomocy... Pozbyła się pierwszego męża, który poza granicami kraju do niczego nie był przydatny, bo profesjonalnie zajmował się literaturą polską XVIII wieku, dopadła wzbogaconego Rensia, poganiając go nahajem ruszyła na podbój kontynentu za Atlantykiem, wymieniła go potem na ulubionego, acz nieco może kompromitującego amanta z młodości, prosperowała zwyczajnie i bez skrupułów... Ja zaś miałam same kłopoty, porzucano mnie lub też byłam zmuszona sama porzucać niewydarzonych partnerów życiowych, a do tego straciłam Grzegorza. Dzięki tej zoźzie.

Wyobraziłam sobie, co by było, gdybym jednak, mimo wszystko, przyjechała do Paryża we właściwej chwili. Zgnębiona, wściekła, bez pieniędzy, zajęta głupkowatym ratowaniem nieudanego związku, bliska dna... Biłabym się z nią o to moje, scedowane na nią, miejsce pracy...? W zawodzie, co tu ukrywać, była zdolniejsza ode mnie, nikt by nie

wolał mnie od niej, poszłabym zamiatać ulice...? Już widzę zachwyty Grzegorza na widok facetki z miotłą i śmietniczką na długim drągu, cenił wartości wewnętrzne, które powinny ujawniać się jakoś inaczej... No dobrze, założmy, że natknęłabym się na niego bez miotły w ręku, stan naszych uczuć był w tym momencie podobny, padlibyśmy sobie w objęcia bez chwili wahania. Dorwałabym jakąś normalną robotę chociażby z nim razem, okazałoby się, że o moim talencie lepiej nawet nie wspominać, rozczarowałby się...? Głupio... Pisałabym książki...? Chyba tak. Może artykuły i felietony, może pracowałabym na dwa fronty, a co tam, jednostka pracowita zawsze robotę znajdzie, zostałabym już w tej Francji, mieszkałabym już od lat w willi na peryferiach Paryża, ozdabiałabym nasz wspólny dom, bo to owszem, umiałam, moim głównym problemem byłby własny wygląd zewnętrzny, podwiązki, niech je piorun strzeli, nosiłabym skolko ugodno. I kapelusze. Zakryłyby przynajmniej moje cudowne uczesanie, Jezu Chryste, a ileż bym miała udręki z tą cholerną głową...?!

Jednak, mimo wszystko, Grzegorz wart był nawet głowy...

Bierz diabli głowę, podwiązki i kapelusze, na Grzegorz mi zależało, jemu na mnie chyba też, wzajemna tolerancja, przystosowanie się do siebie, dałoby się razem żyć. Objechałabym z nim pół świata, bo zlecenia miewał wszędzie, no dobrze, sama objechałam ćwiartkę, ale z nim byłoby mi przyjemniej...

Oczyrna duszy ujrzałam nagle nas, jak dwie osoby na ekranie, w Tropicanie na Kubie, na plaży w Andaluzie w Algierii, na Hawajach... nie, na Hawajach broń Boże, za dużo tam pięknych dziewczyn, ale w drodze na Nordkapp, na wyspie świętego Edwarda, w Kalkucie, w Tokio i może akurat nie byłoby tam trzęsienia ziemi... Ale mogliby nas napaść egzotyczni bandyci w Ameryce Południowej, doskonale umiem strzelać, a Grzegorz fechtuje się świetnie. W każdym razie fechtował się w młodości i chyba mu to nie przeszło...? Zwyczajnie w Nicei, w apartamencie z widokiem na morze...

Ujrzałam siebie przy jego boku i nagle wyraźnie poczułam, że to byłoby szczęście. Obojętne gdzie, w komórce na króliki pod Małkinią Górną. Obojętne jak długo, niechby chociaż kilka lat. Grzegorz i ja, razem, jako jednostka rozliczeniowa... Słowo „my” dotyczyłoby nas.

Miziutek mi to odebrał.

Moje uczucia do niej przekroczyły wszystko. Nie byłabym w stanie nawet na nią popatrzeć, nie wspominając o czymś takim jak rozmowa, względnie zabicie jej, bodaj na odległość. Podpalenie jej domu... Wykluczone! Nogi by mi odpadły, gdybym się miała zbliżyć, paraliż by mnie tknął, gdybym miała jej dotknąć. Prędzej udusiłabym się na śmierć, niż do niej odezwała.

Uświadomiłam sobie nagle, że temat Minutka załagał się we mnie nie bez celu. Zamierzałam pomyśleć, czy nie udałoby się zrobić jej coś złego. Otóż nie. Nie ja. Nie tknę sprawy, niech się udławi swoim Sprzęgiełem, swoim Renukiem świętej pamięć-

ci, swoim majątkiem, swoim życiorysem i swoją niezniszczalną urodą. Mógł sobie Grzegorz gadać o nadgryzieniu zębem czasu, Miziutek należał do kobiet, których czas się nie ima, nie miała skłonności do tycia i dobrze trzeba było się przyglądać, żeby dostrzec różnicę trzydziestu lat. Wiek ujawnia się w kilogramach...

Siedziałam spokojnie na tyłku, patrzyłam w okno i nienawidziłam jej z całego serca...

\* \* \*

Relacji kryminalno-śledczej Grzegorz wysłuchał z wielkim zainteresowaniem.

— Wynika z tego, że od ciebie się odczepią?

— Z pewnością. Mają drobne kłopoty, z którymi nie mam już nic wspólnego. Czepianie się mnie mogłoby im tylko zaszkodzić.

— Chwała Bogu. Jak wyglądasz z nogą?

Prawie zdziwiłam się pytaniem, bo o nodze zdążyłam zapomnieć.

— Doskonale. Po schodach schodzę jak człowiek i ona o sobie przypomina tylko w wyjątkowych przypadkach. Ten ortopeda był genialny, miał rację, nic nie robić i spokojnie poczekać. Za miesiąc będę mogła tańczyć.

— Także przyjechać tutaj?

Pomilczałam chwilę z nadzieją, że moje milczenie brzmi potężniająco.

— Jeszcze z półtora tygodnia warto by przeczekać. A zwracam ci uwagę, że zaraz potem nadejdzie sierpień. Sierpień w Paryżu już przeżyłam i dziękuję za więcej. Pozwolisz, że ewentualny przyjazd przesunę na wrzesień?

— W pełni, bo w sierpniu ja też muszę wyjechać. Moja żona...

— No więc właśnie! Co z twoją żoną? Nie pytałam, bo chciałam być taktowna. Cholera. Że też różne osoby są taktowne z natury, a ja się muszę wysilać...!

— Co ty powiesz? — zdziwił się Grzegorz i wyglądało na to, że szczerze. — Zatem wysilasz się dość skutecznie, bo nie zauważyłem z twojej strony żadnych nietaktów. Co do mojej żony, to bioterapeuta był tu dopiero ostatnio, przedwczoraj, wcześniej nie mógł, przesuwał wizytę. Trochę pomógł, zdaje się, że ku własnemu zdumieniu. Pełni sił ona już nigdy nie odzyska, ale powiedzmy, że jest z nią mniej źle. Z wielkim naciskiem udzielił jednej cudownej rady, mianowicie sanatorium w Szwecji. Istnieje takie, bardzo specjalistyczne i cholernie drogie, nie szkodzi. Trzy miesiące w tym sanatorium może poprawić stan, mam ją tam ulokować z osobą towarzyszącą. Czy ty możesz sobie to wyobrazić? Pojedzie z nią kuzynka.

— Kiedy? — spytałam żywo, mogąc to sobie wyobrazić doskonale.

— Właśnie w sierpniu. Odwiozę je, zostanę ze dwa tygodnie i pod koniec miesiąca wracam.

Nie były to, rzecz jasna, te wszystkie Copacabany i Andaluzy, ale jednak. Paryż, cudowne miasto, o ile akurat nikt w nim nie strajkuje, a nawet jeśli, niech go diabli biorą, niech strajkuje ile chcąc, nie wybieram się tam do pracy. Dwa miesiące z Grzegorzem...

— Nie wiem, jakie są twoje konkretne chęci i zamiary — powiedziałam ostrożnie. — Ale z przyjemnością sprawdzę, czy nie zaszkodziłaby nam taka rozszalała swoboda. Ryzyk-fizyk. Bo może...

— Przestań się wygłupiać. Nastaw się na wyjazd, zadzwonię natychmiast po powrocie i liczę na to, że nie będę musiał czekać dłużej niż trzy dni...

Ni z tego, ni z owego, ledwo odłożyłam słuchawkę, załęgły się we mnie obrazy odwrotne. Przez kilka ostatnich lat przywykłam do pełni swobody i samotnej, niczym nie skrupowanej egzystencji. Mogłam gęby nie otworzyć, jeśli mi się nie chciało, mogłam jeść w najdziwniejszych porach albo nie jeść wcale, przy jedzeniu czytałam książki i bez lektury pożywienie mi szkodziło, mogłam się czesać na zasadzie machnięcia grzebieniem, tylko po to, żeby uniknąć kołtuna, mogłam pracować w chwilach dowolnych, mogłam wychodzić z domu i wracać o wschodzie słońca, pies z kulawą nogą nie miał prawa pytać gdzie byłam, mogłam roztrwonić wszystkie pieniądze, przegrać je na przykład na czymkolwiek i żyć później chrupkim chlebkiem i zapasem herbaty, posiadanej w domu, mogłam poodrywać sobie wszystkie guziki i nie przyszyć żadnego, mogłam po sobie nie zmywać i po sufit zapchać zlewozmywak brudnymi naczyniami, mogłam otwierać okna, ile mi się podobało, robić przeciągi, nie gasić światła, zawalić stoły i krzesła papierami, nie czytać korespondencji...

Mogłam wszystko.

Grzegorz zaś przywykł do kobiety w domu. Innymi słowy, do drugiej osoby, z którą trzeba się liczyć. Porządniejszy był ode mnie, nie lubił bałaganu, jadał jak normalny człowiek i zachowywał się przyzwoicie. Przy nim musiałabym jednak również unormować się jakoś... Oczyma duszy ujrzałam nas razem o poranku. O poranku lubię milczeć, nie trawię żadnych konwersacji, usiąść nad szklanką herbatki z książką przed nosem, bez pośpiechu przygotować się do całodziennego egzystencji. Jak długo on by to wytrzymał...? Zatem nic z tych rzeczy, głos z siebie wydaję, biorę udział w przyrządzeniu śniadanka, żadnej książki, może nawet muszę coś zjeść. No, croissanty to można zjeść zawsze. Zaraz, ale skąd się wezmą te croissanty na śniadanie? Same przyjdą? Grzegorz będzie po nie latał do sklepu? Nie przyszło mi do głowy spytać go, czy lubi taką poranną gimnastykę...

Może zresztą w kraju od dawna cywilizowanym podrzucają to na progu razem z mlekiem i gazetami, czort bierz, takie rzeczy daje się zorganizować. Ale później jest lunch, a mnie się akurat świetnie pracuje, w nosie mam żarcie, albo on jest zły, albo ja się łamię i jestem wściekła, potem obiad, co, u diabła, robimy z obiadem? Mam go ugotować? Nie chce mi się, ale trudno wiecznie żywić się po knajpach! Poza wszystkim pracuję w domu, Grzegorz w biurze, kto ma wrzucić przepierkę do pralki jak nie ja? Elementarna przyzwoitość ma swoje wymagania...

Powymyślałam tyle sytuacji w ogóle nie do przyjęcia i okropieństwa tak potężne, że omal nie zadzwoniłam do niego z gniewnym komunikatem, że mowy nie ma, nie przyjeżdżam! Zatrujemy sobie życie do tego stopnia, że wspominać się będziemy ze wstrętem, w tym wieku kojarzyć się należy, jeśli jedna osoba w samotności obciąga pół litra, a druga płacze rzewnymi łzami. W dodatku, czy ja wiem, a może zrobi mi się na tyłku pryszcz, którego wolałabym nie ujawniać przed światem? Wysiłki, jakie stają się udziałem poszkodowanej na urodzie kobiety, starającej się ukryć mankament przed ukochanym mężczyzną, były mi znane aż za dobrze, nie miałam na nie najmniejszej ochoty. Jeszcze w młodości, niech będzie, ale w sile wieku...?

Opamiętałam się w ostatniej chwili, a już trzymałam rękę na słuchawce. Na szczęście uświadomiłam sobie, że skończyły się godziny pracy i Grzegorz właśnie jedzie do domu. Postanowiłam jednak się przemóc, zaryzykować i popatrzeć, co z tego wyniknie...

\* \* \*

Już był sierpień, Grzegorz kotłował się z żoną w Szwecji i na telefon od niego nie było szans. Udałam się na Mazury i po tygodniu wracałam.

Deszcz zachowywał się niezdecydowanie. To padał, to mżył, to ustawał, chwilami nawet chmury rzedły tak, że przeświecało przez nie słońce i w jednym z takich momentów nie wytrzymałam. Zatrzymałam samochód i wlałam do lasu.

Nie miałam pojęcia, gdzie akurat jestem, nie interesowało mnie to, bo zajęta byłam myślą o grzybach. Po ostatnich deszczach musiały rosnać, Mazury w ogóle są grzybne, a las aż korcił. Mieszany, gęsto przetykany brzożami, ciągnął ku sobie i zachęcał. Kozaki, może nawet czerwone, może prawdziwki...

Szosa, kompletnie pusta, wiodła nad jakimś jeziorem, które w jednym miejscu podeszło tuż blisko i właśnie zaraz obok było miejsce na parking. Wjechałam odrobinę, tyle tylko, żeby usunąć się z szosy i od razu zawróciłam, ustawiając się przodem do wyjazdu. Przeleciałam się kawałek, noga zrosła mi się już dawno i nie stawiała przeszkód, żadnych grzybów nie znalazłam, to znaczy owszem, było mnóstwo takich, których nie zbieram, na upragnione kozaki i prawdziwki jednakże nie trafiłam. Przeszłam na drugą stronę, rozejrzałam się, westchnęłam ciężko i zaczęłam wracać do samochodu.

Na skraju lasu zatrzymałam się, bo jechał jakiś samochód. Dwa samochody, jeden za drugim. Ostro leciały, za ostro jak na tę mokrą jezdnię...

Tyle zdążyłam pomyśleć, reszta stanowiła przerażone okrzyki wewnętrzne. Ten drugi wyprzedzał, w moich oczach wyskoczył do przodu i rąbnął pierwszego w lewy przedni błotnik tak, że w mgnieniu oka zepchnął go z mokrej jezdni. Nie zwolnił nawet, dmuchnął przede mną i pognał dalej. Dostrzegłam numer, jakiś kawałek umysłu zdołał go zapamiętać, WYJ, słusznie, tylko wyc nad takim, 3244. Rąbnięty skokiem zjechał z szosy na łagodny stok nad jeziorem, nie przewrócił się, kierowca musiał hamować od-



ruchowo, zatrzymywały go krzaki jałowca, zastygł na ostatnim, tuż nad samą wodą, do której zostało mu ze trzy metry stromo schodzącego brzegu. Huk uderzenia jeszcze niosło po lesie.

Nie leciałam tam na piechotę, rzuciłam się do samochodu, wyprysnęłam z lasu i podjechałam te pięćdziesiąt metrów. Wsiadłam, popędziłam do poszkodowanego mercedesa.

Stał... nie, nie stał, kiwał się nad prawie pionowym spadkiem, utrzymywany wyłącznie przez jeden krzak jałowca pod przednim zderzakiem. Tylne koła ześlizgiwały się po odrobinie. Jezioro w tym miejscu było głębokie, dno leciało w dół równie stromo, jak ten ostatni kawałek brzegu. Kierowca siedział w środku, jeśli nie wyjdzie, utopi się razem z samochodem, a nie wyjdzie, bo każdy ruch może zepchnąć pudło do wody, chyba że jednym skokiem. Drzwi ma zamknięte, już samo otwieranie wystarczy...

Stwierdziłam tę cudowną sytuację jednym rzutem oka, z bliska i uważniej popatrzyłam na kierowcę i zamarło we mnie wszystko. To był Miziutek.

Stałam jak przydrożny słup telegraficzny i przyglądałam się jej. Siedziała nieco przechylona, wsparta o zagłówek i nieprzytomna. Musiała przy tym pierwszym miotnięciu dostać w głowę, rąbnęła się ramą okna. Silnik zgasł, nogę na hamulec przenieść zdążyła, drugiej nogi na sprzęgło już nie. Skamieniała dokładnie, patrzyłam na nią i nie wierzyłam własnym oczom.

Na głowie miała perukę idealnie w kolorze własnych włosów, ta peruka jej się przekrzywiła, zjechała na bok i do tyłu, pod nią zaś widać było coś, co zaparło mi dech w piersiach.

Miziutek był łysy.

Nie całkiem tak jak Yul Brynner, ale prawie. Na gołej skórze głowy rosły gdzieś pojedyncze włoski, razem było ich może z piętnaście sztuk. Różowość skóry pogarszała wrażenie, i tak już okropne, nasuwała myśl o młodym prosiątku. Nie, stanowczo urody jej ta łysina nie dodawała.

Czulałam wyraźnie, jak ogarnia mnie upojenie szczęściem. Nareszcie jakaś klęska Miziutka, nareszcie coś, co powinno zatruwać jej życie jeszcze bardziej niż moja głowa mnie. Nareszcie coś, co pasuje do moich uczuć ku niej!

Triumfalne pienia grzmiały mi w anatomii. Z pewnym wysiłkiem uruchomiłam umysł, ruszył wolno, ale błyskawicznie nabrał rozpędu. Mercedes wisi nad głębią, za parę chwil Miziutek się utopi i będę ją miała z głowy na zawsze. Nic jej nie zrobiłam, a otóż proszę, zrobiło się samo, kara boska. Nawet wyrzuty sumienia mnie ominą, bo szlachetnie mogłabym ją ratować, ale choćbym tu pękła z tej szlachetności, nie dam rady. Jeśli zacznę ją wyciągać, samochód polecą, straciła idiotka przytomność i nie pomoże w tej akcji. Jednym szarpnięciem wyrwać jej nie zdołam, nie jestem gorylem, a do wody za nią nie skoczę, bo wtedy utopimy się obie. Przepadło...

Następny ułamek sekundy sprawił mnie we wściekłość. Wyszło na jaw takie cudowne zjawisko, Miziutek łysy, sama frajda, dużo mi teraz przyjdzie z jej łysiny, z pewnością pochowają ją w peruce. I dla niej też niezłe wyjście, łysy łeb zatruwa życie, a nie rozkosze rajy na tamtym świecie, nie odcierpiała swojego, umrzeć, o nie, to za łatwo? Nie zgadzam się!

Skąd ona się tu w ogóle wzięła? Powinna się właśnie użerać z kodeksem karnym Stanów Zjednoczonych, a nie wojażować po Mazurach, Grzegorz miał rację, parę złotych i już skrzydełka nam furkocą. Nie chcę, niech jej furkocą na łysym łbie, a otóż właśnie nie popuszczę, nie będę beczynn timer patrzeć, jak Miziutek wygrywał.

Furia wzmogła moją podupałość bystrość, ruszyło mnie. Oceńmy kwestię konstruktywnie. Szosa ciągle pusta, nic nie jedzie, po jeziorze nikt nie płynie, a zresztą i tak bym się do niego nie darła, żeby nie spowodować jakiego wstrząsu. Mercedesa dotykać nie należy, jedyna szansa to pociągnąć go do tyłu. Podholować przynajmniej na ten kawałek łagodnego stoku, tam już się utrzyma, a bodaj przyczepić do czegoś, żeby nie obsunął się dalej. Hol, zdaje się, mam...

Ostrożnie wycofałam się ku górze i rozpoczęłam zabiegi. Furia przeistoczyła się w energię. Mercedes Miziutka miał z tyłu hak do holowania przyczepy, ułatwiało to sprawę. Ustawiłam swój samochód w poprzek na poboczu, jak najbliżej tamtego pudła, wyciągnęłam z bagażnika linkę, delikatnie, wstrzymując dech, założyłam pętlę na jej hak. Deszcz znów zaczął mżyć, mercedes drgnął i gibnął się, zamarłam na czworakach. Nie, jednak się utrzymał... Wróciłam do toyoty. Nie miałam teraz ani czasu, ani serca do ustawiania znaków drogowych, uczyniłam rozpaczliwe założenie, że może nikt nie będzie pruć jak szalenciec po tej mokrej szosie i nie nadzieje się na mnie w trakcie manewrów. Co za cholera w ogóle, jak nie potrzeba, jadą istną procesją, a jak potrzeba, żywego ducha nie ma! Gdzie ja to mam zaczepić u siebie...?

W życiu nie czołgałam się pod samochodem i nie podczepiałam holu, zawsze to robił jakiś chłop. Idiotka cholerna, musiała się tak urządzić akurat tu, gdzie żadnego chłopca nie ma, niechby chociaż ruska mafia, ileż było gadania, że oni w tych rejonach napadają, a niechby napadli, proszę bardzo, ręcznie by ją wypchnęli, prawie nowy mercedes! Nic z tego, nawet mafii ani śladu.

Macając rozpaczliwie własny samochód od tyłu pod spodem, pomyślałam, że Miziutek uda się do jeziora akurat w momencie, kiedy mnie się uda przymocować do niej. Toyota stoi na biegu i na ręcznym hamulcu, ale jest znacznie lżejsza, tamto pudło ją pociągnie. Jeszcze i mnie przejedzie, bo mogę nie zdążyć wyleźć spod samochodu. Zmrożona nieco tą myślą, domacałam się jakiegoś poprzecznego elementu, diabli wiedzą, co to było, ale udało mi się przewlec przez to linkę, skróciłam ją, ile mogłam, prawie do stanu naprężenia.

Wyprostowałam się ostrożnie, jakoś nie przejechała, i nieufnie popatrzyłam na całe ustrojstwo. No tak. Nieprzytomny Miziutek kiwa się na zdychającym krzaczku jałowca tuż nad stromą skarpką, ja zaś mam przed sobą dziesięć metrów, dziewięć jezdni i metr pobocza, wszystko to mokre i śliskie, zwis linki dokłada jeszcze ze trzy czwarte metra, a muszę ją wyciągnąć chociaż na równiejszy kawałek, też nachylony, tyle że znacznie łagodniej. Z tego równiejszego kawałka jeszcze może zjechać, pociągnie i mnie, zatem co, zostaniemy tak na zawsze, przyczepione do siebie, ona z jednej strony szosy, ja z drugiej, chyba że zjadę do rowu, bo tam jest rów. A cholera ją wie, może i z rowu mnie wlecze...

Otrząsnęłam się z okropnych wizji. Uświadomiłam sobie, że szosy jest więcej niż odległości do Miziutka. Na upartego wyciągnę ją może aż na pobocze. Ryzyk-fizyk, zaczynamy.

Ten jej parszywy mercedes ważył chyba z dziesięć ton. Licznych prób dokonywać nie mogłam, musiałam ją pociągnąć za pierwszym kopem. Dokitowałam zdrowo, ruszyłam powolutku, poczułam okropny ciężar z tyłu, spociałam się ze zdenerwowania, toyota wytrzymała, pomyślałam, żeby trochę skosem...

W lusterko ośmieliłam się spojrzeć dopiero na przeciwległym poboczu. Mercedes Miziutka wylazł na górę, ale przednie koła miał jeszcze na zboczu, co za cholera jakaś, matematyka nawaliła...? A, prawda, nie wzięłam pod uwagę długości obu samochodów...

Niepewna, czy nie przeważy jej do przodu, wahając się przed wjazdem do rowu, trzymając naprężoną linkę, półprzytomna niemal, siedziałam w samochodzie tak długo, aż nadjechał jakiś polonez. Obie znajdowałyśmy się na skrajach szosy, ona z jednej strony, ja z drugiej, pomiędzy nami linka, słabo widoczna, pozornie dużo miejsca na przejazd i zdążyłam się zastanowić, co będzie, jeśli polonez się w tę linkę wrąbie, ale jednak nie, przyhamował, bo stałyśmy w dosyć dziwnych pozycjach. Zatrzymał się. Po chwili kierowca wysiadł i podszedł do mnie. Mężczyzna. Duży i w wieku ze wszech miar pożądanym.

Naprawdę nie wiedziałam, co do niego powiedzieć. Na szczęście on zaczął.

— Coś się stało?

— Stało, i dzieje się nadal, sam pan widzi.

Obejrzał wszystko, podszedł do mercedesa, wrócił do mnie, otworzył usta, ale go ubiegłam.

— Ratunku, proszę pana. Ten mercedes wlatywał do jeziora, widziałam, jak to było, wyciągnęłam go, ale boję się puścić, bo może znów zjedzie. Niech pan go czymś podeprze albo co. Niech pan chociaż sprawdzi, czy już się trzyma! Panie, ile czasu ja mam tutaj stać na hamulcu?!

Z poloneza wysiadła facetka i poszła oglądać Miziutka. Obejrzała i przyleciała do mnie.

— Jezus Mario, tam ktoś jest! Żyje? To kobieta czy mężczyzna?

— Żyje, żyje. Widziałam, jak oddycha, ale teraz jestem unieruchomiona. Niechże państwo coś zrobią, może podłożyć jaki pień pod tylne koła, może popchnąć?

— Jak to, mnie się zdawało, że kobieta — powiedział równocześnie facet.

— Ale łysy, to chyba mężczyzna...?

— Co za różnica, ratować trzeba...

Nagle, ni z tego, ni z owego, zrobiło mi się żal Miziutka. Zgłupiałam chyba, po to ją przecież wyciągałam z toni, żeby ta jej łysina rozeszła się po świecie, a teraz co? Diabli nadali, poszłabym naciągnąć jej tę perukę na łeb, gdybym mogła opuścić samochód, co za ludzie, psiakrew, latają tam i z powrotem i ustalają jej płeć, zamiast coś zrobić.

— Niech pan ustabilizuje mercedesa! — wrzasnęłam rozdzierająco.

Facet wzdrygnął się, porzucił zagłądanie do środka i kontemplacje, nieprzytomnej osoby, wezwał babę i razem podparli pojazd. Mercedes nareszcie wszystkimi kołami wjechał na pobocze.

Odetchnęłam z ulgą, wysiadłam, przeszłam na drugą stronę szosy i uznałam, że to jest jednak przeznaczenie. Peruki jej na łeb nie nasadzę, bo wszystko ma zamknięte, zarówno okna, jak drzwiczki. Zatem mój pomysł, żeby ją wyholować, był słuszny, próba otwarcia samochodu skończyłaby się w jeziorze. No trudno, nic już teraz nie poradzę, szyby niech wybija kto inny, pomoc lekarska na przykład.

Miziutek już wracał do siebie, poruszyła się i chyba jęknęła. Nie miałam najmniejszej ochoty kotłować się z nią dalej.

— Czy państwo zostaną tu przez parę minut? — spytałam grzecznie. — Pojadę po policję i znajdę jakie pogotowie, przy okazji złożę zeznania, bo widziałam katastrofę. Nie powinno się zostawiać jej tu samej, jeszcze ją okradną.

Państwo zgodzili się chętnie. Już zaczęli się kłócić o jej płeć i zapewne postanowili rozstrzygnąć kwestię. Zwinęłam hol i ruszyłam.

Znalazłam wszystko co trzeba. Policji szukałam metodą najprostszą, prućam, ile się dało na tej szosie, z nadzieją, że gdzieś mnie złapie drogówka. Oczywiście nic takiego nie nastąpiło, dopiero w stacji benzynowej w jakichś Sorkwitach pomogli mi, posługując się telefonem. Skądś wyruszyło pogotowie do Miziutka, ja zaś zeznania złożyłam w Szczytnie. Nie omieszkałam uszczęśliwić wydarzeniem kapitana Borkowskiego, dzięki czemu dowiedziałam się sedna rzeczy. Miziutka zepchnął z szosy Nowakowski we własnej osobie. Musiał nagle dostrzec okazję, bo nie sfałszował numeru samochodu, a świadków nie widział, szosa pusta, mnie i mój samochód skrywały zarośla. Miał zapewne nadzieję, że Miziutek się utopi i też nic nie powie.

Zostawiłam ich do kisenia się we własnym sosie. Coś Miziutek o Nowakowskim wiedział takiego, co mogło mu szalenie zaszkodzić, ale nie pchałam się do natrętnych dociekań, co to takiego było. Przeszłość Nowakowskiego stwarzała duże możliwości, przeszłość Sprzęgieła jeszcze większe, łysina Miziutka była faktem, uznałam, że wszystko to razem chwilowo mi wystarczy. Zajęłam się sobą.

Życie tej żoźcie uratowałam. Bardzo dobrze. Niech sobie żyje z tym łysym łbem, każda myśl o nim sprawiała mi przyjemność. W ogóle wyszła z tego zamachu ulgowo, nawet szyb nie musieli jej wybijać, bo odzyskała przytomność i otworzyła sama od środka. Perukę poprawiła własnoręcznie, nikt poza tymi dwojgiem z poloneza braku włosów nie widział, ale nie miałam najmniejszych wątpliwości, że baba z owej pary rozgłosi sensacyjny mankament na cztery strony świata. Satysfakcjonowało mnie to dostatecznie.

Zachowałamby zapewne tę satysfakcję dla siebie, gdyby nie to, że zadzwoniła Ewa Górską.

— Cześć, jak się masz — powiedziała. — Zdobyłam coś o Miziutku i chyba ci się to spodoba.

Zareagowałam, rzecz jasna, żywiołowo. W odniesieniu do Miziutka nic już nie mogło mnie przygnębić.

— Wiesz, jak to bywa — ciągnęła Ewa. — Przypomniałaś mi ją. Lata całe coś nie istnieje, a potem potykasz się o to na każdym kroku. Dla mnie ostatnio świat składa się z Miziutka, od tygodnia mam ją w życiorysie, bezpośrednio i pośrednio, osobiście i na słuch. Kiecek jej się zachciało ode mnie...

— Temu się specjalnie nie dziwię — wtrąciłam szczerze.

— Ja też nie. Ale nie w tym rzecz. Jak wiesz, tkwię w urodzie i dużo się o mnie obija. Dyskrecję muszę zachować, jak ksiądz, lekarz i adwokat, ale w stosunku do Miziutka nie mam charakteru, jestem ameba i mątwą. Niekoniecznie będę to ogłaszać w prasie ale tobie powiem. Słuchaj, podobno Miziutek łysieje!

No i proszę. Znów to samo. NIE JA wyjawiałam tajemnicę, a jednak się rozeszło. Głowę dałabym sobie uciąć, że Miziutek wolałby się przyznać do oszustwa spadkowego, do kantu w interesach, do zabicia męża, do wszystkiego raczej, niż do łysienia. Musiała to być dla niej straszna hańba.

— Skąd wiesz? — spytałam z zaciekawieniem.

— Jedna z moich dziewczyn widziała. Perukę ma fantastyczną, dokładnie jej własne włosy, a pod peruką same braki. Przekrzywiło jej się przy wkładaniu kiecki przez głowę, nie wiedziała, że ktoś patrzy. I coś mi się widzi, że nie ma na to siły, zdarzają się starsze panie z łysą pałą, jakiś brak w organizmie, chociaż na starszą panią ona jest jeszcze za młoda. Ale orientujesz się, że na uwłosienie nie ma mocnych, bo jakby było, nie byłoby łysych. Pomyślałam sobie, że wiedza na ten temat powinna cię ucieszyć. Mnie ucieszyła.

— Bóg ci zapłać — powiedziałam z wdzięcznością. — Między nami mówiąc, wiedziałam o tym od niedawna, ale na razie jeszcze nic nie mówiłam. Zastanawiałam się w ogóle, czego by jej życzyć najgorszego, i popatrz, takie cudowne zjawisko nie przyszło mi do głowy. Jak to zobaczyłam, o mało trupem nie padłam ze szczęścia.

— Jakim sposobem zobaczyłaś? — zdumiała się Ewa. — Przecież się z nią nie widujesz?

Bez żadnego oporu opowiedziałam jej o katastrofie. Nowakowskiego wrabiałam również z wielką przyjemnością.

— I tyś ją wyciągnęła? Uratowałaś jej życie? Miałaś zaćmienie umysłu?!

— Przeciwnie. Jak zobaczyłam łysinę, postanowiłam natychmiast, że ona umrzeć nie może. Za dobrze by jej było. I co mi za radość, że nieboszczka łysa! Żywa to tak...

— Może masz rację — zgodziła się Ewa po krótkim namyśle. — No owszem, co się z tym naużera, to jej. A jeszcze ujawnienie sekretu... Jestem pewna, że trzymała to w absolutnej tajemnicy, ciekawe, jak długo. Pocięchą jest mi myśl, że jakąś trudność musiała pokonywać. Myślisz, że od kiedy...?

— Ona jest inteligentna, więc zadatki miała może nawet od urodzenia. Sama wiesz, że nie ma na świecie łysego kretyna, a jeśli nawet istnieje, stanowi wyjątek, potwierdzający regułę. Łysieją najczęściej naukowcy, muszą chyba te szare komórki wywierać jakiś wpływ.

Pogawędka o łysinach na bazie Miziutka wprawiała mnie w stan upojenia i rosnącą euforię. Ewa robiła wrażenie, jakby też ją to zachwycało. Najwyraźniej w świecie Miziutek u wszystkich budził duże uczucia.

— A najpiękniejsze włosy należą zazwyczaj do najgłupszych kobiet — dołożyłam. — Oczywiście też dopuszczam wyjątki.

— Popieram twoje zdanie — potwierdziła Ewa. — Oni chyba mieli zdrowe poglądy, ci nasi przodkowie. Długie włosy, krótki rozum.

— Coś w tym jest, kierowali się zapewne doświadczeniem...? Dziwne tylko, że dłuższy rozum nie wskazywał i nie wskazuje rycyny.

— Co masz na myśli? — spytała Ewa nieufnie. — Nie wyrażając się, sraczka ma wpływ na włosy?

Zdziwiłam się ogromnie i zgorszyłam przeraźliwie.

— Jak to? Nie wiesz? Ty?! Myślałam, że kto jak kto, ale ty rozeznanie powinnaś posiadać! Przecież jedyny na świecie produkt, który naprawdę działa pozytywnie na włosy, to rycyna!

— Do wewnątrz...?

— Oszalałaś?! Na wierzch!

— Na głowę...?

— No przecież nie na tyłek! I kolana tym sobie smarować nie będziesz! Na głowę, pomiędzy włosami! Skutkuje! Końska trochę kuracja i uciążliwa, ale za to jakie rezultaty!

Ewa nagle spoważniała, co widać było przez słuchawkę.

— To mi musisz opowiedzieć porządnie — rzekła z naciskiem, — Skąd wiesz, w czym rzecz i jak to się robi?

— Proszę cię bardzo. Istnieje kretyński przesąd, jakoby rycyna śmierdziała. Nic bardziej fałszywego, może śmierdziała kiedyś przed wiekami, obecnie nie ma żadnej woni, a jeśli ma, to gdzie jej do czosnku! Poświęcać jej należy jedne trzy czwarte doby tygodniowo, mianowicie: przed myciem głowy nalewasz sobie trochę rycyny na spodeczek, spodeczek ustawiasz na filiżance z gorącą wodą, żeby ta rycyna była ciepła, bierzesz starą szczotkę do zębów...

— Mogę wziąć nową?

— Możesz. Rozdzielasz włoski co centymetr i w ten przedziałek wcierasz rycynę szczotką. Raz koło razu cały łeb. Sama czujesz, jak ci się robi ciepło w głowę. Następnie okręcasz całość suchym ręcznikiem frotte, najlepiej wyjętym z brudów...

— A może być czysty?

— Może, ale go szkoda. I tak trzymasz najmarniej pięć godzin. Niechby nawet osiem, więcej idzie na straty. Następnie myjesz głowę normalnym szamponem, mocno ciepłą wodą, jedna przyciąłka myła letnią i pyskowała, że jej się źle zmywa, jasne, letnią źle, musi być dobrze ciepła, nie ukrop, który ci zedrze skórę, ale porządnie ciepła. No dobrze, prawie gorąca, ale parzyć nie musi. Potem robisz, co ci się spodoba. I sama widzisz, pomyliłam się, wystarczy ćwierć doby, zasugerowałam się dawnymi czasami, kiedy nie było suszarek do włosów i osiem godzin z rycyną żądało drugich ośmiu na wysuszenie. I tak co tydzień. Skutki pojawiają się po trzech miesiącach, ale za to jakie...! Jeśli wytrzymasz rok, przez następne dwadzieścia lat budzisz okrzyki zachwytu i parokszymy zawiści.

— Skąd wiesz?

— Znałam dziewczynę, która wytrzymała rok. Przedtem była łysa. Osobiście trzy razy wytrzymałam po cztery miesiące, gdyby nie to, zapewniam cię, że polubiłby mnie Cyrankiewicz. Z usuwania włosów z głowy garściami przeszłam do utraty, przy najgorszym szarpaniu, jednego albo dwóch pojedynczych włosków. Poprzednie wyłączenie garściami było skutkiem różnych głupowatych dolegliwości. U tamtą dziewczyny też, po roku miała grzywę jak tarpan i dwa lwy razem wzięte.

Ewa słuchała z wielką uwagą, nie przerywając.

— Czegóż, do cholery, cała ludzkość tego nie stosuje?

— Z dwóch powodów, jak sądzę. Primo, spróbuj. Tydzień w tydzień kotłować się z tym smarowaniem, człowiek nie ma czasu, sił mu brakuje, tych ośmiu godzin nie ma z czego wydłubać i tak dalej. A secundo, może mniej ważne i tylko dla blondynek. Włosy od tego ciemnieją. Wyraźnie widać, to co od głowy odrasta jest ciemniejsze...

— Uzasadnione biologicznie. Ciemne włosy są mocniejsze.

— Toteż właśnie. Sama za trzecim razem dałam spokój, bo robiła się ze mnie szatynka.

— Rozjaśnić zawsze można. Słuchaj, to jest genialne. Czy jesteś pewna tego, co mówisz?

— Możemy się spotkać — powiedziałam z wielką urazą. — Sama zobaczysz, że na głowie mam własne włosy, nie bardzo piękne, ale to z natury. Gdyby nie rycyna, nie powiem, co bym miała.

— Perukę — odgadła Ewa. — Wierzę ci...

— Czekaj, po trzeciej! Już ci mówiłam, skutek się widzi po trzech miesiącach udreń. Kto wytrzyma?

— Ten, kto ma rozum, i w ten sposób można odwrócić to porzekadło o rozumie i włosach. Wiesz, świetna myśl! Wygrywają kobiety inteligentne! I wytrwałe! Nie tylko w tym, sama pomyśl, ile zabiegów wymaga czasu, żeby osiągnąć skutek długofalowy! Znakomite, ja to będę reklamować! Popatrz, jak opatrność nagradza dobre uczynki, chciałam ci zrobić przyjemność i proszę, ile mam z tego korzyści...!

W pełni poparłam jej pogląd, oczywiście, że dobre uczynki bywają nagradzane częściej, niż by się wydawało. Sama zrezygnowałam z osobistej zemsty na Miziutku i proszę, jaka spotkała mnie radość!

— Miziutek oczywiście nie wie, że ty wiesz? — upewniłam się.

— Jasne, że nie wie i wcale nie chcę, żeby wiedziała. Jeszcze by mnie poprosiła o zachowanie sekretu, musiałabym jej obiecać i замуrowałaby mi gębę. A chała. Sama będę decydować komu powiem, a komu nie.

Przyznałam jej słuszość. W ten sposób obie miałyśmy Miziutka niejako w ręku i sama ta świadomość przysparzała pogody ducha. Mogłyśmy spokojnie patrzeć i słuchać, jak informacja rozprzestrzenia się bez nas.

Cała hopa z Miziutkiem ukoїła moje wszystkie skomplikowane doznania wewnętrzne. W pełni odzyskałam dobry humor i gotowa byłam przyrządzać Grzegorzowi obiady nawet codziennie, umiałam w końcu gotować i wymyślać potrawy niezbyt pracochłonne. Pchanie do pralki jego koszul i gaci zaczęło mi się wydawać, rozrywką szczytowej klasy. Jak w ogóle mogłam wpaść na taki głupi pomysł, żeby nie jechać...?!

Głowa Miziutka zrównoważyła moją. Szalały po mnie te głowy od wiosny, nareszcie ostatnia, po ciężkich zgryzotach z poprzednimi, dostarczyła mi kojącego szczęścia. Parami chodziły, tam dwie głowy Heleny, tu też dwie, Miziutka i moja, ale ja włosy jeszcze miałam. Okropne bo okropne i męczące straszliwie, ale jednak moje własne i trzymają się nieźle, chociaż świetnie mogłyby zdobić stracha na wróble...

Nagle wyraźnie poczułam, że jeśli nie odcepnię się definitywnie od tych upiornych głów, najzwyczajniej w świecie zwariuję i zamkną mnie w Tworkach. Niechże, na litość boską, zajmę się czymkolwiek innym...!

\* \* \*

Po raz trzeci w tym roku jechałam na spotkanie z mężczyzną życia, ale było to zupełnie co innego niż poprzednimi razami, W bagażniku nie wiozłam żadnych śmieci, na każdym postoju sprawdzałam, czy ktoś mi czegoś nie podrzucił. Głowę miałam opa-



nowaną, zrobiłam trwałą, która wyszła niezłe, uczesanie wytrzymało pięć dni i nawet wilgoć nie szkodziła mu zbyt. Zjawisko powinno potrwać całe dwa miesiące. Na nogę mogłam nie zwracać żadnej uwagi.

Gnębiły mnie za to problemy odmiennej natury.

— No i masz — oznajmił Grzegorz przez telefon drugiego września. — Wskoczyły dwie kwestie, sam już nie wiem, od której zacząć.

— Najpierw gorsze — zaproponowałam

— Obie gorsze. Może w porządku chronologicznym. Jak ci już mówiłem, moja żona po wizycie bioterapeuty poczuła się lepiej i napisała nowy testament, sądzę, że podpuszczona przez kuzynkę. Otóż dziedzicę wszystko pod warunkiem, że w czasie jej choroby nie zwiąże się z żadną kobietą. Zważywszy wiek, warunek nie obudził sensacji i testament jest ważny.

— Będą cię śledzić?

— Zapewne tak, ale to robota tej harpii. Drobiazg. Między nami mówiąc, zaczynam ją kochać tak samo jak Miziutka i forsy jej nie oddam. Chętniej wrzucę do Sekwany.

— To co? Nie przyjeżdżać?

— Zwariowałaś? Przeciwnie. Czeka, to nie koniec. Mam za sobą dwa wesołe dni. Odwiozłem ją, odczekałem, zostawiłem w niezłym stanie i odleciałem. Trzeba trafu, że tego samego dnia mały samolot pasażerski rozbił się w górach, leciał chyba w pół godziny później, i wiadomość o tym podali w telewizji. Moja żona oglądała akurat telewizję i cześć. Kiedy zadzwoniłem z domu wieczorem, okazało się, że mam natychmiast tam wracać, bo nastąpił kolejny wylew. Nie poznała mnie, no, co ci będę opowiadała... Jediną przyjemność sprawiło mi parę słów do kuzynki, tego sobie nie odmówiłem...

— Bardzo dobrze.

— Cieszę się, że mnie pochwalasz. Ale teraz już żadnej poprawy nie można się spodziewać, tyle że utrzymują ją przy życiu.

Zdobyłam się na złożenie mu wyrazów współczucia. Chyba zabrzmiały ponuro.

— Razem wzięwszy, nastaw się, że będziemy tu mieli głupie przypadłości. Liczę na to, że wytrzymasz.

— Mam dość odporną psychikę...

— Zamawiam ci pokój w tym hotelu na rogu.

— Pewnie bym dostała i bez zamawiania. Mogę się przebrać. Nie ma tak, żebyś się robił podejrzany od spotkania po jednym razie z różnymi babami. Nawet po dwa.

— Nie wygłupiaj się, coś wymyślimy...

No i właśnie od początku drogi wymyślałam. Pojadę przez Koblencję i Luksemburg, w Koblencji kupię ze trzy rozmaite peruki. Uczucia Grzegorza do kuzynki podzielałam w pełni, gdybym mogła pozbawić jego żonę majątku, uczyniłabym to natychmiast, na złość tej babie, Grzegorz by od tego nie zbiedniał. Nie mogłam, nie widziałam na to sposobu, mogłam zatem tylko ukrywać samą siebie, żeby mu nie nabruździć w tym idiotycznym testamencie.

Jak oni wszyscy to sobie wyobrażali? Żona, kuzynka, prawnicy, wykonawcy testamentu? Łatwo udowodnić coś na tak, znacznie trudniej na nie, udowodnij, że nie wiesz, ile jest pięć razy pięć, albo że nie pamiętasz, własnego adresu, jakim sposobem? Błąkać się po ulicach w czasie gradobicia i udawać, że nie umie się trafić do domu? Z tymi pięcioma jeszcze gorzej. W wypadku Grzegorza w ogóle nie wiadomo, co by to mogło być, nie związać się z babą, jak to związanie miałoby wyglądać? Zamieszkać z nią? Jadać razem obiady i kolacje? Sypiać w miejscach publicznych, pod ławką w parku na przykład... Składać jej codziennie wizyty? Ktoś musiałby go śledzić, z oczu nie tracąc w dzień i w nocy, wynajęli takiego...?

Uczyliłam założenie, że tak, wynajęli. Mnie ten wynajęty nie zna, uniki zatem będzie musiał czynić Grzegorz. Przed każdym spotkaniem gubić obstawę, ewentualnie spotykać się nie z jedną osobą, a z różnymi. Będę zmieniać hotele, całe szczęście, że to Paryż, hoteli wystarczyłoby na rok, nawet gdybym przeprowadzała się codziennie, w każdym będę wyglądać inaczej, zrobię się ruda, czarna, siwa... Cholera, rude i czarne dla mnie do bani, nie do twarzy mi w tych kolorach, czarne włosy postarzają... Zaraz, nie dla Grzegorza przecież ta maskarada, przy nim zdejmę świństwo z głowy... I oczywiście spod peruki wyłonią się smętnie uklepane włoski...

Zgrzytnęłam zębami i spróbowałam przestawić się na działalność szpiegowską. Obydwoje jesteśmy agentami wywiadu i musimy udawać, że się nie znamy. Jakiś zakonspirowany lokal z kilkoma wejściami, skąd takie coś wytrzasnąć? A, do licha, niech on znajdzie, w końcu powinien się przyłożyć do własnego spadku, nie wszystko muszę ja! No dobrze, znajdzie, jeśli go śledzą, i tak obudzi podejrzenia, płacząc się ustawicznie wokół jednego miejsca, zdekonspirowany agent wywiadu przestaje być agentem i za skarby świata nie spotyka się z nikim. O ile go w ogóle przedtem nie zabiją...

Mało brakowało, a byłabym zawróciła do domu, żeby ratować życie Grzegorza. Zaplątałam się w tej powieści szpiegowskiej gruntownie, obmyślałam przebranie dla siebie, za starą żebraczkę albo jeszcze lepiej, za mężczyznę, przykleję sobie wąsy i brodę, z facetem chyba mógłby się spotykać...? Zmiłuj się Panie, miesiąc spędzić w męskiej postaci, nie wytrzymam tego. Tydzień nie przejdzie, a zaczniemy się kłócić, nie mówiąc już o tym, jak te wszystkie peruki wpłyną na moje uczesanie...

Spotkanie z mężczyzną życia zaczęło mi się wydawać potwornie skomplikowane. Ten głupi los uparł się, żeby nas rozdzielić. Przedtem koszmarnie przypadłości miałam ja, teraz stały się udziałem Grzegorza, czy nigdy w życiu nie uda nam się przeżyć wspólnie więcej niż trzy dni? W spokoju i bez okropnych niespodzianek? Może nakichać na tę całą kuzynkę, niech się udławi odziedziczonym szmalem, jego żonie jest już wszystko jedno, przykrości jej nic nie sprawi, nie będę go do takiego rozwiązania namawiać gwałtownie, ale napomknę. Poza tym jakaś sprawiedliwość po świecie się kołacze, Miziutek wyłysiał...

Na francuskich autostradach miałam czas i wyobraźnia ruszyła ostro. Grzegorz zachowa powściągliwość, ale na moją propozycję otrząśnie się wewnątrz. Pomyśli, że posądzam go o prostacką chciwość, nie rozumiem uczuć. Zmieniłam się na niekorzyść, zdechłam duchowo, po tych wszystkich latach przestało mi na nim zależeć, załęgła się między nami obcość. To już nie będę ja i ogarnie go rozczarowanie. I zniechęcenie. Nie okaże tego z grzeczności, ale zaczniesz marzyć o moim odjeździe, niech się zmyję w diabły i skończmy ze sobą wreszcie na zawsze. Dobrowolnie odczepmy się od siebie, bliższy kontakt nie zdał egzaminu.

— Słuchaj, jeśli nie masz ochoty mnie widzieć, nie ma przymusu...

— Cóż znowu, mam po prostu przed sobą dwa uciążliwe dni...

— Zadzwoń, jak już będziesz wolniejszy...

Cudowne rozmowy, znane wszystkim kobietom. Jak chora krowa będę tkwić w hotelu i z zaciśniętymi zębami i kunsztowną koafiurą czekać na jego telefon. Zadzwońi tego trzeciego albo czwartego dnia, wybierając porę, kiedy powinno mnie nie być, bo poszłam na obiad, a chała, posiłki będę spożywać w pokoju, przyniosą mi. Zaproponuje spotkanie z zegarkiem w ręku, bo nagle wpadło mu wielkie zlecenie, tak się fatalnie składa, że akurat jest straszliwie zajęty, pech...

Cały pobyt w Paryżu spędzę w hotelowym pokoju, uwiązana do telefonu...

Kto tak powiedział? A otóż nic podobnego, po tygodniu pojedę na południe i nawet nie będę miała pretensji. Grzegorz zostanie dla mnie pięknym wspomnieniem, romansem sprzed lat, i może nawet zadzwonię, żeby mu to dać do zrozumienia. Niech przynajmniej wie, że się nie czepiam. A sama, wypróbowaną metodą pójdę do kasyna w Monte Carlo. Porzucona ostatecznie, może nawet wygrałam.

Myśl o kasynie w Monte Carlo sprawiła, że do Paryża wjechałam w doskonałym humorze. Wcześniej było, nocowałam pod Reims, bo w Koblencji latałam po sklepach i nie chciało mi się potem jechać w ciemnościach, zatrzymałam się zatem przed końcem trasy. Dotarłam do hotelu bez problemów, weszłam pod prysznic, obejrzałam się w lustrze i wzięłam byka za rogi. Zadzwoiłam do tego obcego Grzegorza, który wcale nie chciał mojej wizyty i tylko wzdychał, żeby się mnie pozbyć.

— Czekam na ciebie od rana, chociaż na rozum zamierzałam dzwonić od piątej — powiedział, jakby z ulgą. — Cieszę się, że już jesteś. Co przywiozłaś tym razem? Jakąś nogę albo rękę?

— Sensacyjną i radosną wiadomość — odparłam bez namysłu. — Powinna cię ucieszyć. Miziutek wyłysiał.

— Nie żartuj!

— Gdzie mi do żartów! Widziałam to na własne oczy i nie ja jedna. Nosi perukę.

— Wiesz, że to piękne. Czuję powiew sprawiedliwości wyższej. Siedź tam na tyłku i czekaj, przyjadę najdalej za pół godziny.

Przyszedł za dwadzieścia pięć minut.

— Ty idiotko — powiedział czule znacznie później, kiedy jedliśmy kolację w eleganckim lokalu, nie kryjąc się po żadnych kątach i nie udając, że się nie znamy. — Naprawdę coś podobnego mogło ci wpaść do łba? Zaczynam przypuszczać, że słusznie podrzucili ci drugą głowę, bo twoja jedna chyba szwankuje.

Zdażyłam przekazać mu wszystkie ostatnie sensacje w porządku chronologicznym. Najpierw przypadłości Miziutka, a potem komplet własnych, opracowanych po drodze, poglądów na sprawę.

Co do Miziutka, nie miał zastrzeżeń.

— W tej sytuacji sam bym ją chyba wyciągał — przyznał. — Z podobnych powodów jak twoje. Chwała Bogu, że ci się udało.

— Musiała jej się noga opsnać z pedału, bo gdyby cały czas przyciskała hamulec, nie dałabym rady. I całe szczęście, że nie tknęłam drzwi.

— Ona wie, że to ty ją uratowałaś?

— Pojęcia nie mam. Ale chyba tak, bo mój numer samochodu mieli wszyscy. Jeśli ją to interesowało, mogła się bez trudu dowiedzieć.

— I co?

— A nic.

Popatrzyliśmy na siebie, rozumiejąc rzecz bez słów. Fakt, że to ja właśnie wyświadczyłam jej dobrodziejstwo, musiał stanowić dla niej obrzydliwość nieznośną, jeśli nawet przyjęła go do wiadomości, z pewnością postara się jak najszybciej zapomnieć. Wyglądało na to, że bez wielkich starań zaczynam się na Miziutku odgrywać. Grzegorzowi się to spodobało.

Moje poglądy natomiast rozbawiły go niewymownie. Omówiliśmy kwestię, kiedy przestał się śmiać na myśl o szpiegowskich podchodach.

— Przestań mi tu udawać debilkę, chociaż przyznaję, że wygląda to bardzo śmiesznie. Ja się nie zmieniłem i dokładnie wiem, na czym mi zależy, podjąłem decyzję. Posłuchaj. Po pierwsze, związek z kobietą w oczach normalnych ludzi ma oznaczać trwałe skojarzenie się z kimś, zamieszkanie razem, pełną wspólnotę łózkową i tak dalej. Takiej rzeczy nie da się ukryć i nawet śledzić faceta nie trzeba, bo to samo wychodzi, wszyscy o tym wiedzą. To jedno, a po drugie, mam gdzieś kuzynkę, niech dziedziczy. Przyjemność mi sprawia myśl o konflikcie, w jaki popadnie. Z jednej strony będzie jej życzyła jak najdłuższego życia, żeby przypadkiem nie owdowiał i nie ożenił się z kimś innym, z drugiej zagryzie ją niecierpliwość w oczekiwaniu na spadek. Mam nadzieję, że od takich sprzecznych uczuć zwariuje do reszty. Nie zamierzam robić z siebie idioty i kryć się z tobą po zaułkach.

— Chianti i camemberta na deser poproszę — odparłam na to, bo nic innego nie przyszło na myśl w obliczu normalnej, niebiańskiej błogości, jaka przepełniła mi duszę od pierwszego spojrzenia na niego.

— Jedno, w co trafiłaś, to zlecenie — kontynuował. — Uznałem je za okazję, inaczej bym go nie wziął, Facet chce rozbudować willę pod Niceą, bez rekonesansu się nie obejdzie. Normalnie wysłałbym kogoś, ale teraz pojedziemy razem. Pustką to stoi chwilo-wo, zamieszkamy tam dwa tygodnie, a jak się da, to trzy, i sprawdzimy, czy rzeczywiście moje gacie wejdą nam w paradę. Co ty na to?

A niby co ja mogłam na to? O czymś takim marzyłam i w samej głębi duszy miałam cichą nadzieję. Jednak, cokolwiek by się dalej stało, był mężczyzną mojego życia.

Pojechaliśmy oczywiście i jego gacie nigdzie nie weszły.

koniec